www.tygodnikprzegląd.pl

Przegląd

Nr 51 (1093)
14-20.12.2020
Cena 7,50 zł
(w tym 8% VAT)

Prof. Łukasz Turski
Świat chłamu internetowego

Mec. Karolina Kuszlewicz
Karpie wygrały w sądzie

Wiesław Kot
Humor w czasach pandemii

Granica łączy
Czesi kupują w Polsce

JAK PRZEŻYĆ SAMOTNE ŚWIĘTA

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115
51
9 771509 311003

Szukasz pomysłu na Świąteczny Prezent?

VOUCHER
·TEATRU CAPITOL·

SZCZEGÓŁY: www.teatrcapitol.pl/pomysl-na-prezent

TEATR CAPITOL, ul. Marszałkowska 115, 00-102 Warszawa, tel. 22 620 21 42, www.teatrcapitol.pl

eprasa.pl c0b3b09a9c

CYTATY

ANDRZEJ SKWORZ,
redaktor naczelny
Przejęcie prasy przez spółkę skarbu państwa jest pozornie sprytnym sposobem na tzw. repolonizację mediów.
„Press"

SWIATŁANA ALEKSIJEWICZ,
białoruska pisarka, laureatka Nagrody Nobla
Mały, dumny kraj walczy z oszalałym przywódcą, a cały świat milczy.
„Forum"

IGOR TULEYA,
sędzia Sądu Okręgowego w Warszawie
Nie wierzę swoim przełożonym.
„Dziennik Gazeta Prawna"

JERZY STUHR,
aktor, reżyser
Nie lubiłem grać, do dziś nie lubię. W samym graniu wieje nudą.
„Tygodnik Powszechny"

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański

Kolejny łup PiS

Nie czekali na święta. Sami sobie zrobili prezent świąteczny. I to jaki! Praktycznie cała prasa regionalna plus portale, a nawet lokalne stacje telewizyjne, przeszły pod kuratelę PiS. Państwowy koncern PKN Orlen kupił wszystko, co miała niemiecka Verlagsgruppe Passau. Kupił, by zrobić to, co wcześniej PiS zrobiło z TVP, Polskim Radiem i Polską Agencją Prasową. Celem polityków „Zjednoczonej" Prawicy jest podobne skolonizowanie tej wielkiej części rynku lokalnego.

I wbrew oświadczeniom Orlenu ta operacja nie ma nic wspólnego z interesami akcjonariuszy, planami biznesowymi, synergią, optymalizacją kosztów ani światowymi trendami. Zamiast tego mamy prześny i brutalny skok na redakcje i zespoły dziennikarskie. Handlowanie gazetami czy portalami jak przysłowiową pietruszką to symbol tych czasów. Jeśli kogoś jeszcze taki handel, ponad głowami dziennikarzy, dziwi, to tylko samych zainteresowanych. W Polsce dziennikarze są wyjątkowo bezradni. Bo też są wyjątkowo podzieleni, skłóceni przez polityków i właścicieli. Ogrywani przez wszystkich. Nie ma drugiej grupy zawodowej, która byłaby traktowana równie podle jak dziennikarze. Generalizuję? Tak, bo są jeszcze przyczółki niezależnego dziennikarstwa, redakcje kierujące się wartościami wpisanymi w istotę tego zawodu.

Największą szkodę naszemu dziennikarstwu przyniosło stopniowe upolitycznianie mediów publicznych. Zamiast być wzorcem dla całego środowiska, stawały się narzędziem rządzących partii. Aż doszło do tego, co jest teraz. Prymitywna i głupia propaganda w wykonaniu ideologicznych agitatorów albo cyników kierujących się wyłącznie ogromnymi zarobkami. I w tę stronę popłyną teraz media kupione przez Orlen.

Znamy sposób działania tego koncernu. To za rządów PiS ze stacji Orlenu zostały wyrzucone wszystkie tytuły krytyczne wobec władzy. PRZEGLĄD wyleciał w pierwszej grupie. My nie mamy złudzeń co do intencji ani sposobu traktowania gazet przez Orlen. Zespoły dziennikarskie i redakcje, które stały się jego własnością, czekają ponure czasy.

Wątpię jednak, by ten kolejny skok na media przekonał do władzy jakieś nowe grupy społeczne. Prasa rządowa nie ma sensu. Skokowy spadek liczby czytelników tej prasy nie jest przypadkowy, bo wynika z coraz bardziej krytycznej oceny tego, co i jak rząd robi. Propaganda, jeśli nie jest tak toporna jak teraz, może pomóc. Ale z ruiny nie zrobi zamczyska.

Drodzy Czytelnicy,
kończy się rok
i znowu biblioteki czekają
na nasz tygodnik.
Dzięki Waszym wpłatom PRZEGLĄD
dostawało 91 placówek.
Kontynuujemy tę pożyteczną akcję.

Prosimy o wpłaty z dopiskiem „Biblioteka"
Fundacja Oratio Recta
Nr konta: **72 1090 2851 0000 0001 2023 9821**

Za życzliwość serdecznie dziękujemy!

Pełna lista bibliotek na
www.tygodnikprzeglad.pl

BĄKOWSKI

eprasa.pl c0b3b09a9c

W NUMERZE

KRAJ

8 **Tygrysy Europy**
Na przyszłość mniej ideologii, więcej realpolitik

11 **Do władzy doszli ci, którzy przestali się uczyć**
– rozmowa z prof. Łukaszem Turskim

16 **Jak przeżyć samotne święta**
– rozmowa z prof. Łukaszem Okruszkiem

22 **Święta w domu dziecka**
Piecza zastępcza ma pod górkę

26 **Martwe karpie wygrały**
– rozmowa z mec. Karoliną Kuszlewicz

28 **Dialog społeczny podstawą zapewnienia godnej pracy i płacy**

58 **Ile jest warte życie niedźwiadka**
Trzy uderzenia kamieniem w głowę

ZDROWIE

30 **Szczepionka – obawy i nadzieje**
– rozmowa z prof. Krystyną Bieńkowską-Szewczyk

48 **Odporność od kuchni**
Siła dobrej diety

ZAGRANICA

32 **Teraz idzie o przeżycie**
Korespondencja z Czech

36 **Kolegium dziwnych wyborów**
Elektorzy definiują amerykańską politykę

38 **Łagody jastrząb**
Nowy szef dyplomacji USA

50 **Nie ma wody bez radia**
Korespondencja z Argentyny

54 **Oliwki z Zachodniego Brzegu**

KULTURA

42 **Cisi i gęgacze**
Popkultura w dobie pandemii

45 **Qulturalia**

66 **Roman Fleszar. Osobliwości**

HISTORIA

46 **Bohater, i to aż trzech narodów**
Polemika w sprawie Henryka Sławika

EKOLOGIA

56 **Azjatyckie biedronki atakują**
Naukowcy nazywają je ninja

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Jerzy Domański**
Kolejny łup PiS

21 **Jan Widacki**
Dość polityki. Coś o nauce

25 **Andrzej Romanowski**
Prorok Władysław Gomułka

29 **Roman Kurkiewicz**
Cepeeny a trybuny

35 **Tomasz Jastrun**
Szachy, komórka i stodoła

41 **Wojciech Kuczok**
Nie na miejscu

48
ZDROWIE

ODPORNOŚĆ OD KUCHNI
Siła dobrej diety

50
ZAGRANICA

NIE MA WODY BEZ RADIA
Korespondencja z Argentyny

56
EKOLOGIA

AZJATYCKIE BIEDRONKI ATAKUJĄ
Naukowcy nazywają je ninja

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl c0b3b09a9c

Prof. Jerzy Bralczyk
Rok mocnych słów

Prof. Cezary Szczylik
Onkologia w pandemii

Marta Dymek
Wegańskie święta

Andrzej Grabowski
Zielone dresy Ferdka

Co z tą policją

Za obecną oportunistyczną policję odpowiadają wszystkie rządy 30-lecia. Czystki zaczęło w 2005 r. PiS, wymieniając doświadczonych dowódców na swoich, młodych i gniewnych, zaskarbiając sobie ich dozgonną wdzięczność za szybkie awanse (np. naczelnikiem wydziału w komendzie wojewódzkiej został policjant z pięcioletnim stażem, a jedyne jego wykształcenie to szkoła w Szczytnie, bo na studiach cywilnych sobie nie radził). Potem było zaniechanie PO, która pozostawiła pisowskich nominatów. Przyczaili się na swoich stołkach i stołeczkach, by rozkwitnąć w 2015 r. Teraz zajmują najwyższe stanowiska w policji. PiS dokonało też wtedy rzezi doświadczonych policjantów, którzy służyli chociaż jeden dzień w milicji. Wywalono ich ze służby z dnia na dzień, a innym odebrano emerytury. Pozostała młodzież, której nie miał już kto przekazać doświadczenia ani etosu służby, za to łasa na podwyżki. Związki zawodowe policjantów mówiły: „Głosujcie na PiS, bo tylko PiS daje podwyżki". I miały rację. Najgorzej policję traktował SLD, a potem PO, za której policjanci musieli przynosić do pracy własny papier i komputery. *Marek Głowinkowski*

Bunt potęgą jest i basta

Nie rozumiem, jak można dziś, w XXI w., obnosić się jeszcze jak paw ze szlacheckimi tytułami. Szacunek powinny wzbudzać zdobyta wiedza lub osiągnięcia przynoszące korzyść ludzkości i przyrodzie, a nie nazwisko odziedziczone po przodkach herbu coś tam. *Iwona Pietrzyk*

Aktywność prowadzi do zwycięstwa

Zdawałoby się, że wywiad Roberta Walenciaka z dr. Przemysławem Potockim (PRZEGLĄD nr 45) wyczerpuje temat wyborów prezydenckich, jednak pozostało coś, co nie tylko mnie frapuje od ogłoszenia wyników. Za najtrafniejszą ocenę przyczyny porażki wyborczej Rafała Trzaskowskiego uważam zdanie: „Zabrakło aktywności ludzi popierających tego kandydata". Wyraziło się to m.in. w niedopilnowaniu działania komisji wyborczych tam, gdzie wiadomo było, że Andrzej Duda ma przewagę, co dało możliwość powiększenia tej przewagi poprzez „cuda nad urną". Rozmówca dziennikarza myli się, mówiąc: „Żadna ze stron nie była przeświadczona o zwycięstwie". Ja widziałem co innego. Pewność siebie Andrzeja Dudy długo przed zakończeniem liczenia głosów od razu nasuwała skojarzenie z powiedzeniem słynnego Gruzina: „Nieważne, jak głosują, ważne, kto liczy głosy". *Andrzej Dąbrowski, Białogard*

ZDJĘCIE TYGODNIA

Sukces czy porażka, bohater czy miękiszon? Po przyjęciu budżetu na szczycie UE opinie polskich polityków są rozbieżne. Nz. prezydent Emmanuel Macron rozmawia z szefową Komisji Europejskiej Ursulą von der Leyen, a premier Viktor Orbán z premierem Mateuszem Morawieckim.

FOT. PAP/EPA

eprasa.pl c0b3b09a9c

Dariusz Rosiak został Dziennikarzem Roku 2020 w konkursie Grand Press 2020 organizowanym przez „Press". Laureat jest autorem **podcastu „Raport o stanie świata",** a wcześniej pracował w radiowej Trójce. **Agnieszka Sowa z „Polityki"** otrzymała nagrodę za tekst **„Zwierzę przemysłowe",** a **Janusz Schwertner z Onetu** za reportaż **„Miłość w czasach zarazy". Maciej Petruczenko z „Przeglądu Sportowego"** został uhonorowany **Nagrodą im. Bohdana Tomaszewskiego.**

Janina Ochojska, założycielka Polskiej Akcji Humanitarnej, otrzymała od Fundacji Kyoto-Kraków Nagrodę im. Andrzeja Wajdy za działalność społeczną.

Marta Potocka za utwór „Chomik" i Radek Rak za powieść „Baśń o wężowym sercu albo wtóre słowo o Jakóbie Szeli" są laureatami Nagrody Literackiej im. Janusza A. Zajdla przyznawanej autorom w dziedzinie fantastyki.

Katarzyna Szyngiera za reżyserię przedstawienia „Lwów nie oddamy" otrzymała **Laur Konrada,** główną nagrodę Ogólnopolskiego Festiwalu Sztuki Reżyserskiej Interpretacje w Katowicach.

W konkursie Planszowa Gra Roku główne nagrody zdobyły dwie gry Wydawnictwa Nasza Księgarnia. „Wyprawa do El Dorado" jako Gra Roku dla całej rodziny i „Zamek" – Gra Roku dla dwóch osób.

Nawet pisowscy prezesi nie sprostali wymaganiom dojnej zmiany. **W tym roku pracę straciło 30% prezesów 42 największych spółek kontrolowanych przez państwo.** W PGNiG i Lotosie nawet dwukrotnie.

Mikołaj Pawlak, pisowski rzecznik praw dziecka, brał udział w hucznych obchodach urodzin Radia Maryja i oklaskiwał wypowiedź o. Rydzyka, że ksiądz też może mieć pokusy pedofilskie. Dzieci, które są ofiarami tych księży, mogą zapomnieć, że jest jakiś rzecznik.

Mająca 100 lat **fabryka zapałek w Czechowicach zostanie zlikwidowana.** Jest ostatnią w Polsce. Wcześniej zamknięto zakłady w Gdańsku, Sianowie, Bystrzycy i Częstochowie. Szast-prast i po miejscach pracy.

Upadła Morska Stocznia Remontowa Gryfia w Świnoujściu. Ignoranci z PO (2013 r.) i PiS (po 2015 r.) doprowadzili do zamknięcia stoczni i zlikwidowania 200 miejsc pracy.

Ks. Tomasz Daszkiewicz, kapelan Lasów Państwowych z Białegostoku, **powędrował na kapelana do Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Warszawie.** Awans czy zsyłka?

PRZEBŁYSKI

Kempa z plecakami

O Beacie Kempie można pisać na okrągło. Bezczelnością i aferami wyróżnia się nawet w Solidarnej Polsce. A partia Ziobry to przecież prawdziwy wysyp dziwolągów. Chronionych przez dyspozycyjnych prokuratorów. Choć nie zawsze skutecznie.
5 lutego Kempa ma stanąć przed Sądem Rejonowym w Oleśnicy. Jest oskarżona o machlojki z darami, które miały trafić do dzieci z Syrii. Niestety, zamiast do ofiar wojny plecaki trafiły na strych. Najpierw do szkoły związanej z Kempą. A później do parafii. Księża mieli co rozdawać. Lokalni dziennikarze z matecznika Kempy, czyli z Sycowa, poinformowali o tym Ośrodek Monitorowania Zachowań Rasistowskich i Ksenofobicznych. No i dzięki odważnemu sędziemu z Oleśnicy Kempa odpowie za to obrzydliwe zachowanie.

Kłamią, bo mają z czego płacić

Mamy rekordzistę. Springerowski „Fakt" przepraszał Grzegorza Długiego, eksposła Kukiz'15, przez dwa dni. Na dwóch pełnych stronach. Plus zajawki przeprosin na pierwszej. Poszkodowany, adwokat z zawodu, bardzo skutecznie dobrał się do czterech liter Roberta Felusia, byłego redaktora naczelnego, i Jakuba Szczepańskiego. Musieli przeprosić za artykuły o rzekomej aferze w Krakowie z udziałem Grzegorza Długiego, zamieszczone w „Fakcie" w październiku 2017 r.
„Fakt" ma długą i niechlubną tradycję konieczności przepraszania za kłamstwa. Dużo o tym wie Grzegorz Jankowski, wieloletni szef tego tabloidu, a dziś redaktor moralizator w Polsacie.

Bańka stadionowy

A to ci dopiero chytrusek. Witold Bańka z PiS to nieodrodny syn swojej partii. Mimo że jako szef WADA (Światowej Agencji Antydopingowej) zarabia rocznie 120 tys. franków szwajcarskich (około pół miliona złotych), bez żenady sięga po dodatkową kasę. Do franków dorabia sobie, świadcząc „usługi promocyjne" na rzecz Stadionu Śląskiego i Śląskiego Urzędu Marszałkowskiego. Interesowny patriota tego regionu kasuje za to co miesiąc 20 tys. zł. A w wolnych chwilach, między chałturami, najchętniej mówi o przyzwoitości.

Zarabianie na „wyklętych"

Wystarczy rzucić hasło „wyklęci", a państwowa kasa leje się jak ropa w Teksasie. Bez ograniczeń, co roku więcej. Mechanizm łatwego zarobku odkryli pomysłowi rodacy. Na kłamstwach o „wyklętych" wyrósł już cały przemysł. Doją budżet, ile się da.
Jest kasa na wypasione etaty i sute pensje. Na dotacje, nagrody, wydawnictwa i wszystko, co tam komu przyjdzie do głowy. Na muzea w budowie też jest kasa. I to jaka! W Ostrołęce od lat budują muzeum „wyklętych". Tylko w tym roku z Ministerstwa Kultury trafiło tam 9 mln zł. Wystarczy na dobre pensje. Choćby Piotra Liżewskiego, dyrektora placówki. A wcześniej przez 17 lat komendanta Straży Miejskiej w Ostrołęce.

FOT. YOUTUBE, ARCHIWUM

eprasa.pl c0b3b09a9c

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

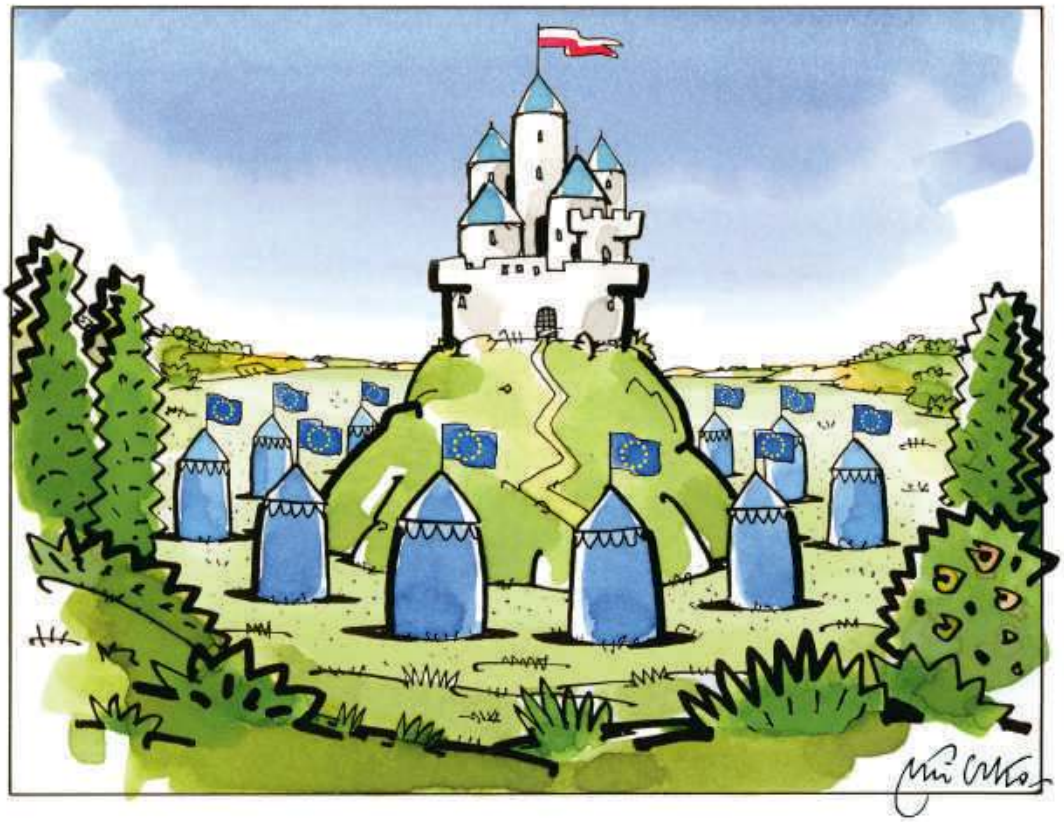

www.mleczko.pl

www.sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Jakich zmian wymaga polska policja?

PAWEŁ KASPRZAK,
Obywatele RP

Niezbędne jest dopisanie do art. 58 Ustawy o Policji ust. 4, przewidującego sankcje dla policjanta, który nie odmówi wykonania rozkazu przekraczającego prawo. Obecnie jest to artykuł pozbawiony sankcji, więc funkcjonariusza, który złamie jego postanowienia, można jedynie oskarżyć o niedopełnienie obowiązków służbowych. Poza tym policja, za wyjątkiem takich służb jak antyterroryści, biura zaawansowane technologicznie czy biura kryminalistyki, powinna zostać zdecentralizowana. I powinna w o wiele większym zakresie podlegać samorządom.

DR KRZYSZTOF JANIK,
były szef MSWiA

Na zmiany w policji trzeba spojrzeć w perspektywie długo- i krótkofalowej. W długofalowej policja wymaga zmiany mentalności. Gdzieś w umysłach funkcjonariuszy, bardziej przełożonych niż prostych policjantów, nadal drzemie przeświadczenie, że mają służyć władzy, a nie społeczeństwu, bo to władza dba o ich byt i daje podwyżki. Poza tym pewna część policjantów zapatrzyła się na filmy amerykańskie, a tamten model zupełnie nie pasuje do Europy. Natomiast w perspektywie krótkoterminowej powinniśmy postawić na wyższe wymogi rekrutacyjne, bo te ostatnio zostały obniżone do poziomu, przynajmniej dla mnie, niedopuszczalnego. Istotne jest też przeszkolenie – na nim nie wolno oszczędzać. Powinno być więcej zajęć z etyki, psychologii czy socjologii stosowanej. Potrzeba więcej kształtowania empatii, a nie tylko, że tak to ujmę, marszowego kroku.

MAGDALENA BIEJAT,
posłanka Lewicy Razem

Postulujemy, by policja podlegała większej kontroli społecznej. Jej instrumentem byłoby Biuro Monitorowania Policji, nadzorowane przez Sejm. Umożliwiałoby ono monitorowanie skarg na przekraczanie przez policjantów uprawnień. Wiemy, że np. do sytuacji, kiedy do osób zatrzymanych nie dopuszcza się od razu adwokatów, dochodziło już wcześniej. Jednak nie było to tak nagłaśniane jak podczas ostatnich protestów. Dlatego w takich przypadkach powinien działać sprawny mechanizm skargowy. Nie możemy oczekiwać od żadnej instytucji, czy to publicznej, czy prywatnej, że będzie skutecznie kontrolować sama siebie. Najważniejsze jest to, aby właśnie w ten sposób przywrócić zaufanie do policji.

PIOTR KUBASZEWSKI,
prawnik, koordynator Programu Interwencji w Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka

Pierwszą zmianą powinno być wprowadzenie rozwiązania znanego z Wielkiej Brytanii: każdy funkcjonariusz, który interweniuje na ulicy, powinien mieć na mundurze kamerkę rejestrującą przebieg jego służby. Funkcjonariusz nie powinien mieć możliwości wyłączenia tego sprzętu ani jakiejkolwiek manipulacji przy nim. Umożliwiłoby to wykorzystywanie nagrań jako materiału dowodowego.

MICHAŁ CZARNOWSKI,
czytelnik PRZEGLĄDU

Policja wymaga zmian kadrowych. Wywalić wszystkich aparatczyków partyjnych na zasadzie czystek, jakie zrobiono w 1990 r. w byłej milicji i SB. Obecna sytuacja nie jest winą szeregowych funkcjonariuszy – wszystko idzie od góry.

Not. Kornel Wawrzyniak

Więcej komentarzy na ten temat na www.tygodnikprzeglad.pl, w nowej rubryce Z dnia na dzień

eprasa.pl c0b3b09a9c

Orbán negocjował z Kaczyńskim warunki wycofania weta. Był już po uzgodnieniach z Niemcami, odgrywał więc rolę pośrednika.

Tygrysy Europy

Na przyszłość: mniej ideologii i bajania, więcej Realpolitik

Robert Walenciak

Kurz opadł. Kilka tygodni temu, gdy pytaliśmy Jana Truszczyńskiego, jak się skończy wojna o weto i jak w Brukseli patrzy się na zapowiedzi Polski oraz Węgier, odparł: „Jest taka atmosfera, że nawet jeśli trzeba będzie jakiś dokument naprędce skonstruować i rzucić go Polakom i Węgrom jako listek figowy, podać go Morawieckiemu i Orbánowi – pokażcie w kraju, że coś uzyskaliście – nie ma woli, by było to coś poza ogólną deklaracją. Nie ma mowy, by był to dokument mający znaczenie prawne, w tym sensie, że narzucałby instytucjom i rządom państw członkowskich jedną zawężoną interpretację. Jakiś »listek figowy« zostanie zatem skonstruowany. Ale nie będzie on zbyt duży”.

Tak też się stało. Jan Truszczyński, były wiceminister, negocjator naszego wejścia do Unii, były ambasador RP przy Unii, wreszcie unijny urzędnik wysokiego szczebla, precyzyjnie opisał sytuację i jej możliwe warianty. Pakiet: budżet, Fundusz Odbudowy, rozporządzenie o warunkowości, obudowany został tzw. Konkluzjami Rady Europejskiej, czyli deklaracją polityczną. Tak aby premier Morawiecki mógł opowiadać o „podwójnym zwycięstwie”. Koniec, kropka.

Cóż bowiem Morawiecki ugrał? W owych konkluzjach czytamy, że rozporządzenie o warunkowości będzie się odnosiło do zagrożeń korupcyjnych, do sytuacji, kiedy środki unijne będą defraudowane. Jest to więc jakaś mglista obietnica uznania przez Unię, że przejmowanie przez PiS sądów nie zagraża praworządności. Ale niczym niepoparta, sprawa zatem – jak to w Unii – jest niedopowiedziana i otwarta. Obiecano też Węgrom i Polsce, że rozporządzenie pieniądze za praworządność nie będzie stosowane, dopóki Trybunał Sprawiedliwości UE nie rozpatrzy skargi, że jest niezgodne z prawodawstwem unijnym. A to, jak się szacuje, może potrwać dwa lata.

Innymi słowy, „sukces” Polski i Węgier polegał na tym, że stosowanie zasady warunkowości zostało odłożone w czasie. Sukces odniósł więc Orbán.

•

Orbánowi najbardziej zależało na tym, by rozporządzenie nie weszło w życie przed wyborami na Węgrzech w 2022 r. Gdy tę gwarancję dostał, szybko zmienił front. Przypomnijmy sobie relacje z wtorkowego wieczoru. Wtedy to Orbán przyleciał do Warszawy, by spotkać się z Jarosławem Kaczyńskim i Mateuszem Morawieckim. Jakież to sprawy okazały się tak trudne, że trzeba było je uzgadniać osobiście, a nie przez specjalne łącza?

Odpowiedź jest chyba prosta – Orbán negocjował z Kaczyńskim warunki wycofania weta. Był już po uzgodnieniach z Niemcami i odgrywał rolę pośrednika. Dodajmy jeszcze jedno – te rozmowy odbywały się po deklaracji, że Unia praktycznie opracowała już mechanizm powołania mniejszego Funduszu Odbudowy dla 25 państw, bez Polski i Węgier.

Na stole leżała zatem odpowiedź na weto – Fundusz Odbudowy bez Polski i Węgier. A na to, że rezygnuje z 50 mld euro, Kaczyński nie mógł sobie pozwolić. Tym bardziej że na polu bitwy zostawał sam. Tak oto Orbán jeszcze raz rozegrał Warszawę.

•

Nasuwają się dwa podstawowe pytania. Po pierwsze, dlaczego polski rząd pchał się w wojnę, w której nie miał szans niczego ugrać, co najwyżej naraził się na śmieszność i wywołał irytację. Źle rozpoznał sytuację w Unii czy coś innego pchało go do boju? Po drugie: co dalej?

Jeśli chodzi o przyszłość Unii, to odpowiedź jest prosta – karawana jedzie dalej. Przyjęty na szczycie w Brukseli budżet, a zwłaszcza Fundusz Odbudowy, wymaga działań,

FOT. ORBAN VIKTOR/FACEBOOK

eprasa.pl c0b3b09a9c

by pieniądze zaczęły trafiać do adresatów. Polska i Węgry są gdzieś z boku, narażone na uszczypliwe komentarze.

Kpi z Orbána i Morawieckiego „Frankfurter Allgemeine Zeitung": „W ostatnich tygodniach rządy Polski i przede wszystkim Węgier głośno krzyczały. Zawarły nawet sojuszniczy pakt, aby bronić się przed resztą Unii Europejskiej. Jeszcze kilka dni temu Viktor Orbán odsuwał daleko od siebie myśl, że mógłby zamienić swoje weto przeciwko pakietowi finansowemu UE na polityczną deklarację. I porównał taką deklarację do przyczepienia pinezką na tablicy ściennej małej karteczki. Na taką karteczkę Orbán w środę się zgodził. Z obu tygrysów zostały więc futrzane dywaniki pod łóżkiem".

•

Dobry humor niemieckich komentatorów nie dziwi, ale zwróćmy uwagę na reakcję innych. Najbardziej odsunięciem groźby weta zainteresowani byli politycy południa Europy, bo to ich kraje najmocniej potrzebują pieniędzy z Funduszu Odbudowy. I co ciekawe, w ostatnich dniach emanowali oni spokojem. Zgodnie mówili, że negocjacje się toczą, że sprawy zmierzają do dobrego finału itd. Strachu w ich słowach nie było. A skąd brała się pewność, że weta nie będzie? Czy nie z tego, że uspokajali ich niemieccy dyplomaci? Zapewniając, że mają sytuację pod kontrolą?

Jeżeli prześledzi się niemiecką prasę czy wypowiedzi niemieckich polityków, jedno rzuca się w oczy – są dobrze zorientowani w polskich sprawach, wiedzą, który polityk ile waży, co może i o co gra. Odróżniają też, co jest politycznym spektaklem, a co walką o realne interesy. „W Polsce ma miejsce forsowana przez rządzących radykalizacja, która zaostrza się niezależnie od UE. Powodem jest coraz brutalniejsza walka o władzę i schedę po Jarosławie Kaczyńskim" – to opinia dziennika „Süddeutsche Zeitung", który szczegółowo rozwodzi się na temat rywalizacji Ziobro-Morawiecki, konkludując: „Wewnętrzna walka o władzę w Polsce dopiero się zaczęła".

•

Natomiast w Polsce, gdy Zjednoczona Prawica rozpoczęła kampanię przeciwko rozporządzeniu pieniądze za praworządność, ton rządowych mediów brzmiał zupełnie inaczej. Nie było analiz, kto w Unii o co gra, np. jak rozegrać Francuzów, jak Szwedów, a jak Niemców. Był za to jeden wielki krzyk: bronimy niepodległości Polski przed niemieckim najazdem.

„Nie można czegoś, co jest bezprawne, poprawić; trzeba to obalić wetem i napisać nowe", wołał europoseł PiS Jacek Saryusz-Wolski, choć wiedział, że rozporządzenie warunkujące już zostało przez Radę UE przyjęte. Ekspert PiS ds. polityki zagranicznej Przemysław Żurawski vel Grajewski zapewniał zaś w mediach, że Polska ma mocne karty, że może grozić wetem i że to będzie skuteczne. Bo najpierw ze strachu przed brakiem pieniędzy ugną się państwa południa Europy, a potem ci z północy.

„To jest wojna o suwerenność – powtarzali politycy prawicy. – Nie możemy ulegać szantażowi". A Zbigniew Ziobro zachęcał premiera, by zawetował budżet Unii, bo chyba nie może być „miękiszonem". „Weto albo śmierć. Walczymy o polską suwerenność", patetycznie pisał na Twitterze Janusz Kowalski, wiceminister aktywów państwowych.

„Sukces" Polski i Węgier polegał na tym, że stosowanie zasady warunkowości zostało odłożone w czasie.

Twój prezent na święta

BUNTOWNIK – Karol Modzelewski

Człowiek, który uratował honor lewicy

65 zł

www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Wpłaty 65 zł prosimy dokonywać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7. W cenę wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Pocztą Polską. Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +10,00 zł, paczka w RUCH-u +6,99 zł lub dostawa kurierem InPost +14,90 zł.

eprasa.pl c0b3b09a9c

Do weta przygotowywały nas także prawicowe media. TVP Info cytowała kolejne wypowiedzi wrogów Unii. A „Gazeta Polska" zamieściła jednoznaczną okładkę z wydrukowanym ostrzeżeniem: „Ukradną nam pieniądze i każą spłacać cudze długi. Pułapka unijnego koronafunduszu". Sugerując, że rezygnacja z pieniędzy z Funduszu Odbudowy to całkiem dobre rozwiązanie.

„Frankfurter Allgemeine Zeitung": Z obu tygrysów zostały futrzane dywaniki pod łóżkiem.

Jak więc żyć po takiej propagandowej artylerii? „Jeśli to prawda, to przegraliśmy polską suwerenność", komentował wyniki „kompromisu" w Brukseli były minister spraw zagranicznych Witold Waszczykowski.

•

Czy przegraliśmy? Tak. Może nie wojnę, ale bitwę na pewno. I nie dlatego, że przyjęte zostały budżet i Fundusz Odbudowy, a Polska nie postawiła temu weta. Nie, Polska poniosła klęskę na innym polu. Oczywiście pomysł, by wetować budżet i Fundusz Odbudowy, był bezsensowny, może dobry dla PiS, ale na pewno nie dla Polski. Dobrze więc, że weta nie było. Ale przecież w tej całej sprawie ujrzeliśmy coś innego – absolutną nieskuteczność Polski w Europie i jej osamotnienie.

Kto poparł Polskę, gdy chciała zatrzymać rozporządzenie pieniądze za praworządność? Węgry. A ktoś inny? Podobno miała nas popierać Słowenia. Nic z tego nie wyszło. Podobno do Polski miała się przyłączyć Portugalia. Nic z tych rzeczy. A Grupa Wyszehradzka, której obecnie przewodzimy? Cisza. A Trójmorze, którego podobno jesteśmy liderem? Też cisza. Nawet słów otuchy.

Zwróćmy uwagę na inny element. Otóż rozporządzenie warunkujące rodziło się w Unii latami. Dyskutowano o tym na różnych forach. I w Komisji Europejskiej, i w Radzie UE, i w Parlamencie Europejskim. We wszystkich tych instytucjach polski rząd, polska prawica miały swoich przedstawicieli. Te rozmowy i negocjacje nie były dla rządu tajemnicą. Dlaczego zatem je przegrał? Dlaczego nie potrafił zbudować jakiejś blokującej koalicji?

Odpowiedź jest prosta: bo Polska była sama. A ponieważ była sama, to – używając patetycznego języka – musiała polec, tak jak w roku 1939.

Janusz Kowalski: Weto albo śmierć. Walczymy o polską suwerenność.

I to jest najważniejsze przesłanie na przyszłość – najwyższy czas, by PiS i polski rząd ogólnie zrozumiały, że polityka zagraniczna polega nie na wygłaszaniu patriotycznych dyrdymałów, że nie oddamy ani guzika, tylko na skutecznej grze. A do tego potrzeba zawodowych dyplomatów, którzy będą wiedzieli, kto w co gra i jakie koalicje można zbudować. I takich, którzy to przeprowadzą. Do tego trzeba również mądrej polityki. I mniej wiary w Viktora Orbána. Czyli: mniej ideologii i bajania, więcej *Realpolitik*.

•

Kryzys związany z wetem pokazał też fatalną sytuację polskiej prawicy, panujący tam bałagan. O tym bałaganie piszą zresztą Niemcy, i to tak, jakby mieli w środku informatorów.

Spójrzmy na to: umowę w sprawie weta negocjował nam Viktor Orbán, we wtorek wieczorem w Warszawie. Negocjował z wicepremierem ds. bezpieczeństwa, premier służył tu za tłumacza. Ministra spraw zagranicznych nie było, a wcześniej w jego roli pokazywał się minister sprawiedliwości.

Wszyscy oni w parę godzin zmienili zdanie o 180 stopni. Zostawili przy okazji na lodzie armię propagandystów, którzy tygodniami zohydzali nam Unię. Jednak ta lana dzień po dniu antyunijna propaganda, w wielkim stopniu kłamliwa, nie rozpłynęła się przecież we mgle. PiS i ziobryści w ostatnich tygodniach wiele zrobili, by nastawić opinię publiczną przeciw wspólnym instytucjom. Partia antyunijna jest więc dziś silniejsza, bardziej wpływowa niż parę miesięcy temu. Ziobro tak czy inaczej na awanturze zyskał. Morawiecki, który jeszcze parę miesięcy temu opisywany był jako ulubiony polityk prezesa PiS, jako delfin, dziś jest co najwyżej zderzakiem. Jego pozycję najlepiej pokazuje debata sejmowa nad wotum nieufności wobec Kaczyńskiego. Morawiecki wszedł na trybunę i zamiast rzeczowych argumentów wygłaszał żenujące peany na cześć prezesa. Bo już tylko na jego przychylności wisi… Przez chwilę można było się poczuć nie jak w Europie Środkowej, ale jak w Azji Środkowej. Niestety, te bzdury wygłaszane przez PiS na temat Unii i te hymny na temat Kaczyńskiego nie są już śmieszne. Są straszne.

Warto też się zastanowić, jaką rolę w tym wszystkim odgrywał Jarosław Kaczyński. Czy rzeczywiście jest tak, jak piszą niemieckie gazety, że nie panuje nad walkami o to, kto go zastąpi? Że nie ma wpływu na ziobrystów? Że szef TVP prowadzi własną politykę? Jeżeli tak, to oznacza, że kolejne wojny na górze są dopiero przed nami.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Z Facebooka Marka Greli, byłego ambasadora RP przy UE

Europejski żart roku 2020 – oświadczenie Morawieckiego: „Porozumienie, które wynegocjowaliśmy, to podwójne zwycięstwo".

Przyjęcie kompromisu uzgodnionego wstępnie między prezydencją niemiecką oraz Polską i Węgrami w ostatnich dniach zostało podczas pierwszego dnia unijnego szczytu (10 grudnia) zablokowane przez Holandię.

Brukselskie „Politico" relacjonujące szczyt na żywo pisze: „Premier Holandii Mark Rutte przybył na szczyt z trzema postulatami: aby kompromis w zakresie praworządności miał poparcie Parlamentu Europejskiego; gwarancji ze strony służby prawnej Rady Unii Europejskiej, że nie zostanie obniżone znaczenie rozporządzenia pieniądze za praworządność w stosunku do tego, co zostało wcześniej uzgodnione w negocjacjach z posłami do Parlamentu Europejskiego; oraz że naruszenia praworządności mogą być karane z mocą wsteczną od 1 stycznia 2020 r., nawet jeśli wdrożenie mechanizmu jest opóźnione (o dwa lata – czego domagały się Polska i Węgry).

Według unijnego dyplomaty holenderski premier dostał to, czego się domagał: »Rutte uzyskał zapewnienie w sprawie trzech pytań, które zadał dziś rano«".

eprasa.pl c0b3b09a9c

Do władzy doszli ci, którzy przestali się uczyć

Włożyliśmy dużo wysiłku w to, żeby edukacja powszechna była na kiepskim poziomie

Rozmawia Robert Walenciak

PROF. ŁUKASZ TURSKI
– fizyk, profesor w Centrum Fizyki Teoretycznej PAN

Wierzy pan w postęp?

– Różne są postępy… Ale w to, że ten naukowy i techniczny będzie trwał, wierzę. Natomiast mam pewien problem – zastanawiam się, jakie będzie tempo tego rozwoju. A nade wszystko, jaki będzie jego kierunek.

I czy potrafimy z postępem, z tymi wszystkimi nowinkami, sobie radzić.

– Historia pokazała, że fenomenalnie daliśmy sobie z tym radę. Mogę dać panu przykład – na pewno pan pamięta film Stanleya Kubricka „2001: Odyseja kosmiczna". Zaczyna się od tego, że jakiś małpolud siedzi gdzieś w Azji czy Afryce i bawi się kością zwierzęcia, które upolował. I nagle rozumie, że tą kością można robić różne rzeczy, posługiwać się nią. I rzuca ją w górę, ta kość wiruje i zamienia się w stację kosmiczną, tę z filmu. Właśnie to, że nie jesteśmy na poziomie naszych prapraprzodków, to dowód, że z postępem technicznym i naukowym dajemy sobie radę. Piszczelą, którą małpolud miał w ręce, równie dobrze można rozbić orzech kokosowy, żeby wypić jego zawartość, jak i roztrzaskać głowę sąsiada. Każdy element postępu mógł być wykorzystany niebezpiecznie, mógł smutno się skończyć, ale tak się nie stało. Bo nie jesteśmy małpoludami, przynajmniej niektórzy. I jakoś to wszystko się toczy, raz gorzej, raz lepiej. Choć teraz jest dołek w rozwoju. Ale z tego wyjdziemy.

Jaki dołek?

– Niewątpliwie cezurą był przełom poprzednich stuleci, kiedy nastąpiła gigantyczna, właściwie fundamentalna zmiana paradygmatu rozwoju nauki i techniki. Spojrzenie na naukę się zmieniło. Skąd ta rewolucja? Fizyka pokazała, że świat jest inaczej zbudowany, niż myśleliśmy do końca XIX w. I właściwie postęp techniczny, który dzisiaj konsumujemy, jest w olbrzymiej mierze pochodną niesamowitej eksplozji rozwoju fizyki i nauk fizykopodobnych, która nastąpiła w pierwszej połowie XX w. Potem wykorzystano to do rozwoju cywilizacyjnego po II wojnie światowej. Do lat 70. rozwój świata był niebywały, i to w każdym kierunku. O czym w ogóle jak gdyby się zapomniało. Przypominam więc – zielona rewolucja Borlauga! Odwrócono monstrualną klęskę głodu! W Azji, w Afryce…

A gdy odwrócono klęskę głodu, można było rozwinąć naukę, przemysł…

– Symbolem postępu, zmiany techniki i technologii, jest tranzystor. Stawał się coraz mniejszy i w związku z tym coraz łatwiej było budować coraz bardziej skomplikowane urządzenia. Pamięta pan polskie przenośne radio tranzystorowe Szarotka? Żeby było rzeczywiście przenośne, była dokładana do niego bateria anodowa, waga – 5 kg, w związku z tym nosiło się je w specjalnym worku. W tej chwili radio prawie nic nie waży. Telefon prawie nic nie waży.

A ile ma funkcji!

– Ale smartfon nie jest jakimś gigantycznym postępem naukowym! To tylko wyciskanie coraz więcej z już znanych zjawisk i osiągnięć nauki. Rozwój informatyki – to jest natomiast niesamowity postęp. Mogę podać przykład z własnego życia. W 1984 r. byłem profesorem gościem w instytucie badawczym w Jülichu. Dostał on wtedy pierwszy

Stworzono nieokiełznany świat chłamu internetowego.

eprasa.pl c0b3b09a9c

w Europie cywilny superkomputer Cray X-MP. To był najszybszy dostępny cywilnie komputer na świecie. Korzystając z niego, zajęliśmy się problemem, dlaczego szkło jest szkłem. I próbowaliśmy zrobić szkło z argonu, najprostszej możliwej cieczy, która dawałaby się modelować na komputerze. Byliśmy w stanie posługiwać się modelem, który zawierał 516 atomów argonu. I to był gigantyczny skok do przodu. Ale… w 1986 r. jedna fizyczka z Japonii skorzystała z innego komputera, Fujitsu, który był już trochę lepszy od Craya. I ona nas „puściła z torbami". Bo miała szybszy komputer i lepszych programistów. A w tej chwili na laptopie można zrobić kilkadziesiąt razy więcej, niż myśmy wtedy na tym Crayu zrobili. Obecne superkomputery robią zaś już zupełnie nieprzytomne rzeczy. A gdy powstaną komputery kwantowe… Postęp technologiczny daje możliwości niebywałego rozwoju. Niestety, są kierunki, w których prowadzi do regresu. Stworzono zupełnie nieokiełznany świat chłamu internetowego.

I gier.

– Niezupełnie. Sporo to rzeczywiście tandetna rozrywka, ale są również gry kształcące, rozwijające. Uważam, że technologie gier komputerowych, a zwłaszcza talenty i wiedzę ich twórców, należy wykorzystać w koniecznej przemianie systemu edukacji powszechnej. Niewątpliwie także to, że nie zastanawialiśmy się nad negatywnymi stronami pewnych elementów postępu, okazało się dość destruktywne. Na przykład powstanie sieci społecznościowych.

To coś złego?

– Niewątpliwie mają one swoje pozytywy. Ale przecież nie myśleliśmy o żadnych konsekwencjach, o niczym poza tym, żeby je rozwijać. Najlepiej ujął to Wojciech Młynarski: myśmy się bardzo rozdokazywali. I to spowodowało, że *per saldo* obecny świat stanął bezradny wobec covidu. To nie dżuma, a okazało się, że jesteśmy na tę pandemię zupełnie nieprzygotowani. Również z tego powodu, że postęp technologiczny wywołał rozwarstwienie na świecie. To nie jest rozwarstwienie bogaci-biedni.

A jakie?

– To jest rozwarstwienie ludzi, którzy przestali chcieć się uczyć.

Technologie gier komputerowych, a zwłaszcza talenty i wiedzę ich twórców, należy wykorzystać w koniecznej przemianie systemu edukacji powszechnej.

eprasa.pl c0b3b09a9c

A niestety oni doszli do władzy. Wystarczy popatrzeć, jak straszliwie na całym świecie poziom intelektualny uprawianej polityki odstaje od poziomu nauki, kultury, sztuki. Już nie chcę mówić o Polsce, bo mi lekarz zakazał... Ale niech pan popatrzy na upadek amerykańskiej cywilizacji. Jestem świeżo po lekturze książki Boba Woodwarda o Trumpie, a przedtem jeszcze przeczytałem Johna Boltona. Tu nie chodzi nawet o samego Trumpa, ale o całe środowisko, które dorwało się tam do władzy. Jego sposób myślenia. Podobnie jest w wielu innych krajach. Polska nie jest przypadkiem odosobnionym.

I mamy regres.

– Ale to w historii było już wiele razy. Wyjdziemy z tego! Przy naszym poziomie nauki i technologii jesteśmy w stanie rozwiązać wszystkie obecne problemy. Absolutnie! Tylko trzeba je potraktować poważnie. I trzeba przestać uważać, że najważniejszą rzeczą jest zabawa. Świat nie przeżyje, jeżeli głównym naszym zajęciem będzie picie kawy *latte* z mlekiem sojowym. Trzeba wziąć się do roboty.

Nad czym trzeba pracować?

– A jak wygląda rozwój naszej cywilizacji? Był on oparty na zwiększającym się wraz z nim dostępie do źródeł energii. Wszystko, co robimy, jest oparte na konsumpcji energii.

Nie ma energii, nie ma rozwoju?

– To jest ten hamulec. Dlatego lata 50. były czasem wielkiego postępu w celu zdobycia nowych źródeł energii. Z założeniem, że muszą być bezpieczne.

Co to znaczy?

– Ano właśnie! Różnie to słowo jest rozumiane.

Przede wszystkim, że elektrownia nie wybuchnie.

– Takie źródło energii jak energia jądrowa jest skażone grzechem pierworodnym bomby atomowej. To nic, że energia jądrowa nie ma nic wspólnego z bombą atomową. Gdybyśmy mieli rozsądną, porządną szkołę, wiedzielibyśmy, że na bombę trzeba mieć przeszło 90-procentowy uran, a w elektrowni jest pięcioprocentowy. W żaden sposób nie może ona się zamienić w bombę atomową itd.

Mimo to ludzie boją się takiej elektrowni.

– A niebezpieczeństwem okazało się rozwijanie energetyki nie jądrowej, lecz konwencjonalnej, która doprowadziła do problemów klimatycznych. Jeżeli ich się nie rozwiąże, to prędzej czy później, za lat 20-40, kryzys klimatyczny wywołany przez kryzys energetyczny będzie poza skalą. I co wtedy się stanie?

Świat o tym dyskutuje.

– Na jakim poziomie? Świat dyskutuje też o sztucznej inteligencji. I oto czytam książkę z radami dla świata na XXI w. – że jak się rozwinie sztuczna inteligencja, to jak się

eprasa.pl c0b3b09a9c

para pokłóci, urządzenia korzystające ze sztucznej inteligencji napiszą jej utwór muzyczny, który ją uspokoi. Tym się zajęliśmy! Kompletnie niepotrzebnymi głupstwami, nie rozumiejąc, że sytuacja świata zrobiła się naprawdę niepokojąca. I nie rozwiąże jej nawet najsympatyczniejsza panienka ze Szwecji.

A kto?

– Taką sytuację można rozwiązać tylko uporczywą pracą, która wymaga dobrego wykorzystania rozwoju nauki. Kilka dni temu amerykańska komisja regulacyjna energetyki jądrowej dopuściła do następnej fazy badań projekty tzw. kompaktowych elektrowni jądrowych. Wielki krok do przodu! Wydarzyło się to w okresie, kiedy w Niemczech była kolejna flauta i znowu zadrżała energetyka budowana na odnawialnych źródłach energii.

Widocznie nie wiało.

– Więc znów mogliśmy się przekonać, jak ta energetyka z odnawialnych źródeł jest niestabilna. Oczywiście nic złego się nie stało, bo istnieją konwencjonalne źródła, tylko trzeba było znowu więcej wycisnąć z tych niesamowicie nowoczesnych, ale sto lat temu, źródeł energii. Tych, które nas pchnęły w rozwoju cywilizacyjnym niebywale do przodu. Ale ich czas już minął!

Kompaktowe elektrownie jądrowe to jest przyszłość?

– Niecałkowicie. Ale to olbrzymi postęp. Mówi się o tym od dawna. Gdy byłem w Szwajcarii, jeszcze w latach 70. pokazywali model reaktora dla wsi, wielkości sporego jacuzzi, który przywozi się do miejscowości, zakopuje ileś metrów pod ziemią i z którego wychodzą dwie rury – jedna, w którą leje się wodę, i druga, którą bucha para, która idzie do turbin. I to wszystko. To przez mniej więcej sześć lat sobie działa, po czym przyjeżdża ciężarówka, wykopuje ten stary, zakopuje nowy. A stary wywozi do odpowiedniego miejsca, w którym te resztki są utylizowane itd. Nauka zna te rozwiązania. Tylko się nimi nie zajmowano, ponieważ zajmowaliśmy się zabawą. Rozdokazywaliśmy się.

Takie rozwiązanie pewnie było za drogie.

Samochód elektryczny jest tani. To, co kosztuje, to źródło jego zasilania.

– To nie było wcale drogie! A poza tym co znaczy drogie, a co znaczy tanie? Pamięta pan telefony kaloryfery z początku lat 90.? Te wielkie? To źle działało, było potwornie drogie, ale ponieważ dało się wpuścić w koszty firmy, kupowało się ten kaloryfer i z nim paradowało. A teraz? Ile czasu od tego minęło? Dwadzieścia parę lat? I cały świat ma telefony. Niemal każdy nieszczęśnik na łodziach imigranckich ma telefon komórkowy w ręku.

Jeśli mówimy o przyszłości, nie sposób nie wspomnieć o samochodach.

– Z samochodami jest osobna historia. Energia elektryczna jest super i samochód elektryczny jest niezwykle tani. To, co kosztuje, to jego źródło zasilania.

Dziś ścianą jest magazynowanie energii elektrycznej. Owszem, umiemy ją wytwarzać, ale nie potrafimy jej magazynować.

Dlaczego?

– Są pewne działy nauki, w których doszliśmy do ściany. I nie potrafimy na razie znaleźć metod jej pokonania. Dziś taką ścianą jest magazynowanie energii elektrycznej. Owszem, umiemy ją wytwarzać, także w czysty sposób, wykorzystując energię jądrową, natomiast nie potrafimy jej magazynować. Nie potrafimy, ponieważ gęstość energii elektrycznej zmagazynowanej, czyli ilość energii na jednostkę objętości, jest bardzo mała.

Poza tym człowiek, który dotychczas zrobił wszystkie najlepsze baterie, czyli polimerowo-jonowe, John Goodenough, ma 98 lat. Jest już w nie najlepszej formie fizycznej i kiedy w zeszłym roku odbierał Nagrodę Nobla, w towarzystwie pani Tokarczuk, jechał na wózku. Choć do dzisiejszego dnia pracuje w swoim laboratorium. Nie umiemy więc magazynować energii elektrycznej i dlatego rozwiązaniem jest wodór. Ma on w zasadzie podobną gęstość energii jak paliwa płynne, natomiast jest zupełnie czysty.

W tym systemie silnik samochodu jest jak mała elektrownia, wytwarza prąd. A paliwem jest wodór.

– Ten system nie zmieni zatem naszej cywilizacji. Będą takie same stacje jak dzisiejsze benzynowe. Bo taki „czysty" samochód elektryczny to ułomna konstrukcja.

Dlaczego?

– Mamy w Polsce ok. 16-17 mln samochodów. Gdyby każdy był tak sprawnym samochodem elektrycznym jak Tesla, produkcja energii elektrycznej w Polsce musiałaby wzrosnąć o ok. 35-40%. To, przy konwencjonalnej produkcji energii elektrycznej, nawet wspieranej OZE, oznacza dramatyczne, o kilkanaście procent, zwiększenie emisji dwutlenku węgla.

Lepszą przyszłość ma więc wodór?

– Ale ludzie boją się wodoru. Bo jest legenda, że to niebezpieczne. Pewnie widział pan film „Hindenburg", jak wybucha sterowiec.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, ADOBESTOCK

eprasa.pl c0b3b09a9c

Owszem, on wybuchł, ale palił się nie wodór, tylko paliwo do silnika Diesla. Ale i ten problem uda się rozwiązać, korzystając z pomocy nauki. Nie namawiam nikogo do budowania do ruchu po Ziemi pojazdów typu marsjańskich łazików, które są wielkości sporego SUV-a…

A co je napędza?

– Taki łazik nie jest na baterie słoneczne, bo za daleko od Słońca, tylko jest zasilany baterią jądrową z plutonu 238 (nienadającego się do produkcji bomb), która za pomocą prostego przetwornika ciepło-prąd elektryczny utrzymuje ten pojazd w ruchu. Ten izotop plutonu, zresztą jak i ten drugi, nadający się do produkcji broni, jest niezbyt szkodliwy radiacyjnie. To przykład, że na pewno problemy energetyczne rozwiążemy, korzystając z nauki, no i postępując bez histerii, rozważnie. Jeśli występuje jakiś problem – trzeba go nazwać, określić. A potem go rozwiązać. I nie reagować histerycznie.

Gdy zaczęły jeździć pociągi, wołano, że krowy przestaną dawać mleko.

– A przed samochodami miał iść człowiek z czerwoną chorągiewką. O postęp więc się nie bójmy, bo będzie. Gorsze jest to, że mamy dramatyczną zapaść jakości polityki.

Może i społeczeństwa?

– Nie! Społeczeństwo jest! Ale jeśli ciągle mu się mówi, że podstawową rzeczą jest zabawa? O czym mówią choćby ruchy miejskie? O tym, żeby były szerokie chodniki do spacerów. Nikt nie chodzi na te spacery! Szczególnie zimą i jesienią… Mydli się ludziom oczy, mówiąc, że praca jest niepotrzebna. Wołam na to: Nie! Cywilizacja przetrwa, jeśli będzie oparta na pracy. Owszem, odpoczynek jest potrzebny. Ale do tego, żeby móc pracować, a nie na odwrót!

W tej chwili najciężej pracują społeczeństwa azjatyckie.

– One jeszcze się nie rozdokazywały. Ja wierzę, że po każdym kataklizmie ludzie się mobilizują. Po I wojnie światowej jak się zmobilizowali! Tylko dopuścili bardzo szybko do głosu fatalną klasę polityczną. Po II wojnie światowej mieliśmy niesamowity okres spokoju. Być może dlatego, że wymyślono wojny zastępcze. A teraz znów mamy bardzo mizerną klasę polityczną i nie wiadomo, co ona wywoła. Choćby przez przypadek. Tak jak w Polsce – politycy, zupełnie przez przypadek, mogą nas wyprowadzić z Unii Europejskiej. I nawet nie będą wiedzieli, że to zrobili. Jak jest bardzo skomplikowany układ, to robienie głupich błędów może doprowadzić do katastrofy. Z tego powodu wyleciał w powietrze Czarnobyl – sytuacja była skomplikowana, a oni robili głupoty. Byli niedouczeni, poza tym panicznie bali się zwierzchników.

Odnoszę wrażenie, że społeczeństwo mniej wierzy w postęp. Zajmuje się historyjkami, zabawą, politykę traktuje jak plotkarską zabawę.

– Jednym z elementów kryzysu końca lat 80. XX w. było istotne pogorszenie poziomu edukacji, jej zdewaluowanie. To już Jefferson powiedział, że tylko wykształceni ludzie mogą obronić wolność. I myśmy, na całym świecie, a już szczególnie w Polsce, włożyli duży wysiłek w to, żeby edukacja powszechna była na kiepskim poziomie. To, że nikt nie miał ochoty przeprowadzić porządnych zmian w szkolnictwie, jest niewybaczalnym błędem ekip rządzących w Polsce po 1989 r. Akurat trudno mnie posądzać o brak sympatii do rządu Mazowieckiego, ale np. wprowadzenie religii do szkół było kolosalnym błędem. Potem to, co wyczyniali kolejni ministrowie… Ci pisowscy system dobili. A to, co zapowiada się pod rządami obecnego ministra… Nawet nie chcę o nim myśleć, bo cokolwiek wymyśli się przerażającego, on to zrobi.

Dlaczego jest coraz gorzej?

– Szkolnictwo nie było w centrum zainteresowania władz. Owszem, wypowiadano górnolotne hasła, a wychodziło jak zawsze. I to jest ten powód, dla którego nam się wydaje, że społeczeństwa są gorsze. Nie! One są równie dobre! Proszę spojrzeć do internetu, ile pojawia się oddolnych ruchów nauczycielskich. Patrzę na to z radością. Z tymi nauczycielami, którzy ujawniają się w tych ruchach, to ja mógłbym na Marsa polecieć! Jeszcze Polska nie zginęła, panie redaktorze!

Mydli się ludziom oczy, mówiąc, że praca jest niepotrzebna. Wołam na to: Nie! Cywilizacja przetrwa, jeśli będzie oparta na pracy.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Z wielkim żalem zawiadamiamy, że zmarł

Prof. Adam Koseski

Wieloletni rektor Akademii Humanistycznej w Pułtusku. Wybitny historyk, autor wielu znaczących prac z zakresu najnowszej historii Polski, Bałkanów i Kaukazu. Inicjator i współautor wielotomowych „Dziejów Mazowsza". Profesor i wychowawca, z oddaniem kształcący tysiące młodych historyków i politologów. Za swoją powinność uważał edukowanie młodzieży z uboższych rodzin z terenów północnego Mazowsza. Jako dziecko widział tragedię powstania na Woli. Obrazy z dzieciństwa sprawiały, że umiał odróżniać chciejstwo od realizmu politycznego. Człowiek lewicy. Skromny. Życzliwy. Pomocny ludziom. Wielki sympatyk i autor „Przeglądu".

Rodzinie i Bliskim składamy wyrazy głębokiego współczucia

Jerzy Domański i Paweł Dybicz

Z głębokim smutkiem żegnamy

Prof. Adama Koseskiego

Przewodniczącego Rady Fundatorów Fundacji Archiwum Dokumentacji Historycznej PRL Człowieka, z którym łączyła nas przyjaźń i idea gromadzenia archiwaliów odnoszących się do Polski Ludowej i lewicy. Dokumentowanie przeszłości oraz publikowanie zbiorów archiwum. Zapamiętamy Jego życzliwość i wielką pomoc w realizacji działań statutowych.

Rada Fundatorów

eprasa.pl c0b3b09a9c

Jak przeżyć samotne święta

Samotność najbardziej odczuwają ludzie młodzi, w wieku 18-24 lata

Rozmawia Anna Brzeska

Mamy drugą falę pandemii. Wiele osób jest na kwarantannie, szkoły wciąż zamknięte, izolujemy się. Mówi się nam, że święta też powinniśmy spędzić w samotności. Wszyscy martwimy się, jak to wpłynie na naszą kondycję psychiczną.

– Nas jako osoby zajmujące się neuronauką społeczną interesuje przede wszystkim to, jak samotność wpływa na nasze zdrowie fizyczne i psychiczne. Od prawie dwóch dekad badania eksperymentalne pokazują nam, że różne formy wykluczenia społecznego prowadzą na poziomie neuronalnym do bardzo specyficznej reakcji. Przypomina ona to, co widzimy w mózgu osób, którym zadawany jest fizyczny ból. Ból społeczny jest więc również dość wymierny.

Jednak zanim przejdziemy dalej, małe zastrzeżenie – w psychologii samotność, czyli coś, co możemy określić jako subiektywną izolację społeczną, nie jest oczywiście tożsama z izolacją społeczną w sensie obiektywnym, którą dziś nam się nakazuje ze względu na pandemię.

Samotność z punktu widzenia psychologii jest nieprzyjemnym stanem psychicznym, związanym z subiektywnie odczuwaną rozbieżnością między tym, jak wyglądają te relacje społeczne, które mamy, a tym, jakie chcielibyśmy mieć. Oczywiście to nieprzyjemne uczucie może się wiązać z izolacją społeczną – jedna i druga stanowią zagrożenie dla naszego zdrowia psychicznego i fizycznego.

Czyli może być tak, że mimo izolacji wcale nie czujemy się samotni.

– Tak. Ktoś może odczuwać samotność, nawet jeśli ma dużo różnych relacji społecznych – z drugiej strony można nie czuć się samotnym, mając jedną czy dwie bliskie osoby. To subiektywne odczuwanie może wynikać z różnych czynników, np. naszych przekonań co do tego, jak powinny wyglądać relacje społeczne, lub z osobistego zapotrzebowania na kontakt społeczny.

My jako neuronaukowcy badamy subiektywny stan samotności i jej wpływ na nasz organizm – reakcję tę można w pewnym sensie przyrównać do takich stanów jak głód czy pragnienie. W tym sensie samotność jest sygnałem organizmu, poprzez który informuje on nas o tym, że czegoś istotnego brakuje nam do przetrwania. Mechanizm, który każe nam mieć relacje społeczne, pochodzi oczywiście z tych czasów w historii naszego gatunku, gdy ich posiadanie było niezbędne do przeżycia. Aby zmotywować nas do wzmocnienia istotnych dla nas relacji, stan samotności jest nam sygnalizowany przez organizm jako nieprzyjemny.

Zmusza nas, byśmy o te relacje zadbali – tak jak głód zmusza nas, byśmy coś zjedli.

DR HAB. ŁUKASZ OKRUSZEK
– profesor Instytutu Psychologii PAN, kierownik Pracowni Neuronauki Społecznej IP PAN, wykładowca na Wydziale Psychologii UW. W ramach Projektu Samotność (www.projekt-samotnosc.pl) analizuje neuronalne, fizjologiczne i psychologiczne mechanizmy wpływu samotności na zdrowie psychiczne i fizyczne.

– Tak. Niestety, wiemy już, że ten mechanizm nie zawsze prowadzi do pożądanych skutków, czasem jest wręcz odwrotnie. Większe wyczulenie na sygnały społeczne oznacza też, że mocniej odbieramy sygnały zagrażające, np. częściej dopatrujemy się u innych wrogich intencji. Z drugiej strony, z uwagi na skupienie na naszym dobrostanie, więcej wymagamy od osób, z którymi chcemy być w interakcji. Poczucie osamotnienia może nas więc paradoksalnie jeszcze bardziej alienować. Wpadamy wtedy w błędne koło samotności.

Bywa jednak i tak, że mówimy: „Co ja bym dał, by posiedzieć gdzieś samemu i zrobić coś bez rodziny na głowie". Tu trzeba zaznaczyć różnicę między dwoma rodzajami samotności, mającymi dwa różne określenia w języku angielskim, ale w języku polskim już nie. Po angielsku ta „zła" samotność, czyli nie z wyboru, to *loneliness*, a samotność pożądana, gdy idziemy sobie do lasu pomedytować, to *solitude*. Bardzo mi w naszym języku tego rozróżnienia brakuje.

Wróćmy jednak do tej negatywnej samotności, na którą teraz jesteśmy szczególnie narażeni na skutek izolacji.

– Nas, badaczy, najbardziej interesuje trwała, chroniczna samotność, o której wiemy, że ma bardzo negatywne skutki. Z dużej metaanalizy ponad 70 różnych badań, dotyczących łącznie ok. 3 mln osób, wynika, że zarówno izolacja społeczna – ta obiektywna – jak i samotność mają podobne przełożenie na ryzyko śmiertelności. U osób odczuwających samotność jest ono o prawie 26% większe w porównaniu z osobami, które jej nie doświadczają. To efekt

eprasa.pl c0b3b09a9c

porównywalny np. z paleniem papierosów, otyłością czy nadciśnieniem. Tyle że konsekwencji samotności zwykle nie jesteśmy tak świadomi jak skutków tamtych czynników.

Samotność podczas pandemii może więc znacząco wpłynąć nie tylko na nasze zdrowie psychiczne.

– Tak, choć o epidemii samotności mówiliśmy jeszcze przed pandemią covidu. Wiemy już, że istnieją mechanizmy, w których stan samotności przekłada się na stany zapalne w organizmie, przyśpieszone starzenie komórek, zmiany w układzie sercowo-naczyniowym, zwiększone ryzyko udaru i otępienia – jest tego bardzo, bardzo dużo. Poczucie samotności to nie coś, co jest tylko w naszej głowie. U osób, które czują się samotne, obserwujemy mniejszą zmienność rytmu serca – i nie jest to, niestety, korzystny efekt. W naszych badaniach skupiamy się głównie na powiązaniu między mózgiem a układem sercowo-naczyniowym.

Pierwsze takie badanie miało miejsce wiosną.

– Tak. W marcowym badaniu wzięło udział ok. 500 osób. Już wtedy zauważyliśmy istotną korelację między nasileniem lęku i depresji a poczuciem samotności u osób, które przestrzegają zasad izolacji. Pandemia przerwała nam wprawdzie laboratoryjne eksperymenty dotyczące tego zjawiska, ale jako że wiosenny *lockdown* był w zasadzie wielkim naturalistycznym eksperymentem, narzucającym izolację społeczną, postanowiliśmy sprawdzić związek między samotnością podczas pandemii a lękiem i depresją.

Czy teraz, gdy minęło pół roku, czujemy się jeszcze bardziej osamotnieni?

– Jesienią chcieliśmy kontynuować nasze badania. Niestety, tylko co piąty badany z grupy, która zgodziła się na dalszy kontakt, wziął w nich udział. Tak zwane dane podłużne (pochodzące od tych samych osób, jednak nie uzyskiwane jednorazowo, lecz zbierane przez dłuższy czas) mamy więc z małej grupy, ok. 50 osób, dlatego zastrzegam, że nie jest to grupa w żaden sposób reprezentatywna. Mogę natomiast powiedzieć, że zauważyliśmy u tych osób istotny wzrost poczucia samotności. Wynik ten, choć obarczony ograniczeniami metodologicznymi związanymi z pandemią, jest zgodny z wnioskami z badań z innych krajów.

W Stanach Zjednoczonych grupa badaczy przez sześć miesięcy badała natężenie poczucia samotności w grupie reprezentatywnej dla populacji amerykańskiej. Między kwietniem a wrześniem 2020 r. u osób badanych zaobserwowano istotny wzrost poczucia samotności. Co więcej, we wrześniu ponad 64% osób poddanych różnym obostrzeniom związanym z lockdownem – czyli mieszkających w tych stanach, gdzie był on rekomendowany lub narzucony – kwalifikowało się do grupy, która ma wysokie lub bardzo wysokie nasilenie poczucia samotności. Z kolei u osób, które nie zostały objęte restrykcjami, niemal połowa (48%) też czuła się samotna lub bardzo samotna. Widzimy więc różnicę między tymi, którzy byli poddani restrykcjom, a tymi, którzy nie byli, ale także dużą skalę problemu niezależnie od obostrzeń. Co ciekawe, dane te kontrastują z efektami obserwowanymi w pierwszych miesiącach pandemii – w badaniach przeprowadzonych przez inną grupę w okresie styczeń-kwiecień na grupie reprezentatywnej dla społeczeństwa USA nie zanotowano wzrostu poczucia samotności. Zauważono za to wzrost poczucia wsparcia społecznego w tym okresie.

Skąd taka różnica między wnioskami?

– Podobny mechanizm opisuje się w badaniach nad katastrofami naturalnymi, takimi jak huragany czy powodzie. Wynika z nich, że często po fali doraźnej mobilizacji społecznej, którą obserwuje się tuż po katastrofie, następuje rozluźnienie i osłabienie więzi. W Polsce o fali mobilizacji na początku pandemii świadczyć mogą choćby oddolne inicjatywy typu „Widzialna ręka". Teraz, pół roku później, dostrzegamy jednak wzrost poczucia samotności, który sugeruje, że mamy do czynienia z mechanizmem deterioracji (osłabienia, popsucia się – przyp. red.) wsparcia społecznego, opisywanym właśnie w badaniach nad katastrofami naturalnymi. Jeden z wybitnych badaczy mechanizmów psychologicznych towarzyszących katastrofom naturalnym, prof. Krzysztof Kaniasty, nazwał go „wzlotem i upadkiem utopii".

Samotność jest sygnałem organizmu, że czegoś istotnego brakuje nam do przetrwania.

A skoro jesteśmy przy katastrofach naturalnych, czytałam ostatnio, że w ich przypadku wzrasta np. liczba rozwodów. Z kolei kryzysy ekonomiczne – czy w ogóle te wywołane przez człowieka, np. związane z atakami terrorystycznymi – zbliżają ludzi do siebie. Ale były to wyniki lokalnie przeprowadzonych analiz, więc nie wiem, na ile to mocna teza.

– To ciekawy wątek. Patrząc na społeczną mobilizację, możemy porównywać wiosenny okres pandemii – jako nagły stresor – do katastrofy naturalnej. Teraz jednak trudno o niej mówić z pominięciem takich

eprasa.pl c0b3b09a9c

aspektów jak narastający kryzys ekonomiczny, na który w Polsce nakłada się kryzys polityczny. Z perspektywy badacza coraz trudniej jest porównywać to, co działo się wiosną, z obecną sytuacją. Wtedy wprowadzono nagle dojmujące restrykcje – teraz przez długi czas mieliśmy sytuację niedookreśloną, niejasną, zwaną lockdownem pełzającym. Przekaz otrzymywany od rządzących jest obecnie dużo mniej spójny i czytelny niż wiosną. Bo zobaczmy: w jednym tygodniu mamy zapowiedź narodowej kwarantanny – ale nawet nie wiemy, czym ona ma być. Potem pojawia się informacja, że mamy sukces w walce z pandemią – jednocześnie dowiadujemy się z mediów, że wynika on ze zbyt małej liczby testów. Co więcej, o tym, że podawane liczby zakażonych trzeba zwielokrotnić, mówi głośno nawet jeden z głównych doradców premiera.

Czujemy się jeszcze bardziej pogubieni.

– A na to nakłada się szerszy kontekst psychospołeczny. Ten, kto wpadł na pomysł, by w środku pandemii zająć się wyłączaniem kolejnych przesłanek legalności aborcji – w sytuacji gdy młodzież, studenci i duża część klasy średniej od długiego czasu siedzą zamknięci w domach, wygłodniali relacji międzyludzkich – najwyraźniej mało wiedział o mechanizmach działania tzw. mózgu społecznego.

„Recesją w sferze społecznej" powinniśmy się martwić tak samo jak kryzysem ekonomicznym.

Co naukowcy wiedzą na ten temat?

– Niedawno ukazał się raport dr Katarzyny Jaśko z UJ z badania z udziałem ponad 3 tys. osób zaangażowanych w protesty, pokazujący, że dla znakomitej większości – ponad 90% – walka z decyzją Trybunału Konstytucyjnego jest równie ważna jak walka z pandemią lub nawet ważniejsza.

Jeśli popatrzymy na to z perspektywy wywoływanych emocji, dla wielu osób protesty Strajku Kobiet były pierwszą sytuacją od ponad pół roku, która realnie przykryła wszystkie tematy covidowe i dała im emocje inne niż strach czy osamotnienie. Co więcej, ten raport pokazuje, że osoby zaangażowane w protesty przeciwko TK przeżywały przede wszystkim pozytywne emocje, takie jak duma, poczucie znaczenia, siły, przekonanie, że uczestniczy się w czymś ważnym.

Moja intuicja badawcza mówi mi, że jeśli mielibyśmy myśleć o relacji między tym zjawiskiem społecznym a pandemią, mogłoby się okazać, że protesty rozwijają się nie wbrew pandemii, ale dzięki niej, dzięki pełzającemu lockdownowi i restrykcjom pandemicznym. Protesty mogły pomóc zmniejszyć poczucie osamotnienia wśród uczestników „spacerów". W tym sensie hasło „Nigdy nie będziesz szła sama" zyskuje dodatkowe znaczenie.

Teraz jednak protesty przygasły. I znów zostaliśmy ze swoją samotnością. Jak to jeszcze na nas wpływa?

– W niedawnym sondażu na reprezentatywnej dla polskiego społeczeństwa próbie pokazano, że 47% Polaków obawia się, że przez drugą falę pandemii ich zdrowie psychiczne się pogorszy – i nie jest to obawa nieuzasadniona. Wspomniane badania ze Stanów pokazały, że nasilenie odczucia samotności związane jest z nasileniem depresji i myśli samobójczych. Również raport amerykańskiego CDC (Centrum Kontroli i Zapobiegania Chorobom) z końca czerwca pokazał, że prawie 41%

PRZYNAJMNIEJ NIC NIE MUSIMY

Bogusława Bębnik, psycholożka, edukatorka

Wielu z nas martwi się, jak przetrwa święta bez spotkania z bliskimi. Większość uniwersalnych rad dla samotnych z prasy kolorowej nie pasuje do pandemicznej rzeczywistości. Nie wyjedziemy z biurem podróży, nie zaprosimy samotnych sąsiadów. Jak sobie teraz poradzić z osamotnieniem?

W tym roku sytuacja jest zupełnie wyjątkowa. Dlatego trzeba dać sobie przyzwolenie na to, by przyznać, że w te święta nie wszystko będzie wyglądało tak, jak w poprzednich latach – i że takie nieco inne święta też mogą być OK. Warto przede wszystkim zastanowić się, czego naprawdę potrzebujemy, co rzeczywiście jest dla nas ważne.

Część osób ma w sobie, prócz poczucia osamotnienia, wysoki poziom lęku związanego z koronawirusem i możliwością zakażenia się. Z takiej perspektywy samotne święta nie wydają się najgorszą opcją – przynajmniej będziemy się czuć bezpiecznie. Sądzę też, że wbrew pozorom dla niektórych samotnych święta „w cieniu pandemii" mogą się okazać łatwiejsze – wcześniej czuli się w tym momencie roku jeszcze bardziej osamotnieni, wiedząc, że wszyscy dookoła z kimś się spotykają. Teraz sytuacja może być dla nich nawet bardziej akceptowalna, bo nie wynika już z tego, że z czymś sobie nie poradzili lub nie mają obok siebie nikogo bliskiego, ale z tego, że są odpowiedzialni i dbają o zdrowie swoje czy bliskich. I nie są w tym świątecznym osamotnieniu jedyni.

Gdy jednak nad poczuciem bezpieczeństwa przeważa smutek związany z samotnością, warto się zastanowić, dlaczego tak wygląda nasza sytuacja i czy mamy na nią jakiś wpływ. Jeżeli np. od dłuższego czasu nie nawiązywaliśmy kontaktów z rodziną, może jest to właściwy moment, by do niej zadzwonić. Koniec roku jest także dobrą porą na zrobienie planów i wyznaczenie sobie celów na przyszły rok – może warto poświęcić ten czas na zastanowienie się, co możemy zmienić w swoim życiu.

Pamiętajmy też o osobach, które nie mają do kogo zadzwonić. Nie jest prawdą, że w tym roku trudniej zostać wolontariuszem, bo odwołano świąteczne wigilie dla samotnych – wiele instytucji pomocowych w czasie pandemii tym bardziej potrzebuje kogoś, kto przyniesie posiłek seniorom, osobom chorym czy przebywającym w domowej izolacji lub kwarantannie, niemogącym wychodzić. Jeśli sami jesteśmy takimi osobami, ważne jest, by prosić o pomoc w ośrodkach pomocy społecznej lub w naszych parafiach – by nie zostać na święta „poza systemem".

Jeśli martwimy się o seniorów, pamiętajmy, że oni przeżyli już niejedne święta w trudniejszych niż obecne czasach. Tegoroczne

eprasa.pl c0b3b09a9c

respondentów zgłasza przynajmniej jeden istotny klinicznie problem ze zdrowiem psychicznym. Najczęściej były to depresje i zaburzenia lękowe (31% badanych). Najbardziej zatrważające było jednak to, że aż 11% poważnie rozważało samobójstwo w okresie 30 dni przed badaniem. Wszystkie te współczynniki wyraźnie podniosły się w porównaniu z tymi sprzed pandemii – jeśli chodzi np. o objawy lękowe, występowały one trzykrotnie częściej niż w 2019 r. Depresja – czterokrotnie częściej.

Z kolei badania walijskie pokazały, że niemal połowa uczestników odczuwa istotny klinicznie stres, co stanowiło ponadtrzykrotny wzrost w porównaniu z ubiegłym rokiem. W metaanalizie uwzględniającej 60 różnych badań z udziałem 227 tys. osób wykazano, że w „świecie covidu" łącznie ok. 24% osób cierpi z powodu objawów depresyjnych, a 21% z powodu objawów lękowych. I teraz kolejna ciekawa rzecz: kogo pani zdaniem najbardziej dotyka pandemia?

Powiedziałabym, że seniorów. Najbardziej odizolowanych, samotnych. My mamy chociaż Facebooka, mejle itd.

– Zgodzę się, że ich wykluczenie z sieci może powodować pogłębienie poczucia osamotnienia, choć oczywiście nie dotyczy to wszystkich. Stereotypowo wydaje się, że dostęp do internetu sprawia, że pandemia najmniej dotyka młodzież. Ale jeśli zastanowimy się nad jej odroczonymi skutkami, okaże się, że ten obraz jest zupełnie inny.

Z badań amerykańskich czy europejskich, prowadzonych jeszcze przed pandemią, wiemy, że największe natężenie poczucia samotności można obserwować w najmłodszej grupie wiekowej, czyli 18-24 lata. W dużym niemieckim badaniu na próbie 4 tys. osób zaobserwowano z kolei, że restrykcje związane z pozostawaniem w domu były związane z depresją i lękiem tylko w najmłodszej grupie uczestników – 18-34 lata. U osób powyżej 35. roku życia, w tym seniorów, nie wykazano podobnego związku. W polskich badaniach, prowadzonych na początku maja przez dr hab. Małgorzatę Gambin z UW, zauważono istotnie wyższy poziom lęku i depresji u osób w wieku 18-24 lata w porównaniu z pozostałymi grupami wiekowymi. Co ciekawe, osoby z grup 55-64 lata i powyżej 64. roku życia zgłaszały najniższe nasilenie objawów depresji i lęku. Z kolei w badaniach

Boże Narodzenie również będzie nietypowe – więc ich życiowe doświadczenie może się okazać pomocnym zasobem. W tym dla młodszych, którym na pewno seniorzy chętnie opowiedzą – choćby przez telefon – jak spędzili „kryzysowe święta" podczas wojny albo stanu wojennego.

Nam wszystkim dobrze zrobi natomiast uwolnienie się od stereotypów narzucanych przez lukrowane obrazy Gwiazdki serwowane nam przez media. Zapytajmy siebie, czy na pewno zawsze musimy mieć to wszystko, co oglądamy w telewizji – mnóstwo prezentów, piękne dekoracje, stół pełen ludzi. Może lepiej chociaż w tym roku nie gonić za takimi świętami i np. przygotować mniej posiłków? Dzięki temu zyskamy więcej czasu dla siebie, na odpoczynek – czy zrobienie rzeczy, które lubimy i których potrzebujemy. W tym roku nie musimy robić tego, do czego do tej pory czuliśmy się zobowiązani. To najlepszy prezent, jaki możemy dać sobie pod choinkę.

•

Potrzebujesz pomocy lub chcesz komuś pomóc przetrwać święta w czasach zarazy?

Wolontariuszy szuka Fundacja Wolne Miejsce, organizująca akcję dostarczania osobom potrzebującym wigilijnych posiłków. Akcja odbędzie się 24 grudnia między godz. 7 a 15.

Numery infolinii (czynnej od 5 do 20 grudnia) znajdują się na stronie fundacji: wolnemiejsce.pl.

Dla Warszawy będzie to: 22 112 02 44, dla aglomeracji śląskiej: 32 723 28 28, dla aglomeracji zagłębiowsko-górnośląskiej: 32 723 26 36, dla Łodzi i okolic: 42 298 08 98, dla Olsztyna: 89 650 33 31, dla Rumi: 58 728 27 38, dla Radomia: 48 386 82 20, dla Kalisza: 62 727 23 88, dla Starachowic: 41 310 73 33, dla Ostrowa Wielkopolskiego: 62 727 23 53 i dla Kołobrzegu: 78 216 82 37.

Telefon Pogadania

Wsparcie poprzez telefoniczną rozmowe oferuje Telefon Pogadania, inicjatywa działającą we współpracy z Fundacją Otwarte Idee, pracującą na rzecz integracji społecznej i przeciwdziałającą wykluczeniom.

Numer dla potrzebujących to: 22 255 22 50 lub 800 012 005 czynny codziennie od godz. 12 do 20.

Osoby chcące zostać telefonicznymi wolontariuszami mogą się zgłaszać przez formularz na stronie inicjatywy: telefonpogadania.pl.

Fundacja Szlachetnej Paczki również uruchomiła telefon wsparcia dla seniorów Dobre Słowa: 12 333 70 88 czynny w godz. 10-12 i 17-19. Telefon obsługuje zespół dr Barbary Smolińskiej z Fundacji Pomocy Psychologicznej Pracownia Dialogu.

FOT. MACIEJ NOWICKI/INSTYTUT FIZJOLOGII I PATOLOGII SŁUCHU, ADOBE STOCK (2)

eprasa.pl c0b3b09a9c

holenderskich na grupie reprezentatywnej osób powyżej 65. roku życia porównywano stan psychiki seniorów w maju 2020 r. i na jesieni roku 2019. I mimo że ich poczucie samotności wzrosło w tym roku, nie zaobserwowano zwiększonego natężenia zaburzeń psychicznych.

Czy dlatego, że seniorzy – mówiąc wprost – są najbardziej przyzwyczajeni do samotnego życia czy izolacji społecznej?

– Chodzi o to, że młodsze grupy muszą się mierzyć z problemami innej natury niż seniorzy. W grupie najstarszej mamy oczywiście izolację i poczucie zagrożenia zdrowia i życia, ale jednocześnie o wiele mniejszą zmianę stylu codziennego życia niż u osób młodszych, które muszą się borykać z ryzykiem utraty pracy albo rzeczywistą jej utratą. Zdarza się, że muszą zwolnić wynajmowane mieszkanie i wrócić do rodziców. Duża część z nas cały dzień łączy obowiązki zawodowe z opieką nad dziećmi itd. Grupy najmłodsze zgłaszają zaś – zgodnie z wynikami badań zespołu z UW – takie czynniki jak: ograniczenie wolności, nuda, trudne relacje w rodzinie, poczucie osamotnienia, zmęczenie zaistniałą sytuacją i brakiem prywatności jako istotnie wpływające na ich dobrostan psychiczny w trakcie pandemii.

I wreszcie – nawet jeśli fizycznie zagrożenie zdrowia u osób starszych jest większe, na naszym zdrowiu psychicznym dużo bardziej odciska się niepewność.

Naprawdę jest to aż tak ważny stresor?

– Tak, dla rozwoju patologicznych reakcji na stres niepewność jest bardzo mocnym czynnikiem. Po epidemii SARS w Azji w 2003 r. u 25-55% osób (w zależności od szacunków), które przeszły chorobę, rozwinął się zespół stresu pourazowego. Badania prowadzone przez prof. Małgorzatę Dragan z UW pokazały, że już w czerwcu u ok. 16% badanych można było mówić o wysokim prawdopodobieństwie występowania zaburzenia adaptacyjnego jako reakcji na silny stres. Wszystkie nasze wysiłki w skali mikro i makro powinny być więc związane z tym, by zapewnić nam tak duże poczucie przewidywalności, jak tylko się da w tych czasach.

U nas chyba z tym kiepsko...

– Cóż, przewidywalność jest ostatnią rzeczą, którą widzę w różnych działaniach mających wpływ na funkcjonowanie społeczeństwa. Spójrzmy choćby na nagłe zamknięcie cmentarzy tuż przed 1 listopada. Podobnie było z branżą gastronomiczną – w pewien piątek okazało się, że od soboty restauracje mają zawiesić działalność, a przecież restauratorzy już zdążyli kupić zaopatrzenie na weekend. Te sytuacje nie pomogły budować naszego poczucia przewidywalności, więc tym trudniej jest mieć zaufanie do długofalowych planów działania, opierających się m.in. na dostępności szczepionki na covid.

To wszystko brzmi źle. Co będzie z nami dalej?

– Trwa dyskusja, czy po pandemii nasza rzeczywistość będzie jeszcze bardziej „drapieżna", czy może obecny kryzys jest dla nas szansą na zbudowanie bardziej troskliwego i zrównoważonego świata. Jednak mimo że my, naukowcy, staramy się te wszystkie zjawiska opracować i zrozumieć, wciąż nie widzę owego „posttraumatycznego wzrostu", który zapowiadano. Wyniki aktualnych badań na temat społecznych i psychologicznych skutków pandemii – a mamy już tysiące publikacji i codziennie pojawiają się nowe – pokazują raczej demobilizację społeczeństwa i osłabienie więzi. Wybitna badaczka poczucia samotności dr Julianne Holt-Lunstad podkreśla, że „recesją w sferze społecznej" powinniśmy się martwić tak samo jak kryzysem ekonomicznym. Zmiany wzorca naszego funkcjonowania wymuszone przez pandemię z pewnością będą miały głęboki wpływ na nasze funkcjonowanie w sferze społecznej.

Gorzej, że jako społeczeństwo wybieramy nie najlepsze sposoby radzenia sobie z samotnością. Mam tu na myśli używki.

– W USA, gdy kilka lat temu po raz pierwszy od dawna zanotowano spadek średniej długości życia, okazało się, że u podstaw tego zjawiska nie są choroby sercowo-naczyniowe czy nowotwory, lecz tzw. śmierci z rozpaczy – zgony w wyniku samobójstw, uzależnienia od narkotyków, leków opioidowych i alkoholu. Wszystkie te czynniki wiązane są z wpływem nierówności ekonomicznych lub społecznych. W tym kontekście dane z czasu lockdownu są niepokojące – co trzeci Amerykanin i co piąty Brytyjczyk pije więcej alkoholu w trakcie pandemii. Nasilają się również takie zjawiska jak picie w godzinach pracy – 32% Amerykanów, pracując zdalnie, pije więcej niż wtedy, gdy pracowali poza domem. Jednocześnie polskie badania pokazują, że osoby „radzące sobie" z pandemią za pomocą alkoholu są mniej skłonne znajdować cokolwiek pozytywnego w obecnej sytuacji. Według danych z wiosny w Polsce wzrosła też sprzedaż leków uspokajających i nasennych.

Co trzeci Amerykanin i co piąty Brytyjczyk pije więcej alkoholu w trakcie pandemii.

Czy media społecznościowe mogą nam jakoś pomóc?

– W związku z izolacją spędzamy dużo czasu w mediach społecznościowych czy pogrążamy się w binge-watchingu (wielogodzinne oglądanie seriali, odcinek za odcinkiem – przyp. red.). Choć wpływ internetu i mediów społecznościowych na życie społeczne nie jest tematem, w którym mamy jako naukowcy jednoznaczne wnioski, mogę się odwołać do słów dr Julianne Holt-Lunstad. Powiedziała kiedyś, że dla niej media społecznościowe są jak śmieciowe jedzenie, które szybko zaspokaja głód, ale nie ma wielu wartości odżywczych.

Anna Brzeska
a.brzeska@tygodnikprzeglad.pl

Z wielkim żalem żegnamy

redaktora

HENRYKA ZAGAŃCZYKA

znakomitego dziennikarza, bardzo mocno zaangażowanego w sprawy ludzi, wykładowcę akademickiego, inicjatora wielu ważnych dla środowiska dziennikarskiego przedsięwzięć. Dobrze zapisał się w naszej pamięci.

Rodzinie Henryka składamy wyrazy szczerego współczucia

Zarząd Główny i Oddział Warszawski
Stowarzyszenia Dziennikarzy Rzeczypospolitej Polskiej

eprasa.pl c0b3b09a9c

Z Galicji

Jan Widacki

Dość polityki. Coś o nauce

Chyba wszyscy mamy już dość polityki. Zawetuje, nie zawetuje? Weto albo śmierć i nie weto, to… (No, no, trzeba być konsekwentnie twardzielem, nie „miękiszonem"! Który tam wymiękł?). Weta nie ma i wszyscy żyją. Ale „miękiszony"! Obrzydliwie bredzący Rydzyk i bezmyślnie bijący mu brawo ministrowie rządu Najjaśniejszej. A wszyscy stłoczeni z jawnym pogwałceniem przepisów sanitarnych.

Kto tego nie ma dość? Ja mam. Dlatego nie będzie dziś nic o polityce. Będzie o nauce.

Jakoś dystans dzielący naukę polską od światowej, który miały skrócić reformy Gowina, złośliwie i na przekór wielkiemu reformatorowi jeszcze się wydłużył. Najlepsze polskie uczelnie w światowym rankingu jeszcze się omsknęły z czwartej do bodajże ósmej setki! Praca na etacie naukowca jeszcze bardziej niż przed Gowinową reformą polega na wypełnianiu niezliczonych papierów, pisaniu sprawozdań, projektów, liczeniu punktów i slotów, wyliczaniu współczynników (bez których nie mogą się obejść projekty i sprawozdania) i uczestniczeniu w towarzyszących tym czynnościom zebraniach niezliczonych komisji.

Nieszczęście nauki polskiej polega na tym, że większość niewielkich w sumie środków finansowych przeznaczonych dla niej z budżetu wydaje na rozliczne szkoły wyższe o marnej kadrze naukowej, na utrzymywanie i odtwarzanie infrastruktury tych szkół oraz opłacanie rzeszy obsługujących je urzędników, portierów, konserwatorów itd. Drugim nieszczęściem jest to, że naukowcy, oprócz tego, że zarabiają marnie, nie bardzo mają czas na uprawianie nauki. O czasie na rozwój intelektualny i kulturalny nawet nie mówię. Na to wszystko nakłada się pandemia z wszelkimi jej ograniczeniami. Zamknięte biblioteki, nawet kawiarnie, utrudnienia w przemieszczaniu się, brak osobistych kontaktów środowiskowych, a w konsekwencji brak normalnej dyskusji i wymiany myśli, bez której rozwój nauki jest trudny, a humanistyki w ogóle niemożliwy. Wszystkie Zoomy, Microsoft Teamsy razem wzięte, uzupełnione mejlem czy SMS-em, nie zastąpią kontaktów osobistych. Wystarczy pomyśleć, co by było z polską i światową matematyką, gdyby naszym „genialnym" uczonym zamknęli przed wojną we Lwowie Szkocką.

Gowinowa reforma, nie wiem, czy świadomie, czy zwyczajnie z niewiedzy, zarzuciła wypracowaną przez lata (a nawet przez wieki) istotę nauczania akademickiego. Dotąd było niepisanym założeniem (czymś tak oczywistym, że nikomu nie przyszło do głowy, by wpisywać to do jakiejś ustawy), że istotą nauczania akademickiego jest to, że nauczający sam ma twórczy wkład w dyscyplinę, którą wykłada. Teraz można zostać nawet profesorem uniwersytetu, niczego samemu nie badając, niczego nie publikując, tylko „dobrze" (to znaczy jak? ładnie?) wykładając cudze myśli i cudze wyniki badań. Mamy za to zdefiniowane w ustawie, co to jest monografia, a co to takiego artykuł. Pomyśleć, że bez tych ustawowych, dobrze zdefiniowanych pojęć uczeni pisali jednak monografie i artykuły, i to czasem całkiem niezłe! Mało tego, bez podliczania zdobytych punktów za publikacje jakoś na ogół orientowano się, kto jest uczonym wybitnym, kto przeciętnym, a kto w ogóle w dyscyplinie się nie liczy. Jakby tak dobrze, wedle ministerialnych reguł, podliczyć punkty np. Alberta Einsteina albo dowolnego noblisty, to okazałoby się, że więcej punktów zebrał jakiś biegły w prawidłach punktozy doktor albo choćby i profesor polskiego prowincjonalnego uniwersytetu.

Tak, teraz ten jest większym uczonym, kto ma więcej punktów. A że wedle tej samej skali punktuje się dorobek profesora i asystenta, profesor nie ma czasu na zajmowanie się asystentem, tylko wytrwale sam produkuje potrzebne mu punkty. Gdyby tak resort edukacji i nauki, zamiast obmyślać kolejne „krajowe ramy kształcenia" oraz punktacje dla wydawnictw i czasopism, dał pracownikom, nie mówię, że więcej pieniędzy, ale choćby tylko trochę więcej czasu na pracę naukową, myślę, że efekty byłyby szybko widoczne. Oczywiście wśród polskich naukowców nie brakuje patentowanych leni, ale przecież w swojej masie ludzie ci na ogół lubią uprawianie nauki. Nauka jest naprawdę ich pasją i byłoby dobrze, gdyby tej pasji mogli poświęcić więcej czasu.

Teraz ten jest większym uczonym, kto ma więcej punktów.

Czasem ta pasja jest chyba wręcz przesadna. Niedawno jeden profesor kryminalistyki tak się zachwycił swoim przedmiotem, że doparzył się „piękna w przestępstwie". Wydał na ten temat nawet książkę. Zachwyca się tam trupami pięknych kobiet, kolekcją błon dziewiczych ze zbiorów jednego z zakładów medycyny sądowej. Dostrzega piękno krwawych plam na śniegu… Hm, nekrofilią to nieco pachnie, ale autor uważa, że napisał „prolegomena do estetyki sądowej". Niech mu będzie. Już Zembaty śpiewał, że „w prosektorium najprzyjemniej jest nad ranem", tyle że on kpił, a profesor tak całkiem serio. Ale z dwojga złego już wolę, gdy uczony bezkrytycznie wielbi przedmiot swoich badań, niż jak się nim w ogóle nie zajmuje. Jednak populacja profesorów, jak każda inna, rozkłada się według krzywej Gaussa. Tyle samo jest tych bezkrytycznych wielbicieli, co i takich, którzy swojej pracy nie lubią i unikają jej, gdy tylko mogą. Większość zaś lokuje się gdzieś pośrodku i byłoby dobrze, gdyby mogli spokojnie pracować, a niezbędną także w nauce biurokracją zajęli się fachowi urzędnicy, niekoniecznie z tytułem profesora.

j.widacki@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl c0b3b09a9c

ŚWIĘTA w domu dziecka

Tańsza i skuteczniejsza rodzinna piecza zastępcza ma wciąż pod górkę

Beata Igielska

Dom dziecka w Toruniu, 60 podopiecznych w wieku 4-18 lat. Wolontariuszka pyta dyrektorkę, co najbardziej by się przydało. Ta nie potrafi wskazać niczego konkretnego. W końcu mówi, że się martwi, bo jest mało sponsorów i nie będzie skąd wziąć dla dzieci... słodkości. Poprosiła, by zorganizować paczkę ze słodyczami. Czekolady i cukierki rozdzielone zostaną wśród dzieci. Wolontariuszka na facebookowej grupie: dla nas to niewiele, może każda chciałaby dołożyć od siebie po czekoladzie? Ja mogę pojeździć, pozbierać, spakować to i wysłać.

Akcja „Obudź w sobie Mikołaja" organizowana przez portal DomyDziecka.org, Pomagam Bo Chcę, GL Parcels i stację STARnowa.tv. spełniła niemal 700 marzeń dzieci z województw lubelskiego, podkarpackiego i śląskiego. „W tym roku odwiedzimy Małopolskę. Świętym Mikołajem może zostać każdy z Was! Także osoby mieszkające w Anglii".

Z listów dzieci z domów dziecka do Świętego Mikołaja:

„Interesuję się informatyką. Ponieważ zaciekawiły mnie sprzęty typu komputery, interesuję się tym od 2 lat, wydaje mi się, że jestem w tym dobry. Sprawia mi to przyjemność i mam nadzieję, że prezent pozwoli mi w rozwijaniu pasji. Moim marzeniem jest dostać klawiaturę gamingową". Adrian, 15 lat.

„Drogi Święty Mikołaju, mam nadzieję, że nie padłeś ofiarą pandemii. Smutno mi, że moją osiemnastkę spędzę w zamknięciu :(To dla mnie ważny dzień, a przez to, co się dzieje, nie spędzę go tak, jak bym chciała. Marzy mi się paletka cieni do malowania oczu". Ania, 18 lat.

Może jednak w rodzinnej pieczy zastępczej dałoby się w większym stopniu spełnić te marzenia? A nie jak w ubiegłym roku: do rodzinnego domu dziecka przywieziono setkę pluszaków od darczyńców. Setkę. Okoliczne szkoły i znajomy rodziców zastępczych oraz jego rodzina robili „akcję dobroczynną".

Warto zestawić suche fakty: rodziny zawodowe otrzymują ustawową kwotę 2,4 tys. zł brutto. Czy więc chodzi tu o zarabianie, skoro na kasie np. w Lidlu można dostać więcej? Ich praca to dyspozycyjność 24 godziny na dobę. Ponieważ Kodeks pracy nie przewiduje pracy całodobowej, siedem dni w tygodniu, pracują na umowę-zlecenie. W 2019 r. miesięczne utrzymanie dziecka w rodzinie zastępczej kosztowało państwo 1114 zł, natomiast w domu dziecka – 5044 zł. Gdyby nawet rodziny zastępcze zarobiły dwa razy więcej, gdyby miały dostęp do pomocy psychologów, psychiatrów i terapeutów, i tak dla samorządów ich utrzymanie byłoby tańsze niż utrzymywanie domów dziecka. Dlaczego więc, mimo że opieka rodzinna jest tańsza i lepiej funkcjonuje, samorządy wciąż wolą inwestować w kosztowną i nieskuteczną opiekę instytucjonalną?

Można inaczej

Na szczęście nie wszystkie samorządy trzymają się kurczowo zastępczej pieczy instytucjonalnej, czytaj domów dziecka. – Trzeba było wytrwałości i determinacji, żeby zmienić sytuację w naszym mieście – mówi Michał Guć, wiceprezydent Gdyni ds. innowacji. – Był u nas dom dziecka, moloch liczący ponad 120 dzieci. W 2005 r. postawiliśmy sobie za cel jego likwidację. Mieliśmy jednak tylko jeden rodzinny dom dziecka. Ale też chęci i pomysły. Przeszkolone już osoby gotowe prowadzić placówki rodzinne kierowaliśmy do tzw. inkubatora, wydzielonego skrzydła w dotychczasowym domu dziecka, gdzie przebywały z dziećmi już samodzielnie, ale pod pewnym nadzorem, przez kilka miesięcy. Potem dostawały klucze do domów, których wynajem był finansowany przez miasto. W ciągu kilku lat stworzyliśmy kilkanaście rodzinnych domów dziecka. Do nich trafiały dzieci z opróżnianego stopniowo wielkiego domu dziecka. Pamiętam, że święta Bożego Narodzenia 2010 dzieci spędziły już z rodzinami. Dziś widzimy, jak są zadowolone. W miejsce wielkiego domu zbudowaliśmy solidny system wsparcia pieczy rodzinnej. Nasze rodziny zastępcze mają wsparcie i ufają nam. Jak coś się dzieje, mogą otrzymać pomoc psychologa

eprasa.pl c0b3b09a9c

czy rehabilitanta. Cały czas tę pomoc doskonalimy.

Zdaniem Michała Gucia, kto raz widział dom moloch, nie może tego zapomnieć i powinien zrobić wszystko, żeby go zlikwidować. Tworzyć co najwyżej domy kameralne, dla dziesięciorga dzieci. W Gdyni, w strukturach miasta, są w tej chwili trzy takie małe domy dziecka, gdzie przebywają dzieci starsze. Czasami są tak potrzaskane przez los, że musiałyby być objęte opieką specjalistyczną jeden na jeden. Takiej liczby specjalistycznych rodzin zastępczych jeszcze nie ma.

– A najlepiej, by jak w Finlandii tylko 3-5% dzieci pozostawało w opiece instytucjonalnej. Reszta wychowuje się w rodzinach – marzy Guć. – Boli mnie, że są powiaty, które nie stosują się do zapisów ustawowych, aby małych dzieci nie kierować do placówek. Chcemy pieczę instytucjonalną w Gdyni stopniowo redukować. Jestem przekonany, że warto.

Piotr Rydzewski, zastępca dyrektora MOPS w Łodzi, zebrał niezłe baty, gdy próbował zmniejszyć liczbę domów dziecka. Było grubo, z pomówieniami o handel dziećmi włącznie. Łódzkie domy dziecka działały tak, żeby dzieciom było w nich jak najlepiej, ale nie zawsze na zasadzie: zbudujmy im przyszłość. Plany pomocy dziecku były formalne, na papierze. Gdy więc Rydzewski zaczął im się przyglądać, napotkał opór: przecież przez tyle lat to tak funkcjonowało. Przeczekał konflikty. Udało mu się zlikwidować jeden dom dziecka, w kolejnych zmniejszono liczbę dzieci do 14. Od stycznia 15 placówek socjalizacyjnych będzie miało wspólną administrację, księgowość i obsługę techniczną. To też nie wszystkim się podoba. Jest ponadto sześć placówek interwencyjnych. – Wychodzę z założenia, że dyrektor domu dziecka ma być dla dzieci, a nie dla papierów – tłumaczy Rydzewski. – I marzę, aby wreszcie społeczeństwo zaczęło odróżniać rodzicielstwo zastępcze od adopcji. Bo nawet politycy nagminnie to mylą.

Najbardziej go cieszy, jeśli dzieci mogą trafić do adopcji albo wrócić do rodzin biologicznych lub gdy upomni się o nie krewny stający się rodziną zastępczą. Niektóre udaje się umieścić w zawodowych rodzinach zastępczych. Te, które kończą 18 lat, usamodzielniają się.

Europejski relikt

Zapisy prawa rodzinnego są tak skonstruowane, że chronią i wzmacniają rodzinę biologiczną. Jest ona w Polsce skałą twardszą niż dobro dziecka. Media donoszą niemal każdego dnia, jak takie podejście się kończy.

Zaraz po urodzeniu do rodziny zastępczej trafiła Blanka z Olecka. Gdy miała pół roku, sąd zdecydował o jej powrocie do rodziny biologicznej. Nie wzięto pod uwagę negatywnych opinii pracowników socjalnych pracujących przy sprawie. Trzy miesiące później, w wieku dziewięciu miesięcy, Blanka została zgwałcona i zakatowana przez partnera matki. Znaleziono ją z sercem przebitym żebrem i obrażeniami po brutalnym gwałcie.

Takie dziecięce śmierci w Polsce są rozrzucone po rozmaitych statystykach. Tu znajdziemy usiłowanie zabójstwa, tam śmierć z zaniedbania, gdzie indziej z zagłodzenia. Albo pobicie ze skutkiem śmiertelnym. Albo rodzina od dawna ma Niebieską Kartę, a tu zdziwienie, że doszło do „nieszczęśliwego wypadku"… Dane w jednym miejscu gromadzi Norwegia. Odnotowuje zero takich przypadków. Może dlatego, że działa tam znienawidzony przez polską opinię publiczną Barnevernet, Norweski Urząd Ochrony Praw Dziecka.

Tymczasem w Polsce… Sprawa z teraz: kobieta uratowała przed domem dziecka sześcioro dzieci. Były bite, kopane, wykorzystywane seksualnie, straszone, upokarzane. Po kilku dniach pobytu z nową matką nie miały wszy, po kilku miesiącach zaczęły się uśmiechać. Matka zastępcza buduje dla nich nowe pokoje. Ufają jej. Ale matka biologiczna chce, żeby dzieci były w domu dziecka. Dlaczego? Bo tak. Dla polskiego sądu wola rodzica biologicznego jest najważniejsza. Ja urodziłam, ja decyduję. Samorząd ma duży dom dziecka, miejsc nie zabraknie. Matka zastępcza walczy z systemem. Urzędnicy są nią zachwyceni, doceniają, piszą listy pochwalne. Interweniowało mnóstwo instytucji, nawet Kancelaria Prezydenta. Pomogły? Ależ skąd! Matka zastępcza wciąż nie ma umowy ani statusu rodziny zawodowej. Jako niezawodowa ma za dużo dzieci pod opieką, co jest niezgodne z prawem. Żelazny argument. I powód, żeby znaleźć dla tych dzieci dom dziecka lub inną rodzinę zastępczą. Po dziewięciu miesiącach pobytu u kobiety, której zaufały i dzięki której uśmiechają się!

Powiaty wręcz grają odmawianiem umowy o zawodowstwo. Kiedy rodzice zastępczy przyjmują dziecko, stają się zakładnikiem powiatowego centrum pomocy rodzinie, organizatora pieczy, mającego władzę absolutną. Nie mogą mu podpaść, choćby upomnieć się o umowę. Bo jeśli CPR uzna, że rodzina nie współpracuje, złoży wniosek o przeniesienie dzieci do innej rodziny. Rodzice zastępczy zaciskają zęby i milczą. To przecież rodzice biologiczni są właścicielami dziecka. Nawet jeśli piją i biją. Oni je poczęli, oni decydują o jakości jego życia. Państwo zabrało im dziecko? To teraz ma je oddać.

Takie podejście w krajach Europy Zachodniej jest nie do pomyślenia, jest reliktem. Tam, odwrotnie niż u nas, najważniejszy jest interes dziecka. Do biologicznej rodziny może ono wrócić jedynie wtedy, gdy ta uporała się z problemami lub realizuje terapię i plan pomocy i ma realną szansę wyjść z kryzysu. W Wielkiej Brytanii też chroni się rodzinę, ale służby ingerują wcześnie i bardziej zdecydowanie, dziecko ma swojego reprezentanta, pracownika socjalnego.

– Kiedy tam byłem na wymianie, Anglicy nie mogli zrozumieć, jak to się dzieje, że w ultrakatolickim kraju, za jaki uważa się Polska, jest tyle rodzin dysfunkcyjnych; dlaczego miłosierdzie chrześcijańskie budzi się w Polakach dwa razy w roku, przed świętami Bożego Narodzenia i Wielkiej Nocy, a tak na co dzień to fajnie i wygodnie jest mieć domy dziecka. U nich mama zastępcza to zawód jak każdy inny. Jedna z matek zastępczych obecna na spotkaniu z delegacją z Polski nie wiedziała, o czym my w ogóle mówimy, miała swoje dziecko i dziecko z pieczy zastępczej. Miały takie same przywileje i obowiązki

W 2019 r. miesięczne utrzymanie dziecka w rodzinie zastępczej kosztowało państwo 1114 zł, w domu dziecka – 5044 zł.

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl c0b3b09a9c

– opowiada były wychowawca z domu dziecka z Łodzi.

Demoralizowanie pracowników socjalnych

Dla kontrastu znów obrazek z Polski, z województwa łódzkiego. Matka zastępcza przyjmuje trójkę dzieci odebranych rodzicom biologicznym, bo zagrożone jest ich zdrowie i życie. Po krótkim pobycie u niej decyzją sądu dzieci wracają do rodziców biologicznych. W ciągu trzech lat trzy razy trafią do rodziny zastępczej. Dziś sąd znów zastanawia się nad daniem czwartej szansy biologicznym rodzicom! Matka zastępcza tłumaczy sądowi, że każdy powrót do rodziny biologicznej zaburza dzieci, wtórnie je traumatyzuje i zmniejsza ich szansę na prawidłowe funkcjonowanie społeczne w przyszłości. Te dzieci w końcu trafią na intensywną terapię albo czeka je śmierć. Bo może się zdarzyć, że za czwartym razem pomoc przyjdzie za późno. Od sędzi słyszy, że gdyby sąd takie argumenty brał pod uwagę, to nigdy rodzicom biologicznym nie mógłby dać drugiej szansy.

Albo taki przypadek. Zabrano dziecko matce alkoholiczce. By je odzyskać, rozpoczęła terapię. Sąd wyznaczył termin powrotu dziecka, ale po odbiór przyszła pijana. Matka zastępcza poinformowała więc organizatora pieczy. Jego reakcja? Proszę nie mówić o tym w sądzie, bo to spali najlepiej rokującą na reintegrację sprawę w mieście. W ten sam sposób zraża się pracowników społecznych. Wypalenie zawodowe dotyka 50-70% z nich. Ale to nie dziwi przy takich sytuacjach jak ta opisana przez Annę Krawczak, mamę adopcyjną i biologiczną czwórki dzieci, członkinię interdyscyplinarnego Zespołu Badań nad Dzieciństwem UW: asystentka rodziny opiekująca się skrajnie dysfunkcyjną rodziną, w której dzieci są głodzone, gotuje im w miarę możliwości. Tyle że gotować powinni rodzice. Zgłasza problem na spotkaniu zespołu pracowników ośrodka pomocy społecznej. Od dyrektora zespołu słyszy: rolą asystenta jest nie to, aby dzieci z rodziny zabrano, tylko żeby nie zostały zabrane. Dzieci chodzą do szkoły, jedzą obiad, więc z głodu nie umrą. A że są głodne? Trudno. A że jest też niemowlę? Też trudno, może jakoś przeżyje. W ten sposób zaangażowany pracownik przestaje wierzyć w sens swojej pracy. Dowiaduje się, że ma podtrzymywać fikcję. Prawda bowiem pogorszyłaby statystyki.

– Odwróćmy proporcje, nakłady i zainteresowanie. Nie domy dziecka, czyli piecza instytucjonalna, w skład której wchodzą: DPS (tu też trafiają dzieci), zakłady opieki leczniczej, regionalne placówki opiekuńczo-terapeutyczne, młodzieżowe ośrodki wychowawcze i młodzieżowe ośrodki socjalizacyjne, często traktowane jak przechowalnie dzieci. MOW i MOS są bardzo potrzebne, ale jako pomoc krótkofalowa. Bywa, że rodziny, niestety, wpychają tam dzieci i nikt już się nimi nie interesuje, czasami do 18. roku życia. Trafia tam również dużo wychowanków domów dziecka. Wiele tych miejsc to przechowalnie, nie z ich winy, tylko dlatego, że dorośli tak urządzili dzieciom świat. W takim ośrodku mogą przebywać od 12. roku życia do pełnoletności z rozszerzeniem do 24. roku życia – mówi Anna Krawczak.

– Biologiczni rodzice, dopóki nie mają ograniczonej władzy rodzicielskiej, reprezentują dziecko przed systemem: zdrowia, edukacji, no i przed sądem rodzinnym – dodaje. – Od nich zależy wyjazd na wakacje, paszport; nie zgadzają się na terapię dziecka itp. Prawo rodzinne wyposażyło rodzica biologicznego w wiele praw i przywilejów: adwokata z urzędu, asystenta rodziny. Dziecko nie jest przez nikogo reprezentowane, nie jest wysłuchiwane, dopiero po 13. roku życia ma prawo wypowiedzieć się we własnej sprawie. To rażąca dysproporcja. W tej sprawie interweniowali poprzedni rzecznik praw dziecka Marek Michalak i rzecznik praw obywatelskich Adam Bodnar. Bez skutku. Mało tego, jeszcze dwa lata temu resort rodziny miał pomysł, żeby wzmocnić rolę rodzica biologicznego, a nie dziecka. Ono traci na tym najbardziej. Sąd może interweniować, ale prawo rodzinne jest tak skonstruowane, że nawet gdy pijąca matka rodzi 11. dziecko, jest matką. Może nie stawiać się na sprawach, przedłużać postępowanie, odwołać się od wyroku, a po przegranej apelacji i tak złożyć wniosek o przywrócenie władzy rodzicielskiej. I machina rusza ponownie. Wiele powiatów nie jest zainteresowanych rodzinną pieczą zastępczą. Wydają ogromne pieniądze na domy dziecka, bo wcześniej zainwestowały w ich rozwój. Nasz chory system nie chroni dzieci i dobija pieczę zastępczą – denerwuje się Anna Krawczak.

> Kiedy rodzice zastępczy przyjmują dziecko, stają się zakładnikiem powiatowego centrum pomocy rodzinie.

Czy o to chodzi?

Pewna mądra i doświadczona sędzia pyta rodziców biologicznych chcących odzyskać dziecko: jak ugotować zupę pomidorową? Jak ma na imię najlepsza koleżanka córki czy syna? Przeciętny rodzic odpowie natychmiast. Ale rodzic dysfunkcyjny nie odpowie. Wcześniej wysyłał dziecko po złom, żeby mieć na wódkę.

Nie każdy powrót dziecka do rodziny biologicznej kończy się katastrofą. W Polsce takich badań brakuje, ale te z Wielkiej Brytanii pokazują, że w skali pięciu lat nieudane reintegracje stanowią 75%. Jeśli zaś w rodzinie był alkohol – wzrastają do 81%. Lepiej jest w przypadkach molestowania seksualnego, jeśli sprawcę odizolujemy, odetniemy kontakty, zapewnimy rodzinie terapię.

Dzieci otrzymują kuratorów procesowych, dopiero gdy dochodzi do sprawy karnej założonej rodzicom. Ale przecież nie zawsze do tej sprawy dochodzi. Anna Krawczak sypie przykładami: mały chłopiec z chorobą weneryczną opowiadał rodzinie zastępczej, jak był gwałcony przez konkubenta matki. Ta jednak nie wskazała konkubenta, więc sprawę umorzono. Albo dzieci miały ewidentne objawy wykorzystania seksualnego, ale były za małe, aby złożyć zeznania w obecności biegłych. Dziesięciolatek miał blizny po przypaleniu papierosami. Ale matka przestraszyła go, że jeśli coś powie, nigdy nie wyjdzie z bidula. Nie powiedział. Został w bidulu. Tam wszyscy o niego dbali. Z zaangażowaniem. Bo zaangażowana jest większość wychowawców polskich domów dziecka. Tylko czy o to chodzi?

Beata Igielska
b.igielska@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl c0b3b09a9c

Refleksje pesymisty

Andrzej Romanowski

Prorok Władysław Gomułka

Pięćdziesiąt lat temu, podczas krwawo tłumionych rozruchów robotniczych na Wybrzeżu, Władysław Gomułka chodził po swym gabinecie i powtarzał: „Każda kolejna klasa rządząca w naszym kraju doprowadzała do zguby własne państwo". Społeczeństwo nie usłyszało tych słów – w obiegu publicznym pojawiły się one dopiero w lutym 1971 r., w partyjnym organie „Nowe Drogi", jednak nawet wtedy nie jako cytat, lecz w postaci omownej. Czy zatem Gomułka rzeczywiście to powiedział? Poproszony przeze mnie o opinię prof. Andrzej Werblan wyraził wątpliwość, zarazem przyznał, że w grudniu 1970 r. fraza ta była w obiegu. Co chciano nią zakomunikować?

Najprościej byłoby rzec: była to reakcja na utratę władzy. Ale nawet wtedy warto w tym ujrzeć coś głębszego. Komitety partyjne płonące na Wybrzeżu mogły uświadamiać rządzącym, jak wiele mogą stracić. Nie chodziło jednak tylko o partię – chodziło o państwo, którego PZPR była strażnikiem. A tu było co chronić, skoro Gomułce udało się w przeszłości parę rzeczy zadziwiających. Po pierwsze, w październiku 1956 r. został wybrany na I sekretarza partii wbrew moskiewskiej centrali. Po drugie, mimo to zachował władzę przez długie 14 lat. Po trzecie, doprowadził do bezprecedensowych w krajach „demokracji ludowej" zmian ustrojowych. A po czwarte… Dokładnie tydzień przed początkiem rozruchów na Wybrzeżu Gomułka odniósł największy triumf swej polityki zagranicznej: PRL (w jakimś sensie również wbrew moskiewskiej centrali) podpisała układ z Republiką Federalną Niemiec, wstępnie regulujący kwestię naszej zachodniej granicy. Czy rewolta na Wybrzeżu nie mogła zatem oznaczać chaosu w państwie, a więc i zniweczenia tego dzieła? I czy nie mogła spowodować odwrotu z „polskiej drogi do socjalizmu"? Gomułka może wiedział, co mówi, gdy potem powtarzał, że obalił go Breżniew.

Czy jednak rzeczywiście (jak brzmiał jeden z wariantów grudniowej frazy) „szlachta zgubiła Polskę szlachecką, a burżuazja – Polskę burżuazyjną"? Argumentów jest tyleż za, co przeciw. Gomułka, więzień własnej retoryki, nie był w stanie ukazać tego problemu głębiej. Tymczasem w I Rzeczypospolitej rolę destruującą ówczesną państwowość odegrał raczej Kościół katolicki, który uznał, że z Rzeczypospolitej wielokonfesyjnej trzeba zrobić Rzeczpospolitą katolicką. A w II Rzeczypospolitej podobną rolę odegrał raczej polski nacjonalizm, który uznał, że z państwa wielonarodowego trzeba zrobić „Polskę dla Polaków". Z uogólnieniami Gomułki należy więc obchodzić się ostrożnie. Co nie znaczy, że trzeba je lekceważyć.

Bo też naprawdę fascynujący jest nie sens polityczny czy historyczny omawianych tu słów, lecz ich wydźwięk profetyczny. Dokończenie cytowanego wyżej wariantu omawianej frazy brzmi przecież tak: „a Polskę Ludową zgubiła klasa robotnicza". Otóż rzeczywiście: bunt robotniczy z grudnia 1970 r. zgubił Polskę Ludową. Odebrał jej legitymację ideową, doprowadził do kolejnego buntu, w sierpniu 1980 r., a w konsekwencji, po kolejnych latach, przyniósł zastąpienie tego państwa Rzecząpospolitą Polską. Gomułka tego nie dożył, ale – jak widać – mógł to sobie wyobrazić.

Zatem: Gomułka prorok? Człowiekowi wierzącemu nasuwa się od razu pytanie: czy takie chwile jasnowidzenia mogą być dostępne ateiście? Ale tenże człowiek wierzący odpowie natychmiast: jak najbardziej! Do głównych przesłań Ewangelii należy przecież uznanie, że Bóg odsłania prawdy nie „mądrym", lecz „maluczkim", oraz przekonanie, że depozytariuszem cnót moralnych nie jest „ani kapłan, ani lewita", lecz znienawidzony Samarytanin, odszczepieniec. Gomułka był dyktatorem, przywódcą partii i państwa, zarazem jednak był prostym ślusarzem, z wykształceniem zaledwie podstawowym, a także „odszczepieńcem": kimś, kto zdobył dalsze wykształcenie nie w Polsce, lecz na komunistycznych kursach w Moskwie. Tym bardziej więc – paradoksalnie – mógł odgrywać rolę proroka.

> Każda kolejna klasa rządząca w naszym kraju doprowadzała do zguby własne państwo.

Mówię to serio? Używam zbyt wielkich słów? Tak, mówię serio i używam wielkich słów, bo jestem pewien: Gomułka, lub ktoś, kto pierwszy wypowiedział powyższą frazę, odkrył pewną prawdę uniwersalną na temat naszego narodu. Prawdę przerażającą. Ludzie tworzący PRL mieli być może podobne przekonanie – nawet wtedy, gdy go nie werbalizowali, i nawet wtedy, gdy wywodzili je bądź interpretowali opacznie. Musieli mieć przecież świadomość kruchości własnego państwa, a także własnego tańczenia na linie między „proletariackim internacjonalizmem" (czytaj: oczekiwaniami Moskwy) a interesem narodu, który przyszło im reprezentować. Ta kruchość, to niepełne zakorzenienie mogły im dyktować ostrożność i roztropność, a znajomość realiów – powodować brak złudzeń. Dziś to się zmieniło: zakorzenienie obecnej władzy jest głębokie i pełne. „Każda kolejna klasa rządząca w naszym kraju doprowadzała do zguby własne państwo"? Nie trzeba używać czasu przeszłego. Przerażającej prawdzie potrzebny jest czas teraźniejszy.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl c0b3b09a9c

Martwe karpie wygrały

Ku przestrodze tym, którzy krzywdzą ryby

Rozmawia
Bronisław Tumiłowicz

2 grudnia przed Sądem Rejonowym dla Warszawy-Mokotowa zapadł wyrok w sprawie sprzedawców karpi, którzy maltretowali je, wkładając żywe do plastikowych toreb. Wyrok potwierdził, że trzymanie żywych ryb bez wody jest znęcaniem się nad nimi. Fundacja Noga w Łapę zastrzegała, że nie chce „surowej kary". Pragnęliście tylko, by sąd przyznał karpiom prawo do humanitarnego traktowania. Ale kara też została zasądzona.

– Wyrok sądu rejonowego nie jest jeszcze prawomocny. Uprawomocni się, gdy minie ustawowy okres, a strona oskarżona nie wniesie apelacji. Sąd, mając do czynienia z oczywistym przestępstwem wynikającym z Ustawy o ochronie zwierząt, nie mógł, wydając wyrok skazujący, nie zasądzić kary i my o taką karę wnosiliśmy, podkreślając, że zależy nam nie na jej dolegliwości, lecz na znaczeniu symbolicznym. Oskarżony kierownik działu rybnego w sklepie otrzymał karę roku pozbawienia wolności z zawieszeniem na okres dwóch lat, a dwaj sprzedawcy zostali ukarani 10 miesiącami więzienia z zawieszeniem na dwa lata. Ponadto sąd uznał, że każdy z oskarżonych ma zapłacić nawiązkę.

Zapewne jest pani zadowolona z tego wyroku, tym bardziej że w tej sprawie uczestniczy pani jako pełnomocnik Fundacji Noga w Łapę od prawie 10 lat. Dwa razy sądy niższych instancji uniewinniały sprawców i dopiero rozpatrujący kasację Sąd Najwyższy 13 grudnia 2016 r. unieważnił poprzednie wyroki, a sprawa znów trafiła na wokandę. Teraz pracownicy handlu zostali skazani. A przecież 10 lat temu przepisy nie były tak surowe.

– Sąd wziął to pod uwagę. To kara adekwatna do czynu, zwłaszcza że w dacie popełnienia tego przestępstwa obowiązywały łagodniejsze przepisy niż dziś. Ale nie o karę tu chodzi, lecz o sam fakt skazania. To jest najważniejsze! Organ sprawiedliwości przyznał karpiom prawo do humanitarnego traktowania. Bez bólu i cierpienia. Taki mały krok mógłby być początkiem wielkich zmian dla tych, co „głosu nie mają". My jesteśmy ich głosem i bardzo pragniemy, żeby ten głos został wreszcie usłyszany. Wciąż tak wielu ludzi nie chce uznać tej oczywistej prawdy. Do tej pory brutalne chwytanie i pakowanie ryb bez wody do worków uchodziło bezkarnie, a ta decyzja będzie miała wpływ na sprzedaż karpi, choć być może jeszcze wiele osób dopuszcza się brutalnego traktowania i krzywdzenia zwierząt. W ustnym uzasadnieniu wyroku sąd uznał, że decyzja ma charakter wychowawczy, także dla tych wszystkich, którzy dopuszczają się krzywdzenia ryb. Chodzi nie tylko o oskarżonych, ale również o duże koncerny, które w niegodnych warunkach trzymają ryby i tak je sprzedają. Po prostu do takiego traktowania karpi przyzwyczailiśmy się jako społeczeństwo, dlatego sprawa nabiera szerszego charakteru, bo wiele osób uważa takie handlowanie za całkiem normalne i bezkarne. Teraz ci, którzy karpie krzywdzą, dowiedzą się, że to przestępstwo.

Mec. Karolina Kuszlewicz i prezeska Fundacji Noga w Łapę Renata Markowska po 10 latach odniosły sukces w walce o prawa zwierząt.

MEC. KAROLINA KUSZLEWICZ
– działaczka społeczna, prawniczka, występująca w sądach jako obrońca zwierząt

Czy oskarżeni pracownicy handlu, kierownik i dwóch sprzedawców, wysłuchali wyroku?

– Nie, nie było ich na sali. Nie było też ich obrońcy. Prócz składu sędziowskiego była obecna tylko strona skarżąca, czyli prezeska fundacji Renata Markowska, ja – adwokatka oraz dwie osoby jako publiczność, w tym posłanka Katarzyna Piekarska.

Nie jestem pewien, czy ten wyrok będzie miał szerszy skutek.

– Sprawa stała się jednak dosyć głośna, zwłaszcza że ma taką długą historię. Rozprawę i wyrok relacjonowali dziennikarze TVN, OKO.press, Onetu. Podkreśliłam jej szerszy kontekst i to, że jest ważnym elementem zmiany na rzecz praw zwierząt, wskazałam to także na mojej stronie na Facebooku „W imieniu zwierząt i przyrody – głosem adwokatki". Napisałam: „Przetrzymywali karpie bez wody i pakowali do worków foliowych bez wody. Polska grudniowa codzienność... A jednak od dziś takie osoby nie są już bezkarne! To przełom!".

Czy do tego potrzebne było skazanie trzech osób? Przecież nie tylko one w ten sposób sprzedawały karpie przed świętami. Przydałyby się przepisy regulujące sprzedaż karpi, które uwzględniałyby prawa zwierząt.

– Spotkałam się już z komentarzami, że to niesprawiedliwe, by pojedyncze osoby ponosiły taką odpowiedzialność, bo powinna to być sprawa przeciw sklepowi. Chcę wyjaśnić, że istotą odpowiedzialności karnej jest ściganie konkretnych osób, które dopuściły się konkretnych czynów, tu

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl c0b3b09a9c

znęcania się nad karpiami, i właśnie ci oskarżeni zostali ustaleni przez policję. W sprawach karnych nie oskarża się sklepu, firmy czy instytucji, lecz tego, kto poprzez swoje zachowanie popełnił przestępstwo. Znęcanie się nad zwierzętami wiąże się z indywidualną odpowiedzialnością i każdy musi być tego świadomy.

Poza tym sąd nie jest od tego, by dawać jakieś zalecenia czy wytyczne co do wzorcowej sprzedaży. Wyrok jest jasnym sygnałem, że przetrzymywanie karpi bez wody to przestępstwo. Od wydawania zaleceń są ustawodawcy, zresztą dziś obowiązuje przepis w Ustawie o ochronie zwierząt, który wprost mówi, że znęcaniem się nad zwierzętami jest ich transport lub przetrzymywanie bez dostatecznej ilości wody umożliwiającej im oddychanie. Jeśli ktoś decyduje się na naruszenie tego przepisu, musi się liczyć z odpowiedzialnością.

Czy w sprawie obrotu rybami na święta wypowiedział się również biegły z zakresu biologii, zwłaszcza ichtiologii?

– Na ostatniej rozprawie nie było biegłego, ale w ciągu całego procesu biegli sądowi uczestniczyli. Początkowo biegły utrzymywał, że ryby bez wody nie cierpią, dlatego przegrywaliśmy w kolejnych instancjach. Biegły tłumaczył, że ryby oddychają także przez skórę, że ryba pozbawiona wody jakiś czas żyje. To błędne założenie zostało wytknięte przez Sąd Najwyższy. Nie chodzi bowiem o to, żeby ryba w konwulsjach przeżyła jakiś ograniczony czas za wszelką cenę. Powinna być chroniona przed cierpieniem. Potem nastąpiła zmiana biegłego. W sprawie wypowiadał się znany ekspert, najwyższej klasy, prof. Wojciech Pisula, specjalizujący się w psychologii zwierząt, wieloletni członek Krajowej Komisji Etycznej ds. Doświadczeń na Zwierzętach. W jego opinii ważne są w tym wypadku dobrostan zwierząt, ich przeżycia i odczuwanie bólu. Trzymanie żywych karpi bez wody narusza ich dobrostan. Prof. Pisula wykazał, że ludzie często o wiele lepiej postępują z przedmiotami martwymi i są one dla nich cenniejsze niż te zwierzęta, traktowane jak przedmioty bardzo niskiej jakości.

Niestety, do biegłych ichtiologów nie mamy szczęścia. To na podstawie opinii takiego specjalisty Sąd Okręgowy w Kaliszu obniżył karę sprzedawcom karpi, którzy obcinali łby rybom bez uprzedniego ogłuszenia. Biegły stwierdził, że ryby nie odczuwają bólu, nie cierpią. Na wniosek Fundacji Viva! sąd w Warszawie skreślił tego mężczyznę z listy biegłych sądowych.

– Prawa zwierząt są coraz szerzej zauważane. Biegłymi w sprawach zwierząt muszą być specjaliści, którzy rozumieją, czym jest dobrostan zwierzęcia. W sprawach dotyczących cierpienia nie można się koncentrować wyłącznie na tym, czy zwierzę jest w stanie przeżyć, ważne jest to, co oznaczają dla niego w aspekcie fizycznym i psychicznym dane warunki. W naszej sprawie sąd podkreślił, że wyrok dotyczący karpi jest przełomem. Naszym zdaniem nadchodzi zmiana! Idzie nowe! Warto było włożyć w obronę karpi tyle pracy przez długie lata, by usłyszeć ten wyrok!

Ale to nie wy, lecz Fundacja Viva! składa do premiera petycję popierającą wprowadzenie zmian w prawie, które zabronią hodowcom, sprzedawcom i konsumentom traktowania karpi i innych ryb jak rzeczy, niezdolnych do odczuwania bólu.

– Po pierwsze, jesteśmy po tej samej stronie barykady, więc to żadna konkurencja. Zmiana polegająca na zapewnieniu karpiom ochrony jest oczywiście wieloletnią pracą mnóstwa osób na różnych poziomach: sądowym, ale też kampanii społecznych, rzecznictwa politycznego. Patrzę na to jak na proces i wspólną pracę wielu podmiotów, choć faktem jest, że akurat ta sprawa jest wyjątkowa z uwagi na to, że przetarła szlak przez wszystkie możliwe instancje. Po drugie, od lat jako adwokatka angażuję się czynnie w zmianę prawa na rzecz karpi. Kiedy w 2017 r. próbowano zmienić ustawę, tak by wykreślić dosłownie ukradkiem, przy okazji innej nowelizacji, obowiązek trzymania ryb w wodzie, wraz z Klubem Gaja i międzynarodową organizacją ochrony zwierząt Compassion, działającą także w Polsce, doprowadziliśmy do zablokowania tej zmiany. Przygotowałam również obszerną ekspertyzę prawną na temat tego, że w aktualnym stanie prawnym nie jest możliwe sprzedawanie żywych karpi bez naruszenia ustawy. Została ona przekazana przez Compassion rządowi. Prawo już dziś jest po stronie tych zwierząt, to raczej walka z ludzkim oportunizmem.

b.tumilowicz@tygodnikprzeglad.pl

Organ sprawiedliwości przyznał karpiom prawo do traktowania humanitarnego, bez zadawania bólu.

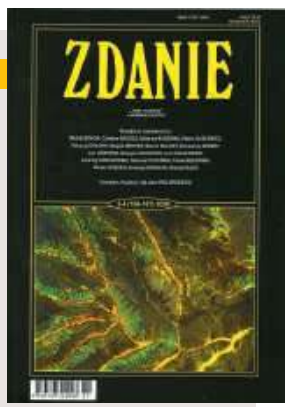

Nowy numer „Zdania" (nr 3-4/2020),
pierwszy pod redakcją Pawła Sękowskiego, kierującego Kuźnicą od prawie trzech lat. Pismo jest w Empikach, cena 15 zł
oraz
w wersji elektronicznej przez internetowy sklep „Przeglądu": sklep.tygodnikprzeglad.pl/produkt/zdanie-3-4-2020/
cena 9 zł

W numerze m.in.:
- „Troje na Jedną" z prof. Moniką Płatek
- debiutanckie na łamach „Zdania" teksty m.in. Konstantego Geberta, Patrycji Dołowy, Magdaleny Dropek, Marcina Galenta, Bartosza Rydlińskiego, Michała Bohuna, Czesława Brzozy i Michała Zajdy
- teksty znanych już z łamów „Zdania" autorów, m.in. Andrzeja Werblana, Andrzeja Romanowskiego, Pawła Sękowskiego, Grzegorza W. Kołodki, Lecha Nijakowskiego, Mateusza Burzawy, Mariana Stępnia, Jacka Wojciechowskiego i Jana Güntnera
- laudacja prof. Jana Widackiego z okazji wręczenia Kowadła Kuźnicy prof. Janowi Woleńskiemu oraz wypowiedź Laureata

eprasa.pl c0b3b09a9c

Dialog społeczny podstawą zapewnienia godnej pracy i płacy

Konieczne jest odformalizowanie procedur negocjacyjnych i rozszerzenie przedmiotu negocjacji zbiorowych

Ogólnopolskie Porozumienie Związków Zawodowych od czterech lat prowadzi kampanię pod hasłem: „Godna praca, płaca i emerytura". Kampania ma na celu m.in. zwrócenie uwagi na poszanowanie praw pracowniczych zagwarantowanych w konstytucji. Temu samemu celowi służy program „Dialog Społeczny – Godna Praca", w którym uczestniczy Federacja Związków Zawodowych Metalowców i Hutników w Polsce ze wsparciem Norwegii poprzez Fundusze Norweskie 2014-2021, realizująca projekt „Społeczny sektor metalowy – Wzmocnienie dialogu społecznego w sektorze metalowym poprzez dialog dwustronny".

Związki zawodowe wskazują powszechny deficyt dialogu społecznego. Konstytucyjne prawo wyrażone w art. 59 ust. 2 stanowi, że związki zawodowe oraz pracodawcy i ich organizacje mają prawo do rokowań, w szczególności w celu rozwiązywania sporów zbiorowych, oraz do zawierania układów zbiorowych pracy i innych porozumień. Podstawowymi problemami są zmniejszający się poziom uzwiązkowienia i niewielka liczba pracodawców objętych zakresem działania związków zawodowych. Do tego nie wykształciły się powszechne mechanizmy współdziałania między partnerami społecznymi na poziomie ponadzakładowym. Praktyką stało się pomijanie instytucji dialogu społecznego. Konstytucyjne prawo do rokowań zbiorowych jest konsekwencją instytucji dialogu społecznego. Jest on realizowany między uprawnionymi podmiotami społecznymi w postaci różnego rodzaju mechanizmów konsultacji, wymiany poglądów, opinii czy wreszcie procesu negocjacji.

Przedmiotem dialogu jest wspólne kształtowanie stosunków pracy, a zwłaszcza zawieranie układów zbiorowych pracy na szczeblu zakładowym, branżowym i ogólnokrajowym. Prawo to w związku z pandemią COVID-19 zostało niestety znacznie ograniczone. Ustawodawca pogorszył sytuację pracowników niereprezentowanych przez związki zawodowe, dopuszczając, by przy wprowadzaniu elastycznych zasad ustalania pracownikom czasu pracy porozumienie o wprowadzeniu systemu równoważnego czasu pracy lub o stosowaniu mniej korzystnych warunków zatrudnienia zawierali pracodawca i przedstawiciele pracowników, wyłonieni w trybie przyjętym u danego pracodawcy, jeżeli u pracodawcy nie działa zakładowa organizacja związkowa. W przypadku trudności w przeprowadzeniu wyborów przedstawicieli pracowników z powodu COVID-19, w szczególności wywołanych nieobecnością pracowników, trwającym przestojem lub wykonywaniem przez część pracowników pracy zdalnej, porozumienie to może być zawarte z przedstawicielami pracowników wybranymi uprzednio do innych celów przewidzianych w przepisach prawa pracy*.

Europejska Karta Społeczna, będąca podstawową umową Rady Europy dotyczącą praw społeczno-ekonomicznych, wskazuje, że w celu zapewnienia skutecznego wykonywania prawa do sprawiedliwego wynagrodzenia należy uznać prawo pracowników do takiego wynagrodzenia, które zapewni im i ich rodzinom godziwy poziom życia. Uznać trzeba także prawo pracowników do zwiększonej stawki wynagrodzenia za pracę w godzinach nadliczbowych, z zastrzeżeniem wyjątków w przypadkach szczególnych; prawo pracowników, zarówno mężczyzn, jak i kobiet, do równego wynagrodzenia za pracę jednakowej wartości; prawo wszystkich pracowników do rozsądnego okresu wypowiedzenia w razie zwolnienia z pracy. Należy też zezwolić na dokonywanie potrąceń z wynagrodzeń tylko na warunkach i w zakresie przewidzianym w ustawodawstwie krajowym lub ustalonym w układach zbiorowych pracy albo w orzeczeniach arbitrażowych. Wykonywanie tych praw powinno być zapewnione w drodze swobodnie zawartych układów zbiorowych pracy bądź prawnie określonych mechanizmów ustalania wynagrodzeń lub za pomocą innych środków, odpowiednich do warunków krajowych.

Polska ratyfikowała Europejską Kartę Społeczną. Ale nie podjęła zobowiązania w zakresie zapewnienia pracownikom wynagrodzenia umożliwiającego godziwy poziom życia.

16 czerwca 1997 r. Polska ratyfikowała Europejską Kartę Społeczną. Niestety, nie podjęła zobowiązania w zakresie zapewnienia pracownikom wynagrodzenia zapewniającego godziwy poziom życia (art. 4.1), pozostałe ustalenia pozostają wiążące.

Powyższe ukazuje, jak ważne w Polsce powinno być urzeczywistnienie dialogu społecznego i szersze wykorzystanie układów zbiorowych. Należy zatem kibicować związkowcom, by na podstawie doświadczeń norweskich, a szczególnie norweskich związków zawodowych, przygotowali plan działania na rzecz zagwarantowania praw pracowniczych. Już dziś wydaje się konieczne odformalizowanie procedur negocjacyjnych, rozszerzenie przedmiotu negocjacji zbiorowych, zwiększenie poziomu uzwiązkowienia i możliwości reprezentacji pracowników przez związki zawodowe oraz dopuszczenie delegatów związkowych do negocjowania porozumień zbiorowych. Należy zrezygnować z możliwości negocjowania porozumień zbiorowych przez przedstawicieli pracowników wyłanianych *ad hoc*.

Więcej informacji na: fzzmih-sektormetalowy.pl/O_projekcie,a,38.html

* Dz.U.2020.1842, art. 15zf

Artykuł sponsorowany

Publikacja została dofinansowana z funduszy norweskich – Norway Grants 2014-2021 w ramach projektu Dialog Społeczny B-Społeczny sektor metalowy – Wzmocnienie dialogu społecznego w sektorze metalowym poprzez dialog dwustronny

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl c0b3b09a9c

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Cepeeny a trybuny

A ja uważam, że nie jest źle, kiedy Orlen zakupił lokalne gazety, dzienniki, tygodniki, portale. To znaczy przez chwilę będzie źle bardzo, ale bez bezbrzeżnie groźnych konsekwencji. Oberwą naczelni i wielu dziennikarzy, miotła pisowska ich grzmotnie w kąt lub w realność przebranżowienia – i to jest bardzo przykre. Ale też od lat nie było sielankowo. Korporacje, które dotąd były właścicielami, dokonały wiekopomnych zniszczeń i degrengolady rynku prasy czy mediów. W imię zysku, bo to jedyna wartość, jaką znają, i jedyny cel. Od lat pod pozorem informacji, opisu świata i Polski niestołecznej, sprzedawano po prostu towar. A kiedy informacja staje się towarem, traci wszystkie cechy informacyjno-wiarygodnościowe.

PiS tego nie uzdrowi, to fakt. Dobije do dna, bo oprócz wymagań biznesowych dołoży bat propagandowej służalczości i nachalności, którą można porównać tylko z przekazem katechezy katolickiej pod kryptonimem lekcji religii, wtłaczanej polskim dzieciom i młodzieży od 30 lat. Ale też warto pamiętać, z jakim skutkiem. Polska jest najszybciej zeświecczającym się krajem Europy. Jeszcze tylko biskupi i Jarek Kaczyński nie przyswoili sobie wiedzy o tych konsekwencjach pankatechetyczności katolickiej. Ale co to ma do mediów lokalnych podporządkowanych państwowemu molochowi paliwowemu? Ma tyle, że dokręcenie śruby często kończy się jej zerwaniem, ułamaniem. Prasa umiera, prasa partyjna umiera szybciej, skuteczniej, bardziej widowiskowo. Tak więc orlenowskie (czytam Orlen – myślę PiS) zawłaszczenie na krótką metę będzie koszmarkiem, jak większość akcji zawłaszczania. Ale trzeba zdać sobie sprawę, że może być gorzej.

Czas odzyskać media. Czas je stworzyć dla naszej przyszłości.

Właśnie Ryszard Petru (czy pamiętamy jeszcze, że istnieje ktoś taki?) wylewał żale, że Orlen nie do końca sprywatyzowany, jakbyśmy żyli w złotych neolibkowych latach 80., w świecie thatcherystowsko-bushowego mroku, a nie w drugiej dekadzie XXI w. Odziedziczymy zatem po PiS i po PO-PiS sieć mediów lokalnych. Partyjnych. Służalczych. I tu widzę nadzieję na jakościową zmianę. Pod warunkiem że za próg tych redakcji wyrzucimy zarówno ideologie schyłkowego PiS, katodulszczyźniany, nacjonalistyczny ulepek, jak i wizje niewidzialnej ręki rynkowych redakcji. Cała Polska ma prawo do swoich, również lokalnych mediów jako warunku demokratycznych wartości, debat i wolności, szans na uczciwy i transparentny rozwój, gdzie tekstów nie okrawają ani partyjni aparatczycy, ani lokalni biznesmeni, ani ideolodzy martwego fałszu tzw. wolnego rynku. Tu pojawi się szansa na przywrócenie Polakom ich gazet, ich tygodników, ich opowieści – do czego mają obywatelskie, niezbywalne prawo. Niezbywalne ani na rzecz utopii Katolickiego Państwa Narodu Polskiego, ani ugoru powszechnej prywatyzacji – dóbr, wartości, emocji, pragnień.

Całą orlenowską operację postrzegam więc jako etap walki, podobny do technik wykorzystywanych w judo czy ju-jitsu – siła ataku przeciwnika, jego początkowy impet, moc, zostanie przejęta i skierowana przeciw atakującemu, w obronie nas wszystkich, nas – społeczeństwa. Ta operacja musi zostać wykonana zarówno w planie ogólnopolskim, jak i lokalnym. Nigdy więcej TVPiS (czy innej partii, jak było przez ostatnie trzy dekady), koniec z orlenowskim partyjniactwem. To może być krok w stronę uspołecznienia mediów lokalnych i upublicznienia w rzeczywistym znaczeniu tego słowa obecnych tzw. mediów publicznych, którymi jak nigdy dotąd obecnie nie są, choć nie były nimi w przeważającym stopniu w ogóle po roku 1989.

Tak, media powinny być służbą publiczną, na którą łoży państwo, równocześnie nie mając narzędzi bezpośredniego nacisku i wpływu. Strażacy gaszą wszystkie pożary, pielęgniarki opiekują się każdym pacjentem, policja (to temat na inną terapię) winna być, jeśli już musi być, propaństwowa, prospołeczna, nigdy prorządowa, propartyjna – a tak jest dzisiaj. Podobnie jak prokuratura wszystkie te instytucje muszą zostać oderwane od każdorazowej zależności od nowych gabinetów, tych wszystkich symulantów premierostwa czy prezydenckości. Ich jedyną racją istnienia jest bycie na służbie społeczeństwu, a jeśli chodzi o media wszelakie – to musi oznaczać powrót do najważniejszej zasady: kontroli wszelkiej władzy, głosu ludu, demaskacji zła społecznego, nadużyć możnych i potężnych. Bez konieczności walki na śmierć i życie o każdy kęsek na reklamowym stole. Dla dobra wspólnego. *Pro publico bono*. Tak na to chcę patrzeć. Takich mediów potrzebujemy, inne są po prostu oszustwem, złudzeniem, biznesikiem, propagandowymi tubami i koniec końców – kajdanami naszych wolności i kneblem wolności wypowiedzi. Media publiczne nie mogą być biznesem jak każdy inny, bo przestają być mediami. Czas je odzyskać. Czas je stworzyć dla naszej przyszłości.

r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl c0b3b09a9c

Szczepionka – obawy i nadzieje

Szczepionka na covid zawiera tylko mały fragment materiału genetycznego wirusa. Nie jest możliwe, by z tego odtworzył się i namnożył kompletny wirus

Rozmawia Beata Igielska

Pani profesor, szczepić się czy nie? Wielu naukowców wskazuje potencjalne zagrożenia w związku z aktywnym kwasem rybonukleinowym RNA, który może nam zmodyfikować DNA. Szwajcarzy wstrzymali akcję szczepień z powodu braku certyfikatów bezpieczeństwa trzech szczepionek.

– Moim zdaniem szczepienie jest bezpieczne. Szczepionka rzeczywiście jest oparta na RNA. To nowość, jeśli chodzi o zastosowanie u ludzi, ale testowano ją od bardzo dawna, firmy zebrały więc doświadczenia. Wcześniej szczepionki oparte na kwasach nukleinowych DNA i RNA nie były wprowadzane do użycia, bo podawanie dużej ilości kwasu nukleinowego powodowało istotny stan zapalny. W szczepionce przeciw COVID-19 uporano się z tym. Elementy kwasu rybonukleinowego opakowano w nanocząsteczkę lipidową i dawka jest bardzo mała.

Ludzie boją się, że szczepionki były zbyt krótko testowane, że pominięto któryś etap.

– Czas testowania jest skrócony, ponieważ od dawna pracowano nad szczepionką przeciw innym koronawirusom: SARS – 2003 i MERS – 2012. Tamte epidemie dość szybko zanikły. Ówczesne wersje koronawirusa powodowały bardzo ciężkie choroby i nie rozprzestrzeniały się tak łatwo jak SARS-CoV-2. Ten wirus nie zawsze powoduje chorobę zauważalną, co czyni go idealnym patogenem dla pandemii. Dzisiejsza szczepionka powstała więc na podstawie wieloletnich prób i doświadczeń. A że w związku ze strachem przed covidem pojawiły się duże pieniądze, można było ją szybko udoskonalić. Pfizer czy AstraZeneca przeprowadziły testy na kilkudziesięciu tysiącach osób, więc efekty niepożądane zostałyby zauważone. W szczepionce na covid nie hoduje się wirusa, tu jest tylko mały fragment jego materiału genetycznego. Nie jest możliwe, żeby z tego odtworzył się kompletny wirus, żeby się namnożył. Wstrzyknięcie jakiejkolwiek szczepionki pobudza układ immunologiczny do działania, więc typowe są takie zjawiska jak miejscowa opuchlizna i podwyższona temperatura. Są także reakcje związane ze stresem – ludzie dziś rzadko przyjmują zastrzyki.

Alternatyw na razie nie ma.

– No właśnie, zmarłych na covid jest bardzo dużo. Szpitale są przepełnione, ludzie umierają na inne choroby, bo nie mają możliwości leczenia z powodu pandemii, a szczególnie zła jest sytuacja chorych na nowotwory. Poza tym widać coraz więcej symptomów pocovidowych. Tego się boję. Bo być może ci, którzy przeszli chorobę lekko, po kilku miesiącach mogą mieć uszkodzenie płuc czy serca. Na drugiej szali mamy szczepionkę, nie tylko jednej firmy. Dobrze znam formę szczepionki powstałej w Oksfordzie (firma AstraZeneca), jest oparta na wektorach adenowirusowych. Mój zespół brał przez wiele lat udział w projekcie badawczym dotyczącym podobnych szczepionek i ich bezpieczeństwo sprawdzano bardzo rzetelnie. Szczepionka tej firmy też będzie w Polsce, więc jeśli ktoś ma dzisiaj obawy wobec preparatu Pfizera, może poczekać ze trzy miesiące i zaszczepić się szczepionką AstraZeneca, nieopartą na kwasie rybonukleinowym. Zdecydowanie zachęcam do szczepienia.

PROF. DR HAB. KRYSTYNA BIEŃKOWSKA-SZEWCZYK
– wirusolog z Uniwersytetu Gdańskiego

Czy pamięta pani jakąś akcję masowych szczepień?

– Szczepienia przeciwko polio w połowie XX w. Prof. Hilary Koprowski, wynalazca tej szczepionki, przysłał do Polski za darmo 9 mln dawek, przypłynęły w beczkach z USA. Nie wiem, jak akcja szczepień wtedy wyglądała. Wiem natomiast, że dziś mamy lepsze możliwości organizacyjne, łatwo można stworzyć bazy informacyjne.

Po konferencji prasowej na temat strategii widać, że rząd tego nie ogarnia.

– Przykład szczepionek przeciw grypie nie rokuje dobrze, nie sprowadzono ich na czas i zaszczepienie się graniczyło z cudem, a były naprawdę potrzebne. To, co powiedziano na

eprasa.pl c0b3b09a9c

konferencji prasowej: strategia, wiedza, bezpieczeństwo, to są hasła.

Zwróciła pani uwagę, że u nas wszystko musi być narodowe?

– Bardzo mnie to denerwuje. Ani szczepionka, ani jej zakup nie jest polskim dziełem, są zakontraktowane przez Unię Europejską. Potrzeba konkretnego planu, a nie pustosłowia pt. narodowa strategia. Ministerstwo Zdrowia wie, ile jest szpitali, przychodni mniejszych i większych, rozmaitych klinik, i może zaplanować, ile punktów szczepień powinno być.

Ktoś, kto ma obawy wobec preparatu Pfizera, może poczekać ze trzy miesiące i zaszczepić się szczepionką AstraZeneca.

Lekarze mówią, że sztywne normy, w rodzaju 180 szczepień tygodniowo na punkt, są niewykonalne. Mam nadzieję, że to zostanie zmienione. Jeśli w małej miejscowości jest ośrodek zdrowia, gdzie pracuje jeden lekarz, to nagle ma on wszystko rzucić i wyłącznie szczepić? To absurd! A jak przyjdzie dziecko z zapaleniem płuc – nie będzie się nim zajmował? Do tego ma jeszcze jeździć po domach, bo ma być akcja wyjazdowa.

Jest też problem z niskotemperaturowymi zamrażarkami na szczepionki Pfizera.

– Takie mamy w laboratoriach naukowych, korzystamy z nich cały czas, bo wiele preparatów wymaga przechowywania w niskich temperaturach, właśnie około minus 70 st. C. Przyszło zapytanie z ministerstwa, czy mamy taki sprzęt. Na pewno byśmy opróżnili jedną i użyczyli. Ale oczekiwałabym, że ministerstwo teraz zadeklaruje: kupujemy 60 zamrażarek niskotemperaturowych. To nie jest duży wydatek w skali kraju. Dobra zamrażarka tego typu kosztuje 30-40 tys. zł. Dziesięć zamrażarek to na pewno wciąż dużo mniej niż zakup czołgu albo samochodu opancerzonego. Zamrażarki powinny stanąć w większych punktach dystrybucji. Z nich, w specjalnych pojemnikach, szczepionki powinny być rozsyłane do mniejszych punktów. To jest kwestia logistyki, transportu.

Obawiam się, czy szczepionki nie rozmrożą się w drodze.

– Też się tego boję. Druga sprawa – nie bardzo rozumiem, dlaczego przy wkłuciu musi być lekarz. Wystarczy, że będzie w przychodni, wchodzi do niej kilku chętnych do szczepienia, lekarz przeprowadza z nimi wywiad, pielęgniarka mierzy temperaturę. Bo nie można szczepić nikogo na żadną chorobę w momencie ostrej infekcji, gorączki albo biegunki. W organizmie jest pożar, więc nie dokłada się do ogniska. Trzeba gasić jedno zarzewie. Jeśli zaś ktoś ma reumatyzm czy inną przewlekłą chorobę, można i należy go szczepić, bo jest bardziej podatny na infekcje. W zbieraniu wywiadów mogliby pomagać studenci medycyny, oni i pielęgniarki mogą też szczepić. Lekarz musi być w pobliżu, bo są osoby, które mają rzadkie alergie, i może dojść do gwałtownej reakcji. A do zrobienia małego domięśniowego czy podskórnego zastrzyku wystarczy podstawowe wykształcenie medyczne. Do wykorzystania są ogromne szpitale tymczasowe. Można tam zorganizować np. dziesięć punktów szczepień. Żeby nie tworzyć tłumów, trzeba by umawiać na określoną godzinę, w punkcie pracowałoby kilka osób, więc mogłoby to iść sprawnie. Nie widzę jednak informacji na temat organizacji takich punktów.

Logistyka musi być dostosowana do sytuacji w Polsce.

– Tak, bo będą rejony, gdzie wszyscy będą chcieli się zaszczepić, a będą i takie, gdzie ludzie będą się bali.

Osobę z reumatyzmem lub inną przewlekłą chorobą można i należy szczepić, bo jest bardziej podatna na infekcje.

Tu ma zadanie nawet ksiądz, żeby powiedzieć z ambony: nie bójcie się. Prezydent, nawet jeśli przeszedł covid, też powinien się zaszczepić, bo powiedział, że szczepić się nie trzeba. Oczekuję twardych faktów, a nie haseł: wiedza, bezpieczeństwo. Bo panowie z rządu raczej niewiele wiedzą o bezpieczeństwie ani nie mogą zagwarantować, że szczepionka będzie skuteczna. Czy będzie chroniła przez długi czas, tego nie wie nikt: ani jej producenci, ani żaden lekarz. Przypuszczam jednak, że będzie nas chronić dłużej niż kilka miesięcy. Ten wirus jest stabilny, nie zmienia się, ma jedno białko, które jest głównym celem obrony immunologicznej. To sytuacja sprzyjająca wytworzeniu pozytywnej, długotrwałej odpowiedzi immunologicznej. Nikt nam nie zagwarantuje, że w Chinach za rok czy dwa nie pojawi się nowy koronawirus i że nie trzeba będzie się doszczepiać innym wariantem szczepionki.

Ile może potrwać akcja szczepień?

– Na razie zgłosiło się 1000 miejsc, gdzie można zrobić 180 szczepień tygodniowo. W tym tempie potrzeba by dwóch lat. Ale liczę, że w ciągu kilku dni zgłosi się więcej punktów szczepień. Ze strony rządu muszą być zapewnione transport i lodówki – teraz będzie o to trudno, bo jest duży popyt. Tak samo było z maseczkami i ubraniami ochronnymi. Trzeba było zamawiać jakiś czas temu. Czy to zrobiono? Tylko szczepionka Pfizera wymaga niskotemperaturowych zamrażarek. Wymóg minus 70 st. dotyczy dłuższego przechowywania. Natomiast przed podaniem szczepionka musi być powoli rozmrażana. Może też być przechowywana kilka dni w temperaturze minus 20 st. Z punktu dystrybucyjnego można przesłać potrzebną liczbę dawek w ciągu jednego dnia i tego samego dnia zacząć szczepić. Wtedy zamrażarka nie jest potrzebna w danym punkcie. Mamy świetnych informatyków, oni pomogą opracować logistykę, tylko wykorzystajmy ich potencjał.

Czy szczepionka pozwoli nam wrócić do normalnego życia?

– Spodziewam się, że na efekty szczepień, połączone z faktem, że coraz więcej ludzi przeszło chorobę i mogą być chronieni, trzeba będzie poczekać może do lata przyszłego roku. Autentyczne wygaszenie pandemii będzie prawdopodobnie widać dopiero pod koniec przyszłego roku. U nas zaczniemy szczepić w lutym, więc zobaczymy, jak to przebiega np. w Wielkiej Brytanii, gdzie przez następne tygodnie zaszczepi się dziesiątki, a potem setki tysięcy ludzi. Będziemy obserwować ich problemy, jak sobie z nimi radzili. Co do powrotu do normalności – to się okaże za jakiś czas. Jestem dobrej myśli.

b.igielska@tygodnikprzeglad.pl

FOT. SYLWESTER CISZEK

eprasa.pl c0b3b09a9c

Beata Dżon-Ozimek
Korespondencja ze Zlatych Hor

Teraz idzie o przeżycie

Czech już nie ufa rządowi i trzeciemu ministrowi zdrowia. Gastronomia i hotele nie są pewne kolejnego dnia

Nie wiem na pewno, czy jestem jeszcze w Polsce, czy już w Czechach, przejście z państwa do państwa w okolicach Biskupiej Kopy w Jarnołtówku to kwestia kilku kroków, zakrętu – niezauważalne. Podobnie ma się sprawa z koleją, która kilka razy dziennie dudni bardzo w sąsiedniej Pokrzywnej – po polskich torach jeżdżą czeskie pociągi. Kilka kilometrów dalej 102 lata temu spacerowałabym po przygranicznym austrowęgierskim Cukmantl, może po parku imienia Franciszka Józefa. Albo spoglądałabym spod imponujących łaźni leczniczych na nieco młodszą od nich wieżę widokową, także imienia cesarza, postawioną w 1898 r. na szczycie Biskupiej Kopy, wieczorami oświetloną jak latarnia morska. Może w międzywojennej Czechosłowacji spotkałabym Franza Kafkę czy Leoša Janáčka, którzy leczyli tutaj delikatne dusze i nadszarpnięte nerwy. Po roku 1938 piłabym kawę czy piwo już w niemieckiej miejscowości, a dzisiaj jestem w czeskich Zlatych Horach i patrzę na ginące w mgłach białe światło tej samej wieży spod prywatnego sanatorium Edel, tego, w którym bywali Kafka i Janáček. Dziś leczy dzieci z problemami oddechowymi m.in. w ramach speleoterapii w dawnych wyrobiskach po wydobyciu złota i miedzi. To chyba największe prywatne sanatorium w Czechach, zaprzyjaźnione z naszą Wieliczką.

Speleoterapia dla dzieci.

Lepiej mieć teraz ważny powód, by wjechać z polskiej strony do Czech, zastrzegają policjanci i pogranicznicy.

800-letnie spokojne miasteczko żyło kiedyś z wydobywania złota, przypomina o tym fontanna w kształcie mis do płukania złota. Kto lubi cmentarze, znajdzie w sąsiedztwie fary z rosłymi na 19 m 150-letnimi kasztanami nagrobek rzeźnika i starosty miasta, Johanna Zottmantla, z 1649 r. Niestety, żona starosty dwa lata później została spalona na stosie, uznano ją za czarownicę, nie miał kto obronić wdowy, a zginęło tu w płomieniach w XVII w. 85 osób, także dzięki aktywności habsburskiego inkwizytora Heinricha Franza Bobliga von Edelstadt. W niedalekim zamku we wsi Velké Losiny przez kilkanaście lat skazywał w procesach czarownic nieszczęsne kobiety i ich wspólników; tylko w tej wsi spłonęło na stosie co najmniej 56 osób. Zlaté Hory leżą na czesko-polskim Szlaku Czarownic. To nie jest wymyślona „atrakcja" pogranicza.

Špatně, špatně

Czeskie miasteczka, zwłaszcza te przygraniczne, wydają się często wyludnione, ale właśnie teraz, w czasie pandemii, widać na ulicach więcej z 4 tys. mieszkańców Zlatych Hor. Może pandemia wypycha ich na spacery, bo zima niezimowa, więc i grupy nastolatków chodzą leniwie, wracają z otwartych pod koniec listopada szkół, dzieci biegają pomiędzy świąteczną choinką a mniejszymi ozdobami przy głównej ulicy, głośno się śmieją bez maseczek. Te noszą na ulicach przeważnie osoby starsze. Przed sklepikami stoją klienci w maskach, jeśli wnętrze wypełniło się dwiema, trzema osobami. Na większości sklepów widać mniej lub bardziej czytelne piktogramy z prośbą o używanie maseczek lub zakrywanie ust i nosa szalem lub inną częścią garderoby. Nie nerwowo, powoli, ludzie pilnują sami siebie w sklepach, tym bardziej że niektóre mają na drzwiach wywieszki, ile osób może się tam znaleźć naraz albo że można wchodzić maksymalnie parami i należy trzymać odległość 2 m.

Świecą już miejskie świąteczne dekoracje, w tym potężna choinka. Przez miasteczko przejechał Mikulasz, Mikołaj. Budki świąteczne jednak się nie otworzyły. Dzień przed Wigilią mieszkańcy będą sobie przez godzinę przekazywać światełko betlejemskie za pośrednictwem

eprasa.pl c0b3b09a9c

skautów, w Wigilię usiądą do karpi, zupy rybnej albo z soczewicy, jeśli nie lubią karpia, zjedzą pstrąga. W sylwestra historyczna gwardia odda ostatni wystrzał w starym roku. Jeśli impreza nie zostanie odwołana.

Czynni są fryzjerzy, bary z jedzeniem nie tylko na wynos, ale minęło ledwie kilka dni od poluzowania zasad wstępu do knajpek i zajmowania połowy miejsc przy stolikach, a od 9 grudnia znowu są ograniczenia czasu otwarcia do ósmej wieczorem. – *Špatně*, *špatně* (źle, źle) – słyszę od miłej kelnerki w U radnice w centrum Zlatych Hor. – Wczoraj koleżanka zamknęła o piątej. Przez cały dzień było pięć osób, a urządzenia zużywają prąd, pali się światło itd. Ludzie boją się wchodzić – dodaje ze smutkiem. – Nie wiemy, co będzie dalej.

My pijemy, wy się upijacie

Pustki, turystów od września niestety nie widać, głównie tych polskich, bo to oni są filarem przygranicznej gastronomii. Mało polskich samochodów na ulicach, parkingach, a wielu Polaków wpadało „za miedzę" na zakupy, do knajpek na piwo, kofolę i zupę czosnkową. Mało nas widać nawet w ten pierwszy „otwarty" grudniowy weekend, choć to rytuał na Opolszczyźnie – niedzielny obiad w Czechach.

Lepiej mieć teraz ważny powód, by wjechać z polskiej strony do Czech, zastrzegają policjanci i pogranicznicy. Za to Czesi chętnie robią u nas zakupy, nikt się nie boi, i tak ten sąsiedzki krwiobieg trwa. Pod marketami jest dużo samochodów na czeskich numerach, u nas jest taniej, w marketach budowlanych nawet do 30%.

Są takie wiejskie przygraniczne jadłodajnie z całotygodniowym menu, gdzie można wziąć pyszne jedzenie na wynos, teraz znowu usiąść przy zapalonym piecyku, wypić oranżadę „z kija", po obiedzie beherovkę, pogadać z zawsze zadowoloną kelnerką z tatuażem („Stara miłość", śmieje się), pooglądać dziesiątki złotych pucharów wygranych w piłce nożnej przez właściciela – to Jindřichov i Hospůdka U Pepana. W ubiegłym roku narzekali, że nie nadążają, tylu Polaków tu przyjeżdżało w weekendy, dziś każde zamówienie jest mile widziane. – W niedziele w Westernie w Bartultovicach mówi się tylko po polsku – opowiada Adam Myśków z „Tygodnika Prudnickiego". Nazywa go anegdotycznie najlepszą restauracją w Prudniku – bliżej tam ze strony polskiej niż z czeskich miejscowości.

Restauratorzy nie mogą liczyć na wsparcie państwa, bo gastronomii się nie zamyka, tylko skraca czas pracy.

Ale w tym lokalnym piśmie zwracają teraz uwagę ogłoszenia tej czeskiej restauracji z ofertą jedzenia na wynos. To ratunek na czas pandemii.

– My pijemy, a wy się upijacie – mówi o Czechach i Polakach Błażej, elektryk. Z jednej z takich czeskich popołudniowych nasiadówek wraca miły starszy pan. Lekko wstawiony szuka klucza i usiłuje wejść do kamieniczki oznaczonej szyldem Únikovа hra, taki nasz „pokój zagadek". Ma bardzo widowiskowo założoną maseczkę, na lewym policzku, oddech rozwiewa wszelkie wątpliwości. Wchodzi po wymianie paru zdań z samym sobą do swojego „domu zagadek", dał sobie radę, rozwiązał zagadkę klucza. W informacji miejskiej w Zlatych Horach można dostać numer telefonu, by się umówić na únikovą hre. W okolicach sanatorium z widokiem na Biskupią Kopę można się zanurzyć w inną zagadkę, w labirynt wycięty w krzewach. Jak już się go przejdzie, dobrze wejść na kawkę do kafejki na dole sanatorium Edel.

Nie wiadomo, co będzie jutro

Oczywiście nosi się maseczki, dominują tekstylne do prania. W lobby Edelu tylko kuracjusze, ich rodzice i obsługa. Na 113 łóżek plus ok. 50 łóżek opiekunów przez cały okres od ogłoszenia pandemii nie zdarzyło się, by ktoś spośród kuracjuszy był chory albo zachorował na covid. – Zachorowały może trzy osoby z personelu, zaraziły się na gruncie prywatnym, ale szybko udało się nam to wyłapać – wyjaśnia dyrektor techniczny, Adam Svozil. – Czech nie ma potrzeby opłacać sobie prywatnego pobytu, skoro płaci mu kasa chorych. Kiedyś, jak były gorsze czasy, ze 20 lat temu, jeździliśmy do polskich kas chorych, próbowaliśmy ściągnąć klientów, ale teraz mamy cały czas obłożenie.

Edel od 18 lat co roku organizuje kongresy dla czeskich pediatrów, czasami kongresy lekarzy speleoterapii z całego świata; część z nich korzysta wtedy z noclegów po polskiej stronie. – Nie każda dziura w ziemi nadaje się do leczenia

O tym, że miasteczko żyło kiedyś z wydobywania złota, przypomina fontanna w kształcie mis do płukania kruszcu.

FOT. BEATA DŻON-OZIMEK (2)

eprasa.pl c0b3b09a9c

– śmieje się pan Adam, bo to sanatorium jest jednym z dwóch w Czechach ze speleoterapią, drugie korzysta z naturalnych jaskiń. – A wy macie swoją Wieliczkę.

Kwarantanna nie jest wielkim zaskoczeniem dla tego sanatorium. Co roku podczas okresu wzmożonej grypy sami sobie robią „izolację". – Mieliśmy akurat grypową kwarantannę, jak przyszła „korona", dla pacjentów było to dosyć nieprzyjemne, bo nie można było ich odwiedzać. To bardziej szpital niż ośrodek leczniczy i wszystkie obostrzenia dotyczą nas tak samo jak szpitali – podkreśla Svozil. Na początku pandemii ludzie się bali, rezygnowali z wyjazdu do sanatorium, a ci w trakcie pobytu nie chcieli opuszczać ośrodka.

Czesi chętnie robią u nas zakupy, nikt się nie boi.

– Tu czuli się bezpiecznie, wszyscy byli zdrowi, dzwoniliśmy do kasy chorych, przedłużaliśmy pobyty – dodaje dyrektor. Półżartem mówi, że klimat jest taki, że nawet ten spadochroniarz, któremu spadochron się nie otworzył, zmarł na „koronę". – Jest ciężki czas, ludzie są bardzo wkurzeni, najgorzej mają knajpy, restauracje, hotele, pensjonaty. Zatrudniają bardzo dużo osób, nasi rządzący nie potrafią sobie nawet wyobrazić, ile ich jest. Nie działa hotel, to nie działa pralnia, piekarnia itd. Co kilka dni zmieniają zasady, co możemy, co nie, najgorsze jest to, że nie wiem, co będzie jutro – przyznaje Svozil, cały czas w maseczce.

– Restauratorzy zapowiadają protesty wobec ciągłych zmian decyzji administracyjnych, zwłaszcza że ich się nie zamyka, czyli nie mogą liczyć na wsparcie państwa, skraca się natomiast czas pracy. A my, Czesi, zaczynamy wieczór od ósmej, kilka razy w tygodniu wychodzimy, żeby się spotkać i pogadać przy piwie, to element naszego życia – mówi elektryk Błażej. Dodaje, że sam jest ciekaw, czy będą jakieś protesty, czy skończy się na gadaniu, „bo Czesi gadają i gadają, nie tak jak wy, Polacy, idziecie i protestujecie. To mi się u was podoba".

Starszy pan przy stoliku w barze, czynnym do pół do czwartej, mówi o biurokracji, strasznych wymaganiach dotyczących pomocy państwa: – Mamy już trzeciego ministra zdrowia. Trzeba żyć z dnia na dzień, rano sobie czytam, co dzisiaj mnie czeka, o reszcie nie chcę wiedzieć, już nawet nie oglądam wiadomości. Nikt nie ufa już państwu, nie wierzymy władzy, każdy się urządza w swojej piaskownicy. Niech już to się skończy!

Protest środowiska gastronomii, hotelarzy? Nie dać się zamknąć. – Teraz idzie o przeżycie. To jak podczas II wojny, myślę, że mieliśmy wojować, jak wy, nie mieliśmy się tak poddać, ale to są Czesi. Teraz jest podobnie, trzeba coś zrobić. Co jest lepsze, mieć niezburzoną Pragę czy dobre samopoczucie? – pyta retorycznie dość młody pan Adam. To brzmi przejmująco. Ale w tych okolicznościach trudno coś zwojować.

Beata Dżon-Ozimek
b.dzon@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl c0b3b09a9c

Oko w oko Tomasz Jastrun

Szachy, komórka i stodoła

Uczę mojego dziesięciolatka Frania grać w szachy. Znając jego typ wyobraźni, wiem, że będzie w tym dobry. Jeśli nauczy się grać. Ale to niepewne. Nie chce się uczyć. Cały wolny czas poświęca na gry na komórce, szachy nie mają szans. Ich wadą jest też to, że trochę czasu zabiera, by nauczyć się ruchów figur i ujrzeć komplikacje szachownicy. Nie ma do tego cierpliwości. Zmuszam go, siedzimy przy szachownicy, nagle widzę, że zastanawiając się nad ruchem, coś robi pod stołem, patrzę i oczom nie wierzę, klika na komórce. Właśnie tego dnia, czytam, zbadano, że 65% dzieci w czasie lekcji online gra po kryjomu na komórce. Antoś i Franio z entuzjazmem opowiadają mi o grach, o niczym nie mówią z większą ekscytacją. Gdy idziemy na spacer do lasu, nie widzą lasu, rozmawiają o grach. A ja oczywiście nic nie rozumiem z tego, co mówią, a oni wiedzą, że nic nie rozumiem, i to ich bawi. Jak to zmieni świat?

•

Po raz drugi z rzędu program o edukacji. Temat może nie efektowny, ale gardłowy. Jeśli leży edukacja, a leży, to leży też nasza przyszłość. Głównym gościem był Jarosław Pytlak, pedagog, działacz społeczny, dyrektor i twórca Społecznego Gimnazjum nr 99 STO na Bemowie. Ta szkoła jest dowodem, że nawet w ramach obecnego systemu edukacji można uczyć przyjaźnie i nowocześnie. Bliskie są mi jego myśli. Mówi: dzisiaj, podobnie jak sto lat temu, tyle że w nieporównywalnie większej skali, ludzkość stoi w obliczu postępu naukowo-technicznego wywierającego wpływ na wszystkie dziedziny życia. Otwiera on przestrzeń dla jakiejś formy reinkarnacji Nowego Wychowania. To mamy Nowe Wychowanie: likwidacja gimnazjów, „żołnierze wyklęci" i mroczny, prymitywny Czarnek jako minister oświaty. Pytlak pisze na swoim blogu: „Fascynuje mnie temat szkoły jako poligonu aktywności społecznej dziecka. W swojej obecnej formie szkoła najlepiej przystosowuje do życia w... więzieniu. Cały mój sukces pedagogiczny opiera się właśnie na czynieniu ze szkoły miejsca dobrego życia. Nauka jest wtórna, chyba że uznamy naukę harmonijnego funkcjonowania w społeczeństwie za ważną, a wtedy jest pierwotna".

Tak, nauka jest wtórna, ważne są harmonia psychiczna i uzyskanie narzędzi do zdobywania wiadomości, wychwytywania wiedzy z tej rwącej rzeki informacji, która nas zalewa.

Jeśli leży edukacja, a leży, to leży też nasza przyszłość.

Mówią też w programie zwykli nauczyciele, wszyscy o tym samym: PiS bierze się do ideologicznej indoktrynacji, ci nieszczęśni „żołnierze wyklęci" jako symbol obsesji tej władzy. Czy PiS to się uda? Pytlak twierdzi, że nie. Edukacja to setki tysięcy nauczycieli, którzy dzięki swojej pracy są przekonani, że mają rację, że swoje wiedzą. Oprą się wszystkiemu na dobre i na złe.

•

Znowu nie ma wody, awaria, a mój stary citroën nadal zepsuty, więc i ja czuję się zepsuty. Niemożność wzięcia prysznica po przebudzeniu to więcej niż dyskomfort. Siła przyzwyczajenia i obyczaju, sam Miłosz wspomniał, że za jego młodości myto się tak całościowo nie częściej niż raz na tydzień. Z dziennika Pepysa wiemy, że w XVII-wiecznym Londynie nawet ci dobrze urodzeni chodzili do łaźni raz na kilka miesięcy. Ludzie śmierdzieli, dwór królewski też. A jak wyglądały sanitariaty, również w pałacach, to się nie mieści w wyobraźni. W Wersalu czasami robiono po kątach. W Polsce rewolucję sanitarną wprowadził premier Sławoj-Składkowski, odpowiedzialny za Berezę i Brześć, nakazując budowę drewnianych wychodków na wsiach, stąd popularna nazwa sławojki. Wcześniej chodzono za stodołę. Załapałem się na stodołę. Musiałem mieć około dziesięciu lat, gdy z rodzicami pojechaliśmy do znajomego, do Prabut. Pamiętam, jak ojciec pyta, gdzie jest toaleta, a gospodarz mówi: u nas to chodzi się za stodołę. Pamiętam minę ojca. I swoją potem wizytę za stodołą – tyle rzeczy zapomniałem, a ten zastodolny krajobraz pamiętam.

Przypis do premiera Składkowskiego. Gdy zwiał z rządem i z jego „guzikami" do Rumunii, prosił gen. Sikorskiego, by ten przyjął go do polskiej armii na uchodźstwie. Świetna odpowiedź generała. Arcydzieło sztuki epistolarnej, chylę czoła przed generałem.

„Otrzymałem Pańskie zgłoszenie do służby czynnej. Żąda pan w swym podaniu rzeczy niemożliwej. Nie rozporządzam tak silną policją, ani żandarmerią, by ochronić Pana od zniewag i zamachów, które spotkać Go muszą w każdym większym skupisku polskim. Pan, Prezes Rządu odpowiedzialnego za bezprzykładny pogrom, jakiegośmy doznali, powinien zrozumieć, że jedno mu teraz pozostaje: dać o sobie zapomnieć".

t.jastrun@tygodnikprzeglad.pl

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl c0b3b09a9c

Kolegium dziwnych wyborów

Kolegium Elektorów definiuje amerykańską politykę, choć nie jest zapisane w konstytucji

Mateusz Mazzini

Cztery lata temu prezydencka noc wyborcza obfitowała w chwile szoku i zdziwienia, zwłaszcza dla tych, którzy na co dzień nie obserwują wydarzeń w Stanach Zjednoczonych. Ogromnym zaskoczeniem był sam triumf Donalda Trumpa, którego wygraną jeszcze dzień przed głosowaniem sondaże uznawały za mało prawdopodobną. Jednak podobne niezrozumienie, zwłaszcza poza USA, towarzyszyło momentowi ostatecznego ogłoszenia wyników. Na Hillary Clinton oddało głos prawie 2,9 mln osób więcej niż na kandydata Partii Republikańskiej. Jak to zatem możliwe, że prezydentem zostanie kandydat, którego poparła mniejsza część elektoratu? Czy w amerykańskiej demokracji nie obowiązują rządy większości?

Odpowiedzią na tę zagwozdkę jest Kolegium Elektorów – ciało wpisane w tamtejszą architekturę ustrojową jeszcze przez ojców założycieli republiki. Najprościej mówiąc, stanowi ono rodzaj pośredniego szczebla między głosującymi obywatelami a popieranymi przez nich kandydatami. USA to kraj federalny, w którym poszczególne stany początkowo były luźno związanymi ze sobą podmiotami. Twórcom ustroju, ledwo co uwolnionym spod jarzma brytyjskiego kolonializmu i obawiającym się monopolizacji władzy w rękach jednej osoby, przyświecała idea „ograniczonego rządu". Dlatego to właśnie stany miały najpierw same decydować o poparciu kandydata, a dopiero potem przenosić to poparcie na szczebel ogólnokrajowy. Powód był prosty – Thomas Jefferson, Alexander Hamilton i inni architekci amerykańskiej państwowości, choć byli zaprzysięgłymi obrońcami demokracji (rozumianej bardziej jako antyteza monarchii niż rzeczywiste rządy ludu), nie wierzyli w zbiorowy rozsądek społeczeństwa. Przeciwnie – obawiali się, że ludzie okażą się zbyt podatni na demagogię, skłonni poprzeć kandydata niemerytorycznego, ale skutecznego w politycznej grze. Zapobiec takiemu scenariuszowi miało Kolegium Elektorów. Ciało, o którym w konstytucji USA nie ma ani słowa, ale które najlepiej ze wszystkich instytucji tłumaczy istotę amerykańskiego federalizmu i stosunku obywateli do władzy na różnych szczeblach.

Gdyby decyzja wyborców okazała się zła, elektorzy z poszczególnych stanów mieli działać jak zawór bezpieczeństwa. Odrzucić nietrafiony wybór ludu, kierując głosy ku kandydatowi bardziej kompetentnemu i wynosząc go do Białego Domu. Czyli poprawiać niedoskonałości demokracji. A ponieważ ich liczba przypadająca na poszczególne stany różni się, w różny sposób reprezentowali oni przypisanych im wyborców. W ciągu dekad, a nawet wieków Ameryka zmieniała się jako kraj, nie zmieniał się jednak sposób działania jej instytucji. Mimo ekspansji na zachód, poszerzenia republiki, eksplozji populacyjnej czy masowej imigracji Kolegium Elektorów pozostawało buforem według jednych, a narzędziem establishmentu do kontroli ludzi według drugich. Nigdy nie ujednolicono zasad jego działania. Do dziś każdy z 50 stanów ma własną procedurę wyłaniania elektorów, niektóre nawet nie podają do publicznej wiadomości, którego kandydata ich elektorzy popierają w głosowaniu Kolegium, przypadającym zawsze na połowę grudnia następującego po listopadowych wyborach prezydenckich.

Gdyby decyzja wyborców okazała się zła, elektorzy z poszczególnych stanów mieli działać jak zawór bezpieczeństwa.

Łącznie jest ich 538 w całym kraju. Jeden elektor przypada na każdego ze 100 senatorów i 435 członków Izby Reprezentantów. Do tego należy doliczyć trzech elektorów z Dystryktu Kolumbii, który w Kongresie nie jest w ogóle reprezentowany, więc mieszkającym tam obywatelom trzeba było zapewnić prawo głosu w wyborach prezydenckich w specjalny sposób. Ponieważ właśnie głosy elektorów, a nie samych wyborców decydują o tym, którego kandydata poprze dany stan, to wśród nich musi on zdobyć poparcie ponad połowy głosujących. Dlatego w wyborach ważne jest, by zapewnić sobie poparcie 270 elektorów – tam przebiega linia mety wyścigu prezydenckiego.

Od samego początku republiki reprezentacja polityczna poszczególnych stanów na poziomie federalnym połączona jest mniej lub bardziej reprezentatywnie z ich populacją. Całkowita liczba elektorów nie może się zmienić, tak jak liczba członków Kongresu – do tego potrzebna byłaby poprawka do konstytucji. Zmienić się

Nowy numer tygodnika „NIE":
Jak prezydent Duda osocze oddawał i dlaczego tak samo nie może tego zrobić byle ozdrowieniec.

eprasa.pl c0b3b09a9c

Kolegium Elektorskie w Massachusetts.

może natomiast ich rozkład pomiędzy stanami. Jak już wspomnieliśmy, liczba elektorów w każdym z nich jest powiązana z liczbą przedstawicieli w Kongresie. Ta z kolei ustalana jest na podstawie danych populacyjnych, zbieranych w czasie spisu powszechnego przeprowadzanego raz na dziesięć lat. Elektorów w żadnym stanie nie może być jednak mniej niż trzech, co wynika z posiadania przez każdy stan dwóch senatorów oraz co najmniej jednego członka Izby Reprezentantów. Taki status ma aż sześć stanów: Alaska, Delaware, Montana, Dakota Północna, Vermont i Wyoming. Na drugim końcu skali znajduje się Kalifornia, stan najbardziej ludny, z 55 elektorami.

Teoretycznie Kolegium chroni mniejsze stany przed dyskryminacją w federacji, ale minimalne liczby elektorów sprawiają, że zaburzona jest ważność ich pojedynczych głosów. Na przykład jeden głos elektorski w Wyomingu przypada na ok. 193 tys. głosów w wyborach powszechnych, podczas gdy w Kalifornii czy Teksasie proporcje te wynoszą jeden na ponad 700 tys. Według danych Departamentu Spraw Wewnętrznych w aż 21 z 50 stanów wyborcy są niedoreprezentowani – przypadający na nich odsetek wszystkich głosów elektorskich jest niższy niż odsetek populacji całego kraju, jaki stanowią. Gdyby bowiem głosy rozdzielać proporcjonalnie, Kalifornia miałaby ich aż o dziesięciu więcej, Teksas zyskałby dziewięciu, a Maine czy New Hampshire zmniejszyłyby stan posiadania o połowę, z czterech do dwóch. Dysproporcje te wynikają nie tylko ze zmian demograficznych. To również pokłosie tzw. gerrymanderingu, czyli manipulowania obszarami okręgów wyborczych do Kongresu. Przerysowywanie ich, tak aby zmarginalizować poszczególne grupy wewnątrz elektoratu, utrudnić im dostęp do głosowania, lub poszerzanie w celu rozbicia przewagi jednej z partii, sprawiło, że dyskryminacja wyborcy zaczyna się często już na poziomie jego własnego osiedla.

Każdy stan ma własną procedurę wyłaniania elektorów. Łącznie jest ich 538 w całym kraju.

W relacji pomiędzy liczbą obywateli uprawnionych do głosowania a liczbą elektorów w danym stanie pobrzmiewa jednak echo nie tylko pragmatyzmu ojców założycieli, ale też niewolnictwa i segregacji rasowej. Podczas konwencji konstytucyjnej z 1787 r. ustalono bowiem, że do całkowitej populacji danego stanu będzie się włączać również niewolników – ale jedynie trzech z każdych pięciu. Dlatego zasadę tę nazwano potem „kompromisem 3/5". Zyskiwały na niej przede wszystkim stany południowe, w których niewolników było najwięcej. I to one najzacieklej broniły potem istnienia Kolegium Elektorów, mimo że z czasem instytucja ta stawała się raczej symbolem dyskryminacji niż przestrzegania praw obywatelskich.

Ma to zresztą odzwierciedlenie w kongresowych statystykach. W ciągu ponad 200 lat istnienia Stanów Zjednoczonych na Kapitol wpłynęło ponad 700 projektów reform lub całkowitej eliminacji Kolegium. Według amerykańskich archiwów państwowych żadna kwestia ustrojowa nie była częściej podnoszona na forum Kongresu. W świetle ostatnich zmian na scenie politycznej i stopniowego odejścia od dwupartyjności bezpośredniego wyboru prezydenta, bez elektorskich pośredników, chce też coraz więcej Amerykanów. Według sondażu Instytutu Gallupa z września tego roku wyeliminowania Kolegium z ram ustrojowych USA chce aż 61% obywateli.

Co ciekawe i ważne jednocześnie, odpowiedź na pytanie o przyszłość elektorów różni się diametralnie w zależności od preferencji partyjnych. W pełni powszechne, bezpośrednie wybory popiera aż 89% demokratów i tylko 23% republikanów. Nie da się tego wytłumaczyć jedynie porażką Hillary Clinton cztery lata temu. To przede wszystkim zwiastun od dawna wyczekiwanej przez amerykańskich progresywistów tzw. niebieskiej większości. Trendy demograficzne w USA już niedługo, bo w 2050 r., stworzą „kraj większościowych mniejszości", czyli ludzie identyfikujący się jako przedstawiciele mniejszych grup etnicznych razem będą stanowić ponad połowę uprawnionych do głosowania. Grupy do tej pory dyskryminowane zaczynają się domagać swoich praw, nawet kosztem nowej poprawki do konstytucji.

Elektorzy zbierają się w tym roku w swoich stanach 14 grudnia i najpewniej potwierdzą wybór Joego Bidena na prezydenta. Rzadko się zdarza, by głosowali inaczej, niż wynika z ich mandatu. Do 23 grudnia ich głosy muszą trafić do Waszyngtonu, by ostatecznie potwierdzić wynik wyborów. Wyborów, które, choć coraz mniej demokratyczne, są kwintesencją amerykańskiego federalizmu – dalekiej od perfekcji unii, która wciąż utrzymuje przywileje grup naprawdę tego niepotrzebujących.

m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

FOT. AP/EAST NEWS

eprasa.pl c0b3b09a9c

Łagodny jastrząb

Skromny wizerunek nowego szefa dyplomacji ukrywa twardego gracza, który chce silniejszej Ameryki

Jakub Dymek

Antony Blinken, odbierając z rąk prezydenta elekta nominację na stanowisko sekretarza stanu, przyszłego szefa amerykańskiej dyplomacji, wygłosił jedynie krótkie przemówienie. Zresztą cała ceremonia miała dość pośpieszny charakter – prezydent elekt Joe Biden i jego zastępczyni Kamala Harris postanowili zaprezentować mediom swoją ekipę do spraw międzynarodowych podczas zaledwie półgodzinnej konferencji prasowej. Ze względu na reżim sanitarny, którego ekipa Bidena przestrzega z przesadną wręcz starannością, nie było serdecznych uścisków ani gratulacji, a przemówienia oddzielały od siebie przerwy na dezynfekcję pulpitu i mikrofonu. Słowem, było oszczędnie.

Blinken w zaledwie cztery minuty opowiedział historię rodziny, przedstawił swoje dyplomatyczne kredo i zasygnalizował priorytety. Bardzo zwięźle jak na kogoś, kto prawie całe zawodowe życie spędził jako doradca i ekspert od polityki zagranicznej. Od kaskady pomysłów i obietnic przyszły szef Departamentu Stanu woli przemycanie w wystąpieniach kluczowych haseł: współpraca, przywództwo, dyplomacja. Słuchając jego wywiadów, ma się wrażenie, że oszczędnie gospodaruje słowami – jak gdyby w każdej sytuacji uważał czas swój i rozmówcy za ograniczony. To, jak na przegadany świat stosunków międzynarodowych, nieczęste.

Co ciekawe, także komentatorzy czy znajomi Blinkena uważają, że jego styl myślenia i poglądy można podsumować krótko, bez konieczności wygłaszania wielkich wykładów. A słowo, którego używają, by opisać podejście Blinkena do spraw zagranicznych i roli Ameryki, to „interwencjonistyczne". Bo nowy szef dyplomacji w Waszyngtonie rzeczywiście – w największym skrócie – uważa, że światu potrzeba więcej Ameryki, a Ameryce świata.

Ostatnia nadzieja

Rodzinna legenda Antony'ego Blinkena zaczyna się w naszej, wschodniej części Europy. Dziadek amerykańskiego dyplomaty, Maurice, pochodził z Kijowa, skąd – jak mówi Antony – uciekł przed pogromami jako młody chłopak na początku ubiegłego stulecia. W Ameryce był aktywnym członkiem żydowskiej diaspory, filantropem i – na co zwracał uwagę jego nekrolog – jednym z wczesnych zwolenników państwa Izrael. Ojczymem Blinkena był zaś Samuel Pisar, polsko-żydowski prawnik, pisarz i działacz, więzień wielu obozów na terenach okupowanej Polski i nazistowskich Niemiec.

Obserwatorzy mówią, że w wielu sprawach Antony Blinken może być *alter ego* Joego Bidena.

Przyszły szef Departamentu Stanu uważa, że światu potrzeba więcej Ameryki, a Ameryce świata.

„Był jedynym dzieckiem ze szkoły liczącej 900 uczniów, które przeżyło Zagładę po czterech latach obozów koncentracyjnych – wspominał go w swoim wystąpieniu Blinken. – Ojczym pod koniec wojny uciekł ze swojej kryjówki za niemiecką granicą, gdzieś w bawarskich lasach, gdy usłyszał głęboki, głośny warkot. To był czołg. Ale nie było na nim żelaznego krzyża – na burcie widniała pięcioramienna biała gwiazda. Z włazu wyjrzała twarz Afroamerykanina w mundurze. Chłopiec padł na kolana i wypowiedział jedyne trzy słowa, jakie znał w języku angielskim, których przed wojną nauczyła go matka: *God Bless America* – Boże, błogosław Amerykę!". Pisar, wtedy nastolatek, został po wojnie odnaleziony przez krewnych z Australii, skąd później trafił do USA i Francji. Tam zrobił wielką karierę jako prawnik gwiazd i doradca polityków. Przyjaźnił się z prezydentami i USA, i Francji. Został wyróżniony orderami przez każdą ze swoich trzech ojczyzn, w tym Polskę.

Historia Pisara jest rzeczywiście filmowa, ale nie tylko z tego względu trafiła do przemówienia Blinkena. „Pochodzę w prostej linii od pokoleń ludzi, dla których Ameryka była dosłownie ostatnią nadzieją na świecie", powiedział o sobie przyszły sekretarz stanu. Dziennikarze piszą, że Blinken z domu – czyli z historii rodziny – wyniósł przekonanie o amerykańskiej misji. „Ta historia przekonała go, że Ameryka ma wyjątkową

eprasa.pl c0b3b09a9c

rolę w świecie, zadanie obrony wolności i praw człowieka; że jest państwem, które musi czasem podjąć interwencję, by bronić praw innych. I to widać, od kiedy rozpoczął karierę w dyplomacji", mówił o nim David E. Sanger, czołowy autor „New York Timesa" zajmujący się obronnością i polityką zagraniczną.

Jak w przypadku takich legend bywa, nie wiadomo, ile w tym kreacji. Na pewno fakt, że rodzinna historia Blinkena wpisuje się w tyle amerykańskich mitów, nie szkodzi. Ale to prawda – Pisar sam mówił o tym w wywiadach – że właśnie młody Antony skłonił go do spisania wspomnień, pytając o Holokaust, wojnę i uchodźstwo. Te rozmowy nie mogły się nie odcisnąć na przyszłym dyplomacie i jego poglądach. A i wiara w konieczność większego zaangażowania Stanów Zjednoczonych na globalnej scenie nie jest chyba u niego wyłącznie na pokaz.

Ulubiony człowiek szefa

32-letni Antony Blinken w 1994 r. znalazł zatrudnienie w Radzie Bezpieczeństwa Narodowego prezydenta Billa Clintona. Po studiach na Harvardzie praktykował przez kilka lat prawo, ale z tyloma dyplomatami w rodzinie (ojciec i wuj służyli w amerykańskich placówkach w Europie, matka zaś zajmowała się dialogiem międzykulturowym) musiał skończyć w administracji państwowej. Dopóki Clinton był prezydentem, Blinken zajmował pozycje doradcze. Do zespołu Joego Bidena trafił w 2002 r., poprzez stanowisko w senackiej Komisji Spraw Zagranicznych, której dzisiejszy prezydent był długoletnim przewodniczącym. Wielu mówi, że przez te lata, kiedy pracowali razem, stali się jednomyślni, a w niejednej sprawie Blinken może być *alter ego* prezydenta.

Wtedy połączyło ich wsparcie dla wojny z Irakiem, na którą prezydentowi Bushowi pozwolił Kongres, a ważną rolę odegrał w tym Biden. Blinken zaś pomógł przygotować szefowi Komisji Spraw Zagranicznych tragiczne w skutkach stanowisko. Bardziej lewicowo i antywojennie nastawionym komentatorom w Ameryce nie umknęło oczywiście, że prezydent i jego prawa ręka poznali się dzięki jednej z najgorszych decyzji w najnowszej historii Partii Demokratycznej. I że obaj byli wtedy (a także kilkakrotnie później) po stronie „jastrzębi". Dziś więc jest im to obu wypominane, ale antywojenna lewica nie ma już tak wielkiego przełożenia na partię. A na pewno nie takie, jak wówczas, gdy Biden po raz pierwszy wygrywał wybory prezydenckie u boku Baracka Obamy w 2008 r. Dowodzi tego głuche milczenie, z jakim spotyka się ten zarzut w głównym nurcie debaty.

Razem z Bidenem do administracji Obamy trafił Blinken. W tej roli pojawia się na legendarnej fotografii z nocy obławy na Bin Ladena – Obama, Hillary Clinton, Joe Biden i grono doradców, w tym Blinken, obserwują na monitorach akcję amerykańskich komandosów. Blinken, po tym jak kilka lat kierował polityką zagraniczną wiceprezydenta, w kolejnej kadencji awansował w Radzie Bezpieczeństwa Narodowego. Został jednym z czołowych architektów polityki USA wobec Bliskiego Wschodu i Afryki Północnej po tzw. arabskiej wiośnie i oddelegowano go do przedstawienia jej na zewnątrz. Biden żartował wtedy w wywiadzie, że Obama połapał się po czterech latach, jak dobry jest jego doradca, i go ukradł. Jednak bilans tej historii jest mniej wesoły: chaotyczna polityka wobec Syrii i Libii w ostatnich latach prezydentury Obamy dużo kosztowała Amerykę i świat. Nikt raczej nie uważa tamtych lat za powód do chluby Waszyngtonu. Blinken doradzał wtedy ostrzejszy kurs i większą obecność militarną USA, ale publicznie i tak występował jako lojalny obrońca każdej decyzji swoich szefów.

W nagrodę po raz kolejny awansował i kadencję Obamy dokończył jako osoba numer dwa w Departamencie Stanu. Zajmował się najważniejszymi wyzwaniami: umową jądrową z Iranem i strategią walki z tzw. Państwem Islamskim.

Manifest siły

Cóż więc znaczy interwencjonizm Blinkena w teorii i w praktyce? Jako doradca częściej opowiadał się za zbrojnym zaangażowaniem USA w odległych zakątkach globu – popierał inwazję na Irak, chciał obalenia Kaddafiego, większego zaangażowania w Syrii, uzbrojenia Ukrainy przeciwko Rosji. W tym sensie był bardziej konsekwentny nawet od swoich szefów, którym zdarzało się kluczyć czy niuansować stanowisko. Blinken zaś jest naznaczony traumą demokratów jeszcze z połowy lat 90., gdy świat nie zapobiegł masakrze w Rwandzie. W przeciwieństwie do Bidena i Obamy Antony Blinken jako młody doradca był akurat wtedy blisko prezydenta Clintona, który podjął brzemienną w skutki decyzję.

Przekonanie, że USA powinny używać dyplomacji i siły militarnej, towarzyszy mu więc od lat. I jest stałym elementem jego światopoglądu. W zeszłym roku, na krótko zanim dołączył do kampanii Bidena jako jej czołowy ekspert ds. polityki zagranicznej, opublikował w „Washington Post" swój manifest programowy. W tekście, którego współautorem był Robert Kagan, już w pierwszym punkcie przekonuje, że Ameryka powinna używać siły. Autorzy wymieniają dobre i ich zdaniem skuteczne interwencje – pierwszą wojnę z Irakiem, bombardowanie Belgradu, inwazję w Panamie. Gdy zaś piszą o błędach, wspominają o Iraku i Afganistanie po 2001 r., ale wyłącznie w kontekście tego, jak oba konflikty „osłabiły poparcie dla pokazywania amerykańskiej siły". Gdy mowa o ofiarach, pojawiają się zaś ofiary braku dość zdecydowanych działań w Syrii (na które nalegał Blinken) – setki tysięcy zabitych i rannych, miliony uchodźców. To nawet przy dość przychylnej lekturze „jastrzębi" tekst. Autorzy zaś, nawet gdy piszą, że użycie siły powinno być oszczędne i usprawiedliwione, mają na myśli opinie wyborców, a nie wspólnoty międzynarodowej.

Cały tekst jest apelem o większe zaangażowanie i powrót USA do roli globalnego lidera. „Dowiedzieliśmy się już, że świat nie rządzi się sam. Jeśli Stany Zjednoczone zrezygnują ze swojej wiodącej roli w kształtowaniu międzynarodowych reguł

Jako doradca Blinken częściej opowiadał się za zbrojnym zaangażowaniem USA w odległych zakątkach globu.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl c0b3b09a9c

i instytucji – i mobilizowania innych do ich obrony – stanie się jedna z dwóch rzeczy. Jakaś inna siła lub siły wkroczą i popchną świat w kierunku korzystnym dla ich własnych interesów i wartości, nie naszych. Lub, co jeszcze bardziej prawdopodobne, świat osunie się w chaos i konflikt, pochłonie nas dżungla, jak w latach 30. XX w.", głosili Blinken i Kagan.

Ocena świata przez nowego szefa amerykańskiej dyplomacji jest w ostatnich latach w ogóle pesymistyczna. Pisze o poważnym kryzysie demokracji, do którego jego zdaniem przyczyniły się przede wszystkim prezydentura Trumpa i osłabienie roli USA. Rzeczywistość jest dziś ponura, pełna zagrożeń i walki o dominację, a czas ucieka. Miły i łagodny wizerunek – niewinnie wyglądający Blinken gra na gitarze i w piłkę – skrywa człowieka o poważnym, pesymistycznym czy wręcz przesiąkniętym defetyzmem spojrzeniu na globalną politykę. I przekonanego do konieczności posługiwania się siłą.

Powrót do przeszłości?

Antony Blinken, nowa administracja i jej zwolennicy określają się głównie przez kontrast z kadencją Trumpa. W ich opowieści ostatnie lata były czasem zupełnego wycofania się Ameryki ze świata, ośmielenia jej wrogów i powszechnej utraty zaufania do Waszyngtonu. Pisząc o Blinkenie, „New York Times" pyta wręcz, „jaki rodzaj polityki zagranicznej jest możliwy po czterech latach izolacjonizmu?". Odpowiedzi, jakie płyną ze strony demokratów, są jednoznaczne: więcej współpracy, ściślejsze sojusze, surowa postawa wobec wrogów. Administracja Bidena obiecuje zaś kilka konkretów, w pierwszym rzędzie powrót do wielostronnych umów i instytucji: porozumienia paryskiego o redukcji emisji gazów cieplarnianych i układu z Iranem. Nowa ekipa będzie też chciała zmienić decyzję Trumpa o wycofaniu się Stanów Zjednoczonych ze Światowej Organizacji Zdrowia.

Blinken podkreśla często pojęcie multilateralizmu, czyli konieczność wielostronnych negocjacji i porozumień oraz potrzebę występowania USA w większych koalicjach. Czy chodzi o sprawy handlowe, czy militarne, Stany powinny korzystać z już istniejących struktur, nie działać ponad głowami dotychczasowych sojuszników, a tam, gdzie to tylko możliwe, projektować nowe umowy i instytucje międzynarodowe. I to jest akurat najmniej kontrowersyjny element tej ideologii. Można się spierać oczywiście, czy wielkie umowy handlowe i dotychczasowy model globalizacji się sprawdziły, ale multilateralizm jako podejście nie spotyka się w świecie Zachodu w większym oporem.

Problem jest inny – z diagnozą ostatnich lat i projekcją swoich oczekiwań na innych. Dziś demokratyczny establishment do znudzenia powtarza, że Ameryka po 2016 r. stała się państwem izolacjonistycznym. I zachowuje się tak, jak gdyby można było cofnąć się w czasie i wrócić do stanu rzeczy sprzed Trumpa. To jednak podwójny fałsz. Ani w ostatnich latach Ameryka nie zamknęła się na świat – nawet jeśli w kilku kwestiach zmieniła podejście – ani nie ma tak powszechnej chęci powrotu do tego, co było. Na pewno, co oczywiste, nie chcą tego Chiny i Rosja. Ale też na świecie, także w krajach sojuszniczych wobec USA, doszły do głosu siły, które chłodno patrzą na waszyngtoński konsensus i renacjonalizacja polityki wcale im tak bardzo nie przeszkadza. Nawet przyjaciele USA widzą problemy jednowymiarowej globalizacji, podobnie jak zauważają rosnącą potęgę Chin i absolutne fiasko demokratów w zmierzeniu się z azjatyckim smokiem. W ostatnich latach Wielka Brytania wyszła z Unii, a prezydent Francji orzekł „śmierć kliniczną" Sojuszu Północnoatlantyckiego, także Turcja i Izrael mniej się oglądają na obowiązujące wcześniej w relacjach ze Stanami zasady.

Słowem, świat na pewno chce korekty polityki Trumpa, ale niekoniecznie domaga się powtórki z lat 90. Demokraci i ich sojusznicy w mediach roztaczają zaś wizję, w której światowi liderzy wręcz błagają Bidena, aby z powrotem przejął stery globalnej polityki. Blinken ma więc rację, gdy zauważa, jak świat się zmienił i jak mało jest dziś optymizmu w kwestii demokracji, globalizacji i międzynarodowych, liberalnych instytucji. Nie ma jednak żadnej gwarancji, że jego odpowiedź – więcej Ameryki! – jest tą, której świat naprawdę wyczekuje.

Jakub Dymek

j.dymek@tygodnikprzeglad.pl
dymek.substack.com

Świat na pewno chce korekty polityki Trumpa, ale niekoniecznie domaga się powtórki z lat 90.

eprasa.pl c0b3b09a9c

Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Bełkot Belzebuba

Zadałem sobie trud obejrzenia w całości niesławnego przemówienia Tadeusza R., pseudonim „Ojciec Dyrektor", przestępcy i przedsiębiorcy, szefa gangu toruńskiego, powszechnie mylnie określanego mianem duszpasterza. Albowiem zaprawdę, zaprawdę powiadam wam, jestem człowiekiem małej wiary, przeto nie mogłem uwierzyć, że j u ż m o ż n a w Polsce publicznie nawoływać do obrony pedofilów oraz nakłaniać do uciszania świadków i ofiar przemocy. Ba, że czynić to wolno bezkarnie w obecności dwugłowego smoka Temidy kaczystowskiej, ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego w jednej osobie. Nałożyłem słuchawki i odpaliłem retransmisję, po czym rychło zostałem przymuszony przez Żonę do opuszczenia pokoju za nadużywanie wyrazów uznawanych za obraźliwe.

Emanacja zła nie jest w oracji Rydzyka natychmiastowa, zaczyna się dość niewinnie, jako spontaniczny, niezborny wywód pełen urywanych zdań, poszatkowanych wątków równoległych, bez mała Wałęsowska schizofazja (kiedy mój znajomy Beno Lazar zrobił przed 20 laty wywiad z Wałęsą i puścił go w „Przekroju" jako surówkę, bez redakcji, zrozumiałem wreszcie frazeologizm „pieprzyć jak potłuczony"). Rydzyk prezentuje ten rodzaj intelektualnego niechlujstwa bezwstydnie, bo wie, że jak by nie bredził, i tak dostanie brawa, to jest samozadowolenie przywódcy sekty, którego słów się nie słucha – spija się je jako substancję sakralną. Znienacka jednak logorea zaczęła zyskiwać na zborności, im bliżej tematu „ataków na Kościół", tym bardziej – na nieszczęście – Rydzyk zaczął mówić zrozumiale, ględźba wydmuszka nagle zmieniła się w twardy i jasny przekaz. On już tak ma, że przed finiszem zbiera myśli, bo każdą swoją homilię musi zakończyć czytelnym wezwaniem do wpłat i dotacji, tak żeby każda jego ofiara uznała, że dotąd wysupłała na Radio Maryja dopiero przedostatni wdowi grosz, ostatni jeszcze się gdzieś znajdzie.

A zatem w pewnym momencie kazanie „Ojca Dyrektora" przyjęło postać czegoś, co nawet wierny prawicowy komentariat na radykalnie prorządowym portalu skwitował celniej, niż sam bym potrafił, jako bełkot Belzebuba. „To nie są żadne dokumenty, to są filmidła, pomówienia", „Ksiądz jest niewinny, póki mu nie udowodnią", „Księża, nie dajmy się", „Nie bądźmy słabi, bądźmy dębami", „Jak ktoś wygaduje na Kościół, trzeba go uciszyć", „Ksiądz zgrzeszył, to zgrzeszył, któż nie ulega pokusie…" – tak, on to wszystko powiedział naprawdę. A nawet wplótł taką igraszkę, patrząc w oczy Ziobry i czyniąc złowrogiego ministra zalęknionym ministrantem: „Przecież gdybym był czemuś winny, to pan minister Ziobro powinien mnie zamknąć, powinienem siedzieć". Tu kamera pokazuje zamaskowaną buzię ministra, możemy spojrzeć w jego roześmiane oczy, zobaczyć, jak jego rzęsy trzepoczą w zachwycie, jak się wdzięczy, ha, ha, z ojcem dyrektorem to i pożartować można. A zaraz potem podziękowania i owacje, i modlitwa, a raczej mdlitwa, bo aż mnie mdli, zwłaszcza kiedy widzę zieloną uśmiechniętą buźkę w górnym rogu ekranu, która informuje, że ta twarda pornografia duchowa to program bez ograniczeń wiekowych. I zastanawiam się, do jakiej ściany musi dojść człowiek wierzący w PiS, żeby zobaczyć skalę niemoralności i hipokryzji tej partii składającej hołdy toruńskiemu nikczemnikowi. Bo że wierzący w Boga tego spektaklu znieść nie mogą, jestem przekonany – wiara w Boga nie idzie w parze z wiarą w sektę toruńskiego redemptorysty, to od lat z dala cuchnie schizmą i ku niej zmierza.

Rydzyk z Kaczyńskim chcieliby wyprowadzić Polskę z Unii, ale są na autostradzie do wyprowadzenia Kościoła z Polski.

Przypomniał mi się dzień, w którym odszedłem z Kościoła (a tak, przez mniej więcej rok swojego dorosłego życia grzeszyłem naiwnością jako praktykujący katolik – człowiek zgrzeszył, to zgrzeszył, kto nie ma pokus bycia naiwnym…). Lat temu 20, pomieszkując w Krakowie z ciężarną małżonką, uprawiałem churching, publikowałem recenzje filmowe w „Tygodniku Powszechnym" i wierzyłem w myśl ekumeniczną spod znaku dominikanina Kłoczowskiego. Ale pojechało mi się do Torunia na festiwal filmowy; poszedłem na mszę i byłem świadkiem, jak ksiądz (to mógł być Rydzyk, a może tylko ktoś zaczadzony bliskością jego szatańskich miazmatów) tak się wyprztykał w zajadle ksenofobicznej, radiomaryjnej z ducha homilii, że podczas przeistoczenia w rozkojarzeniu dwukrotnie wzniósł kielich wina zamiast hostii. *Sacrum* stało się *profanum*, a wierni w owczym milczeniu podreptali po opłatek, niczego nie pojmując, syci jadem kazania. Tego obrazka mój mózg już unieść nie zdołał; nagle poczułem się jak „suchy" alkoholik, który po raz pierwszy na trzeźwo spotkał się ze swoim towarzystwem po kielichu i zobaczył skalę jego zbydlęcenia.

Rydzyk wespół z Kaczyńskim chcieliby wyprowadzić Polskę z Unii, ale są na autostradzie do wyprowadzenia Kościoła z Polski.

w.kuczok@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl c0b3b09a9c

Wiesław Kot

Cisi i gęgacze

Popkultura w dobie pandemii i protestów, czyli z czego się śmialiśmy w mijającym sezonie

Kiedy spotyka się trzech Polaków, jeden głosuje na PiS, drugiemu wszystko zwisa i nie głosuje wcale, a dopiero ten trzeci ewentualnie poparłby którąś formację opozycyjną. I tak od pięciu lat. Taki podział ustawił nam również obieg popkultury w mijającym właśnie sezonie.

Efekt jest paradoksalny. Strona – biorąc umownie – liberalno-lewicowa produkuje tysiące żartów, memów, karykatur, zabawnych haseł wypisywanych na kartonach, tworzy happeningi, spektakle, układa piosenki. Często trafiają one w punkt – bywają ostre, złośliwe, dowcipne, aluzyjne, metaforyczne. Strona – nazwijmy ją – konserwatywna: nic. Milczy. Ale przy okazji kolejnych wyborów grzecznie truchta do urny i głosuje na swoich. I wygrywa wszystkie głosowania jak leci.

Efekt jak z teatru absurdu. Ulicami miast i miasteczek przeciągają demonstracje z hasłami, po których ze Zjednoczonej Prawicy już dawno powinna zostać miazga. A tu kicha! Dlaczego? Bo protest jest skierowany do władzy w Warszawie. I władza ma go w poważaniu. Wedle formuły: niech krzyczą; pokrzyczą, pokrzyczą i przestaną. Od memów, tweetów i piosenek rząd nie upadnie. Władza pamięta też o tym, o czym beztrosko zapomina uliczna opozycja. Że władza to nie jest jeden prezes Kaczyński – to Kaczyński razy 15 mln Polaków. Bo co najmniej w tylu milionach rodaków prezes się powiela. Oni uprawiają swoją domową politykę jak prezes, mają takie poczucie humoru jak on, ubierają się jak on i mają podobnych kumpli. I w towarzystwie tego dużego prezesa i tych małych ze swojej ulicy po prostu dobrze się czują. Rozumieją, co mówią do nich z wysoka prezes Kaczyński, prezydent i premier, bo ci wyrażają się jasno jak w komunikacie dworcowym. I z reguły na koniec zapowiadają kolejne plusy.

To, co ewentualnie miałyby im do przekazania te wszystkie Jandy, Hollandy, Tokarczuki, Hołdysy, Gajosy czy Stuhry, brzmi jak przesłanie z innej planety. Dziwaczne, niezrozumiałe, histeryczne i doskonale zbędne. Co mają im do powiedzenia nasi uliczni demonstranci? Ano też nic. Przecież nie oflagują się w proteście przeciwko własnej cioci, dziadkowi emerytowi, kołu gospodyń wiejskich czy kółku różańcowemu z Pajęczyna Dolnego. Choć to własna ciocia i katecheta (razy milion) sprawują realną władzę w kraju. Protestujący ułożą memy i zamalują kartony przeciw Kaczyńskiemu, który jest jakąś odległą figurą, majaczącą na horyzoncie.

I tak rozwija się nasz narodowy dyskurs. Mówiąc w uproszczeniu, ciocia wymienia się z katechetą paskami z „Wiadomości", a twórcy brylantowych memów z sieci popisują się przed autorami fajerwerkowych haseł z demonstracji ulicznych. Każdy bawi się we własnym kółku. „Jak miska odjedzie od pyska, to naród świadomość odzyska", pocieszają się autorzy hasełek. Ale ten odjazd może potrwać jeszcze długo.

Swój do swego i po swoje

W każdym razie hasła z protestów hasają po popkulturze wzdłuż, wszerz i w poprzek. Bystrzy, wykształceni i oczytani mówią do innych oczytanych. Telewizja: „Bosak ogląda porno do końca, bo myśli, że będzie ślub", „Jaki kraj, taki Voldemort" (złowrogi czarnoksiężnik z „Harry'ego Pottera"); piosenka: „Jesteście gorsi niż piosenki Dżemu", „No Woman, No Kraj", „Jesteście gorsi od polskiego reggae", „PiS gra techno na flecie"; gastronomia: „Jesteście gorsi niż hawajska" (pizza), „Zrobimy wam większą rewolucję niż Magda Gessler", „Nawet rodzynki w serniku są lepsze niż rządy PiS"; kosmopolityczne: „*Duck off!*", „PiS *don't break my heart*", „*I wish I could abort my government*".

Odpowiedź drugiej strony na ten zalew inwencji jest żadna albo ledwo zauważalna. Może podpadają pod nią finansowane przez amerykańską Polonię i rozstawione przy drogach bilbordy z napisem: „Jezus Chrystus królem Polski" ze Zbawcą w kapie prawie tak wystawnej jak ta, w której

eprasa.pl c0b3b09a9c

pokazuje się abp Jędraszewski. I z podwójną koroną. Mało to przystaje do wizerunku z Ewangelii, ale u nas nigdy nikomu to nie przeszkadzało.

Tymczasem kabarety wycofały się na z góry upatrzone pozycje. W dobrze rozumianym interesie własnym. Na lokalną letnią fiestę, na dożynki czy do domu kultury (pomijając warunki pandemii) nikt nie zaprosi zespołu, który pokaże scenki z obrad rządu. Takie, w jakich Robert Górski z kolegami parodiował gabinet Tuska. Choć przecież materiału do skeczy jest tyle, że trudno byłoby nadążyć. Bo rzecz skończyłaby się awanturą z widownią, a po niej interwencją poselską, dymisjami w pionie samorządowym, obcinaniem funduszy, a dla artystów szlabanem na dalsze występy. Kabareciarze więc zarabiają, produkując żarty z serii „noga i jej okolice". I tak służba zdrowia, owszem, ma problemy, ale dlatego, że pan młody zakleszczył się w trakcie wesela w pannie młodej (tzw. *penis captivus*), a potem okaże się, że to nie pan młody, lecz jego tata, i już jest wesoło. Rodzice lecą odwiedzić syna w Anglii (żeby zdążyć przed brexitem) i wyzywają angielskiego stewarda, że jego rodacy nie przyszli nam z pomocą w 1939 r. A gdyby nie nasze bohaterskie dywizjony, to on by teraz latał, ale Lufthansą. Jak z kolei w pociągu częstują nas kawą, to jej kolor wynika z faktu, że woda pochodzi tu „z zamkniętego obiegu". Publisia rechocze, w przerwach do łupaniny disco polo gibają się panienki z tipsami na 10 cm, całe w cekinach i w legginsach. Wszyscy zadowoleni, rzędy falują.

Czy jednak tematy polityczne zdmuchnęło ze sceny kabaretowej całkiem? Ależ nie, trzeba ich tylko szukać pod lupą. Ot, rodzina w trakcie wieczerzy wigilijnej. Ktoś rzuca propozycję, by z racji świątecznej atmosfery nie poruszać tematów z życia publicznego, które mogłyby prowadzić do kłótni. Za stołem zapada grobowa cisza. Chyba że ktoś nie wytrzyma i krzyknie w stronę wujka o sympatiach lewicowych: „Idzie PiS!". Wujek dostanie palpitacji i wszyscy mają chwilę wesołości. Do odważniejszych haseł politycznych należy: „Pochodzę z Rzeszowa, ale jestem normalny". Albo rzucone pod adresem ubogich krewnych: „A oto nasze gwiazdy pośredniaków i królowe zasiłków". Aktem odwagi jest też pokazanie małżeństwa tzw. zwykłych Polaków pod postacią ograniczonej i pyskatej baby oraz jej męża w wysokiej ciąży gastronomicznej, wąsatego i ciągle między trzecim i czwartym piwem (Kabaret Nowaki w Polsacie). Ona nie jest w stanie zrozumieć, jak rodzice mogą nadać synkowi imię Kewin, choć przyznaje, że zdarzają się imiona jeszcze gorsze, np. Andrzej. Co z tego, że imię staropolskie, skoro obrosło niepochlebnymi porzekadłami ludowymi, np. „Andrzej, Andrzej, ty dupo!".

Strona liberalno-lewicowa produkuje tysiące żartów, memów, karykatur, haseł. Strona konserwatywna – nic. Milczy.

Kawały po recyklingu

Skoro polityki unikają kabarety, to może więcej jej się znajdzie w ulicznym dowcipie? Takim, który można usłyszeć od biurowego kolegi, fryzjera czy taksówkarza? Cóż, bez porównania mniej tego niż za czasów komuny. Choć spora ich część to żarty, które liczą sobie ponad pół wieku i są przeróbką kawałów o Gomułce. Jak ten o pośle Suskim, którego spytano, co leży bliżej Warszawy: Słońce czy Radom. Odpowiedział, że oczywiście Słońce, bo przecież Radomia z Warszawy nie widać. Władze mają również planować nową odsłonę akcji „Wisła" – teraz ma ona polegać na trzymaniu się koryta.

Z czasów Gomułki do naszych przeniesiona została pomnikomania. W miasteczku mieli postawić pomnik Szopena. Po odsłonięciu widzom ukazał się prezes Kaczyński w fotelu. Niżej tabliczka: „Prezes Kaczyński słucha muzyki Szopena".

I – jak za poprzedniego ustroju – wmontowuje się rządzących w instalacje religijne. Pani nauczycielka oprowadza po stolicy wycieczkę z prowincji. – Ooo, a co to za tablice? – pyta mały Jaś. – To 14 stacji przedstawiających mękę Lecha Kaczyńskiego, jaką przeszedł w czasie swojego życia. Przykładowo: stacja siódma – Lech Kaczyński kłóci się z Donaldem Tuskiem o krzesło w Brukseli po raz drugi. A spójrzcie tu: Lech Kaczyński przez Niemców kartoflem nazwany!

Dowcipów oryginalnych ze świecą szukać. Po aferze z Marianem Banasiem i jego prezesurą w NIK w sferach rządowych przebojem stała się piosenka „NIK nie może przecież wiecznie trwać". TVN podała, że Beata Szydło przegrała głosowanie w PE z kretesem. W rządzie trwają poszukiwania tego Kretesa i ustalanie jego związków z Tuskiem.

Kowidioci, foliarze, rzepiary

Więcej dzieje się na terenie dawnej gimbazy. Nowe zjawiska domagają się

FOT. ANONIMOWY INTERNAUTA, MEMY.PL (2)

eprasa.pl c0b3b09a9c

Krzysztof Opolski, Krzysztof Turowski
Historia ludzkiej chciwości
Arkady, Warszawa 2020

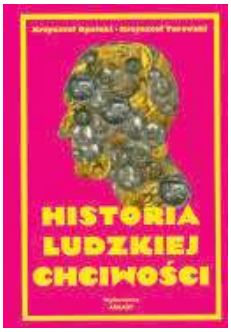

W tej wyjątkowej książce znajdujemy opis wielu wydarzeń historycznych i powiązanych z nimi aspektów ekonomicznych, nieznanych faktów, pełną erudycji wymianę zdań, dużo anegdot – pisze prof. Antoni Magdoń z Uniwersytetu Rzeszowskiego. I dodaje: – Nie ma w niej naukowych zawiłości, chociaż występuje wyraźne odwołanie do licznych teorii naukowych.

Marta Bulik, Feliks Walichnowski
Chichoty
Wydawnictwo Darczyńcy, Olsztyn-Łowicz 2020

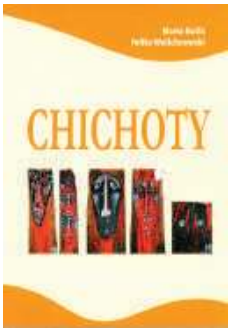

Śmiać się czy płakać? Wspominając dawne czasy i oglądając dzisiejsze wydarzenia w Polsce, można robić jedno i drugie. Te felietony z pewnością nie spodobają się ponurakom, malkontentom, cwaniakom i karierowiczom politycznym. Ich autorzy są członkami Artystycznej Rezerwy twórczej przy Uniwersytecie Warmińsko-Mazurskim.

Pieniądze i zrównoważony rozwój: brakujące ogniwo
Raport Klubu Rzymskiego – sekcja UE
Polska Akademia Nauk, Lublin 2016

Klub Rzymski to dziś znany ośrodek opiniotwórczy, a jego pierwszy raport ukazał się w 1972 r. W kolejnych raportach reagowano na nowe wyzwania i zagrożenia, a tych szczególnie dużo przyniosło zjawisko globalizacji. Prezentowany raport, który dotyczy finansów i zrównoważonego rozwoju, wciąż może wiele wnieść do społecznej debaty o polityce Unii Europejskiej.

nowego nazewnictwa. Prawie 100 tys. nowych określeń – przeszło dwa razy więcej niż przed rokiem – kandydowało w plebiscycie PWN na Młodzieżowe Słowo Roku. Koronaferie, koronaparty, koronaselfie i podobne wysuwają się na czoło. Tuż obok biegną: kowidiota, szur i foliarz na oznaczenie wyznawców teorii spiskowych. Do foliarza nie trafiają żadne argumenty, gdyż w ramach protestów przeciw technologii 5G szczelnie owinął sobie głowę folią aluminiową.

Z kolei Julka (z Twittera) to córka Janusza i Grażyny, która podpina się pod modne protesty i uwielbia robić wokół siebie szum w mediach społecznościowych. Kiedy Julka robi sobie *selfie* na tle pola rzepaku, nie zważając, iż stanęła na drodze rolniczego kombajnu, zyskuje miano rzepiary. Do Julki przylega też ogólne określenie kasztan, które wypiera zeszłorocznego dzbana. To po prostu krindżówa, czyli chodząca żenada. Ktoś starszy o pokolenie czy dwa od kasztana to dziaders, czyli beton, który totalnie nie rozkminia nowych czasów. Z maniackim uporem próbuje wciskać najnowsze zjawiska i poglądy w formuły sprzed pół wieku. Dyskutowanie z dziadersem (zbowidowcem) nie ma sensu, dlatego w tym sezonie należy rozmowę z nim uciąć stanowczym: *OK, boomer*! (spieprzaj, dziadu!).

Spore przetasowania popkultura notowała w kwestiach okołokościelnych. Choć tu przemiany będą zachodzić znacznie wolniej niż na rynku polityki. Ciągle bowiem obowiązuje mantra: „My, tak jak nasi ojcowie, od tysiąca lat...". Nasz katolicyzm jest nawykowy, ale to nawyk bardzo silnie ugruntowany. Na razie w gronie wiernych młodszych bankrutuje kościelna mowa-trawa. Te wszystkie „stań w prawdzie", „wypłyń na głębię", „płciowość ubogaca" uchodzą za ściemę i parawan dla ciemnych machinacji. Procedery najbardziej odrażające, bo związane z krzywdą dzieci, internauci próbują oswoić poprzez dowcip.

Ulubiony wers biblijny kard. Gulbinowicza? „Pozwólcie dzieciom przychodzić do mnie". Dziwisz wiedział pierwszy. Jan Paweł drugi. Strona kościelna – kompletnie nieprzygotowana do dyskusji – ratuje się jak topielec i wykonuje ruchy, które ją pogrążają jeszcze bardziej. Ponieważ niezręcznie jej używać wobec księdza czy biskupa określenia homoseksualista, używa brzmiącego biblijnie słowa tyłolubca. Niedawno sprzed bazyliki w Licheniu zniknął pomnik jej twórcy ks. Eugeniusza Makulskiego. Kiedy księdza skompromitował film braci Sekielskich, pomnik najpierw opakowano w folię, a później usunięto całkowicie. W ten sposób były kustosz sanktuarium dołączył do niechlubnego grona tych postaci publicznych, które za życia stawia się na cokole, a po śmierci z niego strąca. Sporo takich komunistycznych wielkości utknięto w muzeum sztuki socrealistycznej w Kozłówce pod Lublinem (znacznie więcej w socparku w miejscowości Grūtas na Litwie). Pytanie, czy istnieje jakaś Kozłówka dla pomników kościelnych dygnitarzy w niełasce. Kard. Dziwisz przed kamerą TVN powtarza za mechanikiem samochodowym z filmu Barei: „Nie wiem, nie znam się, nie orientuję się, zarobiony jestem". W tych sferach groteska nie ma końca.

„Jak miska odjedzie od pyska, to naród świadomość odzyska", pocieszają się autorzy haseł.

Ultrakatolicki portal Fronda.pl na regres Kościoła w sferze publicznej reaguje na odlew – cytuje tzw. objawienia prywatne (nieuznawane przez Kościół), z których wynika, że Polska już niebawem stanie się pochodnią prawdziwej wiary w skali globu. Tymczasem trwa serial z życia księży salezjanów w ich domu zakonnym w Poznaniu. Obserwatorów wciąga mocniej niż produkcje Netfliksa. W ostatnim odcinku księża zaatakowali się gazem pieprzowym. Następnie jeden drugiemu, każdy z grupą własnych wyznawców za plecami, uniemożliwiał odprawienie liturgii w kościele, licytując się, która grupa będzie wznosić modły głośniej. Wezwana policja stanęła bezradna.

Cóż, w tych niewesołych czasach należy się nam odrobina czystego, bezinteresownego humoru.

Wiesław Kot

eprasa.pl c0b3b09a9c

KURTYNA W GÓRĘ

CHOĆ BURZA HUCZY…

„Kaliban to jest problem dla wyobraźni", powiada Kaliban (Tomek Tyndyk) w drugiej części „Burzy" Jarzyny, którą reżyser i współscenarzystka Weronika Murek dopisali do Szekspira. Z pewnością to inne przedstawienie od zamierzonego, ale ta „inność" wpisana została przez Jarzynę w materię spektaklu, skoro o wydarzeniach w drugiej części miał decydować program sztucznej inteligencji. Widzowie swoimi odpowiedziami na pytania przygotowanej ankiety wpływali na kształt widowiska. Nie jestem tym pomysłem zachwycony, traktuję go raczej jak sztuczkę niż poważny zamysł, bardziej porusza mnie apokaliptyczna wizja wyspy Prospera i zwątpienie w misję człowieka na planecie Ziemia. Wyspa ta bowiem przypomina katastrofę, którą przeżywamy – katastrofę pandemiczną.

W zinterpretowaniu niebezpiecznego świata wyspy najistotniejsze wydaje się rozstrzygnięcie, kim są jej mieszkańcy. Pozbawieni płci, bezosobowi, a jednak w przedziwny sposób podzieleni na panów i ofiary. Panem absolutnym jest Prospero (Natalia Kalita), zarządzający wyspą za pośrednictwem podglądów na monitorach i rozwiniętej elektroniki. Ariel jest mu w zasadzie niepotrzebny. To pomocnik „estradowy", wykonuje piosenki umilające (?) proces nadzoru nad wyspiarzami i przybyszami, którzy rwą się do władzy.

Miranda albo Mirand (Mateusz Górski) to postać na pograniczu, manipulowana, ale i manipulująca, która/który chce zawładnąć jednym z przybyszów, ale sam jest we władzy ojca. Wreszcie Kaliban, zmęczony, ale świadomy, że to on jest panem tej wyspy, wyzutym z dziedzictwa. Ci nowi, sprowadzeni, by ponieść karę za swoje występki, nie wydają się gotowi do pokuty, to raczej najeźdźcy. Apokalipsa już zbiera żniwo, a od czasu do czasu pojawia się bezpośrednia aluzja do tego, co za oknem – na maseczce jednej z postaci widnieje znak błyskawicy, a Prosperowi ktoś radzi (niezbyt życzliwie), żeby wyp…

Tomasz Miłkowski

„Burza" inspirowana dramatem Szekspira, scenariusz Grzegorz Jarzyna, Weronika Murek, reżyseria Grzegorz Jarzyna, TR Warszawa, premiera online 27 listopada 2020

FABUŁA

WUJEK FRANK

reż. Alan Ball, prod. USA, Amazon Prime, premiera 15 grudnia

Trochę bajka, trochę dramat. Zaczyna się jak nostalgiczna opowiastka rodzinna, w której Beth, nastolatka z konserwatywnej rodziny na Południu USA, zachwyca się tytułowym wujkiem, wyzwolonym intelektualistą ze świetnym gustem. Rodzina podchodzi jednak do Franka z rezerwą, choć przecież jako ten, który wyrwał się z pipidówki bez perspektyw, powinien budzić szacunek. Reżyser Alan Ball znów siega po ulubione tematy. Jak w kultowych „Sześciu stopach pod ziemią" pokazuje dramat człowieka, który nawet najbliższym kłamie o swojej seksualności. Twórca momentami ociera się o kicz (dramatyczne samobójstwo, wygrana na najwyższych emocjach scena konfrontacji syna z ojcem), który rozładowuje komediowymi wstawkami (w czym pomaga przerysowany partner Franka). Całość broni się dzięki zderzeniu starego i nowego. Ball daje widzowi nadzieję, pokazując, że pokolenie Beth przestanie definiować ludzi przez seksualność. Gorycz tego filmu zawiera się jednak w przekonaniu, że dla generacji Franka to już niewiele zmieni. *Artur Zaborski*

ZAJRZYJ TU

MŁODA SZTUKA

Na wystawie przedaukcyjnej przy ul. Pięknej 1A oglądamy rzeźby autorstwa najciekawszych młodych twórców, m.in. Olgi Milczyńskiej, Weroniki Lucińskiej, Julii Marek i Jakuba Górskiego. Czasami to nie tylko piękne formy, ale też obiekty użytkowe, jak w przypadku pracy Szymona Klejborowskiego, którego rzeźba może służyć jako konsola. W Desie możemy także poznać twórczość malarską Soni Ruciak, Tomasza Wiktora, Gabrieli Staszak czy Marka Haby.

WARSZAWA, DOM AUKCYJNY DESA UNICUM, DO 22 GRUDNIA

MIĘDZY OKŁADKAMI

Daphne du Maurier
Rebeka

tłum. Eleonora Romanowicz-Podoska
Albatros, Warszawa 2020

Maxim de Winter znany jest jako właściciel wspaniałej nadmorskiej posiadłości. Manderley wydaje się pobłogosławione przez przyrodę, mieć coś takiego to chyba szczęście. Kiedy jednak zostaje tu przywieziona narratorka – nieśmiała, niepiękna, bezimienna, co uwydatnia jej „pośledniość" wobec pierwszej żony Maxima – okazuje się ono świątynią pamięci tragicznie zmarłej Rebeki. Wszystko trwa nienaruszone i nienaruszalne, pilnuje tego gospodyni, pani Danvers. Bohaterka nie ma odwagi objąć domu we władanie. Nic tu nie jest jej, czego mąż zupełnie nie zauważa. I cokolwiek młodziutka nowa pani de Winter zrobi, zamienia się w katastrofę. Dawno żadnej postaci nie było mi tak żal.

Odbiciem powodzenia powieści z 1938 r. było spopularyzowanie nazwy dworu. Nawet Enya nazwała tak swój zamek w Irlandii; może nie jest przesądna. Mnie Manderley przeraziło. Jest czułym punktem właściciela, czyni go podatnym na manipulację i zranienie. To nie dom, ale teren cichej, zaciekłej wojny.

Aleksandra Pańko

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl c0b3b09a9c

POLEMIKA

Bohater, i to aż trzech narodów

Henryk Sławik nie jest „własnością” ani lewicy, ani prawicy

Grzegorz Łubczyk

O Henryku Sławiku można napisać – jak uczynił to Przemysław Kmieciak („Burżujów wróg, ludu obrońca”, PRZEGLĄD nr 42) – akcentując społeczny i polityczny radykalizm tego śląskiego socjalisty oraz jego zdecydowany krytycyzm i walkę z niesprawiedliwością sanacyjnej rzeczywistości. Jednak bez prezentacji jego dokonań z lat wojny na Węgrzech będzie to wizerunek wręcz ułomny. Bez węgierskiej części jego życiorysu zapewne dziś nie zajmowalibyśmy się nim lub trafiłby on do grona zacnych, przedwojennych działaczy socjalistycznych dalszego planu.

Tymczasem to na Węgrzech Sławik wszedł do wielkiej historii, nie tylko polskiej, ale i europejskiej, a jego czynów z lat wojny nie można zawężać do skutecznego podania ręki kilku tysiącom polskich Żydów. O „liście” Schindlera wie świat, o trzy razy dłuższej „liście” Sławika wciąż nie słyszało wielu Polaków. Stwierdzam to jako osoba od 20 lat zajmująca się odkrywaniem i godnym uhonorowaniem tej niezwykłej postaci, skazanej w 1946 r. na głębokie zapomnienie za rolę, jaką odegrał w życiu naszego uchodźstwa, i za to, jakiego rządu interesy wtedy reprezentował. Jego współpraca z Józsefem Antallem seniorem uczyniła go ważną postacią II wojny światowej, bohaterem. I to bohaterem ponadpartyjnym. Sławik nie został wykreowany przez politykę historyczną obecnych władz, co sugeruje autor „Burżujów wróg...”, pisząc w lekceważącym tonie o stawianiu mu pomników, patronowaniu kilku szkołom na Śląsku i nazywaniu go bohaterem.

Henryk Sławik za walkę o polskość Śląska trafił na niemiecką listę Ślązaków do aresztowania w pierwszej kolejności. W ostatniej chwili wysłał żonę i córkę do rodziny w Warszawie, a sam ruszył w kierunku Rumunii i Węgier. Chciał zostać żołnierzem gen. Władysława Sikorskiego, tworzącego we Francji nową armię polską. Nie założył jednak munduru, bo 18 września 1939 r. węgierskie władze – polityczni sojusznicy Berlina – wierne przyjaźni z Polakami otworzyły granicę przed naszymi uchodźcami. Sławik trafił do obozu przejściowego pod Miszkolcem. Z wielu zgrupowań Polaków (ok. 120 tys. wojskowych i cywilów) akurat to odwiedził József Antall, dyrektor Wydziału Socjalnego MSW Węgier. Otrzymał on zadanie stworzenia struktury rządowej do opieki nad polskimi cywilami. Gość poprosił więc uchodźców, by przedstawili mu swoje potrzeby. Wystąpienie Sławika Antall uznał za niemal gotowy program przyszłego urzędu. Zaproponował Sławikowi wyjazd do Budapesztu i powołanie uchodźczego komitetu, który będzie partnerem dla jego urzędu.

I tak się stało. Dzięki akceptacji tego pomysłu przez szefa MSW Ferenca Keresztesa-Fischera i pomocy Antalla w listopadzie 1939 r. powstał Komitet Obywatelski dla Spraw Opieki nad Polskimi Uchodźcami na Węgrzech z Henrykiem Sławikiem jako prezesem. Do komitetu wprowadził on przedstawicieli najważniejszych partii i stronnictw politycznych II RP. Dzięki temu członkowie tego organu zamiast politykować, zajęli się rozwiązywaniem problemów.

W marcu 1940 r. rząd RP na uchodźstwie uznał KO za swoje oficjalne przedstawicielstwo, a prezes Sławik został mianowany delegatem na Węgry Ministerstwa Opieki Społecznej. Wzmocniło to pozycję jego i komitetu w relacjach z władzami Węgier, stale nękanymi przez niemiecką ambasadę, nie mówiąc o rosnącej irytacji Hitlera za zbyt życzliwe traktowanie Polaków przez regenta Horthy’ego i premiera Telekiego. Ta sytuacja zmuszała Sławika i Antalla do uzgadniania wielu spraw poza biurem, m.in. w parku, co odzwierciedla usytuowanie obu postaci na pomnikach w Warszawie i Budapeszcie.

Sławik i jego komitet, współpracując głównie z Urzędem ds. Uchodźców Wojennych Józsefa Antalla, zajmował się sprawami socjalnymi i bytowymi uchodźców, w tym dożywianiem dzieci, opieką zdrowotną, życiem kulturalno-oświatowym, sferą edukacyjną i religijną. KO rozdzielał też napływające coraz cieńszym strumieniem środki finansowe z kasy polskiego rządu oraz różnorodną pomoc, otrzymywaną od pozarządowych instytucji węgierskich i organizacji międzynarodowych. Prezes Sławik nadzorował również działalność dwóch wyodrębnionych struktur komitetu: Polskiej Służby Medycznej (90 lekarzy, *gros* wojskowych) i Katolickiego Duszpasterstwa Polskiego (niemal 100 duchownych). Ten genialny samouk, nazywany przez uchodźców „panem doktorem”, gdzie mógł, zapalał zielone światło dla inicjatyw wydawniczych. W czasie wojny na Węgrzech – dzięki hojności głównie węgierskiego budżetu – ukazało się 200 polskich książek (!) dla uchodźców i wiele gazet obozowych. Fenomenem była wychodząca trzy razy w tygodniu gazeta „Wieści Polskie”. Od jesieni 1939 r. do okupacji niemieckiej Węgier w marcu 1944 r. ukazało się 661 numerów.

Sławikowi i Antallowi zależało na tworzeniu warunków do nauki kilku tysiącom najmłodszych uchodźców:

W założonym przez Sławika i Antalla sierocińcu pod nazwą Dom Sierot Polskich Oficerów mieszkała niemal setka żydowskich dzieci.

eprasa.pl c0b3b09a9c

Pomnik Sławika i Antalla w Warszawie powstał z inicjatywy Grzegorza Łubczyka i dr. Józefa Musioła, prezesa Towarzystwa Przyjaciół Śląska w Warszawie. Identyczny, dzieło Władysława Dudka, jest w Budapeszcie.

uczniom szkół podstawowych i średnich (powstało 27 szkół, w tym słynne gimnazjum i liceum w Balatonboglárze) oraz studentom (ok. 350 na kilku różnych uczelniach). To wszystko wymagało dużych nakładów finansowych. Dodajmy do tego codzienne utrzymanie tysięcy uchodźców. Aż trudno uwierzyć, że wytrzymał to budżet państwa, który miał własne problemy. Jak sprawnym organizatorem musiał być Sławik, skoro uchodźcy nazwali go „wzorowym opiekunem", co potwierdzili w spisanych po wojnie wspomnieniach.

I wreszcie sfera jeszcze jednej aktywności Sławika. Cipora Lewawi, sierota z Vácu: „Ja wierzę, że on był boskim posłańcem. Niemcy zrobili to, że sama jedna zostałam na tym świecie. Jeśli dziś żyję i mieszkam w Izraelu, i mam tak dużą, własną rodzinę, dzieci, wnuków, prawnuków, w sumie ponad 30 osób, to dlatego, że Sławik mnie uratował".

Henryk Zvi Zimmermann, przez pół roku prawa ręka Sławika w dziele ratowania żydowskich współbraci, twierdził: „Chciałbym, aby nie tylko Żydzi się dowiedzieli, że Sławik pracował w cięższych i niebezpieczniejszych warunkach niż Wallenberg".

Ks. prałat Grzegorz Pawłowski: „Według mnie taki Człowiek, katolik, za uratowanie 5 tys. Żydów powinien być wyniesiony na ołtarze. Po drugie, On miał odpowiednie dokumenty i w każdej chwili z żoną i córką mógł się schronić w Szwajcarii. Ale nie zrobił tego, gdyż uważał, że jest potrzebny uchodźcom, powierzonym jego opiece. Blisko też współpracował z duchowieństwem".

Już w styczniu 1940 r. Sławik przy pomocy Antalla oraz polskich i węgierskich księży zaczął zmieniać polskim Żydom uchodźcom tożsamość na nazwiska o typowo polskim brzmieniu. Niezbędne do tego były katolickie metryki chrztu, na prośbę prezesa KO wystawiane przez duchownych. Wymagana dokumentacja trafiała w ręce Antalla, który przez swoich ludzi dopinał formalności. Następnie wtajemniczeni w akcję polscy księża, którzy dzięki prymasowi Jusztiniánowi Serédiemu otrzymali prawo wizytowania zgrupowań uchodźczych, dostarczali uchodźcom nowe dokumenty. System działał tak dobrze, że do okupacji Węgier przez Niemców nie było wpadki!

Majstersztykiem kamuflażu okazał się sierociniec dzieci żydowskich, założony przez Sławika i Antalla wiosną 1943 r. w Vácu nad Dunajem i funkcjonujący pod nazwą Dom Sierot Polskich Oficerów. Jego mieszkańcami była niemal setka żydowskich dzieci w wieku od 4 do 16 lat. Niektóre zostały wyrzucone z wagonów wiozących ich rodziców na zagładę. Znający język polski Węgier ze Słowacji, pijar Pál Boharcsik, uczył je podstawowych modlitw, a w niedzielę prowadził na mszę do katolickiego kościoła, by myślano, że to chrześcijanie. I choć wiosną 1944 r. władzę przejęli Niemcy i węgierscy faszyści, ani jedno dziecko nie zginęło, gdyż założyciele sierocińca tak dobrze przygotowali ewakuację sierot i miejsca ich ukrycia.

Sławik nie miał tego szczęścia. Wraz z Antallem ukrył się, jednak niemiecki wywiad nie ustawał w poszukiwaniach. Najpierw aresztowano Antalla, a kryjówkę Sławika nad Balatonem wskazał będący na usługach hitlerowców Polak, który w 1943 r. jako ekstern zdał w Balatonboglárze maturę, a na zachowanym świadectwie miał podpisy Sławika i Antalla.

Podczas konfrontacji w budapeszteńskiej siedzibie gestapo katowany Sławik nie zdradził przyjaciela. Antalla oskarżono o ratowanie polskich Żydów i pomoc w akcji przerzutu z Węgier do Francji ok. 30 tys. polskich wojskowych, co było prawdą. Sławik wszystkim zarzutom, których było więcej, zdecydowanie zaprzeczył. Twierdził do końca, że Antall opiekował się wyłącznie polskimi uchodźcami cywilnymi. Sięgnijmy do spisanych po wojnie pamiętników Antalla: „Ze Svábhegy zabrano nas z powrotem do więzienia. W czasie jazdy siedzieliśmy obok siebie w ciemnym samochodzie. Poszukałem jego ręki, by podziękować mu za uratowanie mego życia. Z uściskiem dłoni tak mi szepnął: »TAK PŁACI POLSKA«".

Henryk Sławik został powieszony 23 sierpnia 1944 r. w niemieckim obozie zagłady Mauthausen-Gusen.

Czy można zrobić więcej, aniżeli wzorowo opiekować się tyloma rodakami, uratować kilka tysięcy skazanych na zagładę, wreszcie oddać życie za wierność zasadom przyjaźni i lojalności? Sławik nie jest „własnością" ani lewicy, ani prawicy. Jest jak gruba księga, z kart której każdy może wziąć coś dla siebie, niezależnie od przekonań, sympatii politycznych i wyznawanej wiary. Dlatego postanowiłem napisać o „węgierskim" Sławiku w PRZEGLĄDZIE, by Czytelnicy otrzymali pełny obraz tego niezwykłego Człowieka.

Grzegorz Łubczyk jest byłym ambasadorem RP na Węgrzech (1997-2001) i wieloletnim korespondentem polskiej prasy w Budapeszcie, dokumentalistą wojennego uchodźstwa polskiego na Węgrzech, popularyzatorem Henryka Sławika (książki, filmy dokumentalne, wystawy, prelekcje w kraju i za granicą)

FOT. BOGDAN WIELGAT

eprasa.pl c0b3b09a9c

Paula Leśniewska

Odporność od kuchni

Odpowiednia dieta nie uchroni przed chorobą, ale pomoże ją zwalczyć

Co zrobić, by podwyższyć odporność organizmu? Najlepiej przyjrzeć się własnemu talerzowi. Wprawdzie jedzenie nie zapewni ochrony przed covidem, ale zbalansowana dieta wspiera układ odpornościowy, a tym samym może wpływać na przebieg choroby. Według WHO szczególnie wartościowe są produkty nieprzetworzone i mało przetworzone. Około 40-50% diety mało przetworzonej powinny stanowić kasze i pieczywo z pełnego zboża, 30-40% warzywa, a tylko 10-20% mleko, mięso, jaja, orzechy i pestki. Szczególne znaczenie ma dieta bogata w błonnik, żelazo, cynk, selen, polifenole, witaminy A, C, D, E, beta-karoten i oleje zawierające kwasy omega-3. „Niedobór witaminy C, karotenoidów, polifenoli i błonnika zwiększa częstość występowania infekcji górnych dróg oddechowych, a w przypadku ich wystąpienia pogarsza przebieg choroby – pisze dr Katarzyna Jankowska w czasopiśmie „Wiedza Medyczna". – W trakcie trzymiesięcznego badania u astmatyków, którzy spożywali siedem porcji owoców i warzyw dziennie, wskaźnik zaostrzeń choroby wynosił 20% w porównaniu do 40% u osób będących na typowej »zachodniej« diecie, zawierającej średnio jedynie trzy porcje warzyw i owoców. Wyniki badania sugerują, że tak znacząca poprawa wskaźnika zaostrzeń możliwa jest już po zaledwie 14 dniach przestrzegania diety ze zwiększonym spożyciem warzyw i owoców".

Spośród kasz to jaglana zawiera najwięcej żelaza.

Zboża

Biała mąka powstaje z oczyszczonego ziarna. Przed procesem mielenia ziarno jest pozbawiane warstw zewnętrznych, najbogatszych w minerały, witaminy i enzymy. Przykładowo w 100 g pełnoziarnistej (razowej) mąki żytniej znajdziemy 4,9 mg żelaza, natomiast w oczyszczonej tylko 0,9 mg. Mąki pełnoziarniste zawierają również m.in. błonnik, który wspiera mikroflorę jelitową. Warto zacząć od drobnych zmian w diecie, np. zamienić makaron z białej (oczyszczonej) mąki na pełnoziarnisty. Budowaniu odporności sprzyjają także: dziki i brązowy ryż, płatki zbożowe (owsiane, jęczmienne, orkiszowe) i kasze: pęczak, gryczana i jaglana. Ta ostatnia jest pokarmem o wyjątkowych właściwościach, jak podkreśla dr hab. Dorota Radomska-Leśniewska z Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego w książce „Wpływ substancji naturalnych na układ odpornościowy": „Zawiera największą spośród kasz ilość żelaza, sporo magnezu i innych mikroelementów oraz witaminy głównie z grupy B. Jest zasadotwórcza (ma przyjazne dla organizmu pH, powyżej 7,0 – przyp. red.). Ma zdolności oczyszczania organizmu i przeciwdziałania toksycznemu wpływowi rafinowanego cukru".

Warzywa

WHO rekomenduje spożywanie minimum 400 g warzyw dziennie. Najbogatsze w składniki odżywcze są produkty sezonowe. Późną jesienią i zimą, kiedy mamy ograniczony dostęp do świeżych warzyw,

CZEGO UNIKAĆ?

Przede wszystkim słodyczy i fast foodów. „Cukier zakwasza organizm, stanowi dobrą pożywkę dla drobnoustrojów – uważa prof. Bożena Waszkiewicz-Robak z Instytutu Biotechnologii Przemysłu Rolno-Spożywczego. – Jest czynnikiem powodującym niewydolność układu immunologicznego". Słodycze często zwierają częściowo utwardzone oleje roślinne, źródło izomerów trans kwasów tłuszczowych. W programie badawczym Euramic wykazano ich rakotwórcze działanie. Dowiedziono, że mogą być przyczyną miażdżycy i zaburzeń odporności. Izomery trans kwasów tłuszczowych wydzielają się przy długotrwałym smażeniu, są więc obecne w jedzeniu typu *fast food*. „Zgodnie z polskim i europejskim prawem producenci żywności nie muszą umieszczać na opakowaniach produktów informacji nt. zawartości izomerów trans (…). Powinniśmy więc bardzo dokładnie czytać etykietę produktu i zwrócić uwagę na informację o zawartości »częściowo uwodornionych/częściowo utwardzonych olejów roślinnych«", piszą na stronie internetowej Narodowego Centrum Edukacji Żywieniowej prof. Hanna Mojska i dr Ewa Rychlik z Instytutu Żywności i Żywienia.

eprasa.pl c0b3b09a9c

witamin i minerałów mogą dostarczyć kiszonki. Kapusta kiszona nie tylko zachowuje właściwości świeżego warzywa (m.in. zawiera witaminę C, A i E, magnez, żelazo), ale jest wzbogacona o bakterie powstałe w procesie fermentacji.

Kiszonki odbudowują prawidłową florę bakteryjną przewodu pokarmowego, która jest podstawą dobrej odporności. Wykazano, że dobre działanie na florę bakteryjną ma również czosnek. Pobudza aktywność limfocytów, komórek układu immunologicznego, przez co działa przeciwgrzybiczo, przeciwwirusowo i przeciwbakteryjnie. Na odporność korzystnie wpływa też beta-karoten, antyoksydant, znajdujący się np. w marchwi i dyniach. Bardzo wartościowym, a niedocenionym warzywem jest cebula – bogata m.in. w witaminę C, magnez i cynk, sprawdzi się przy infekcjach.

Najlepszym źródłem białka roślinnego, polecanego przy diecie wspomagającej odporność, są rośliny strączkowe i soja. Zawierają dużo żelaza, cynku i selenu. Badania wykazały, że białko sojowe działa przeciwzapalnie, przeciwmiażdżycowo, wzmacnia odporność i obniża poziom cholesterolu we krwi. Najlepiej łączyć produkty sojowe z witaminą C, np. jedząc sałatkę lub kiszonki. Zapewni to lepsze wchłanianie żelaza.

Owoce

Najbogatsze w polifenole, organiczne związki antyutleniaczy, są owoce. Chronią organizm przed szkodliwym działaniem wolnych rodników, a więc zapobiegają wielu infekcjom. Zimą warto sięgnąć po 100-procentowy sok z malin, od dawna używany jako lek przeciwgorączkowy. Dzięki wysokiej zawartości witamin C i E, związków żelaza i polifenoli korzystnie wpływa on na układ odpornościowy. Należy go przechowywać w ciemnym i chłodnym miejscu, najlepiej w lodówce – witamina C szybko traci swoje właściwości w cieple. Można poza tym sięgnąć po suszone owoce. Trzeba jednak pamiętać, że z powodu utraty wody i zagęszczenia cukrów są one bardziej kaloryczne niż owoce świeże. Przykładowo suszone śliwki mają niemal pięć razy więcej kalorii niż świeże, ale stanowią lepsze źródło antyutleniaczy.

Oleje

Bardzo korzystne dla układu odpornościowego są wszystkie oleje zawierające kwasy omega-3. „Zwiększona ilość kwasów omega-3 zmniejsza stężenia czynników prozapalnych w komórce – uważa dr Paulina Sicińska z Wydziału Biologii i Ochrony Środowiska Uniwersytetu Łódzkiego. – Ponadto obecność kwasów omega (…) zapewnia prawidłowe funkcjonowanie komórek, np. mięśnia sercowego czy układu nerwowego". Wysokie ich stężenie znajdziemy w olejach lnianym, konopnym i rzepakowym, a także w oliwie z oliwek. Kwasy omega-3 rozpadają się pod wpływem ciepła, dlatego najlepiej spożywać te oleje na zimno. Prawdziwym rogiem obfitości, jeśli chodzi o kwasy omega-3, są zaś nasiona szałwii hiszpańskiej (nasiona chia). Sporą ich ilość zawierają także orzechy włoskie, makadamia i pekan. Jednym z liderów wśród kwasów omega-3 jest kwas DHA, który nie tylko pobudza procesy odpornościowe, ale również wzmacnia pracę układu krążenia, wzroku i mózgu. DHA znajdziemy w tłustych rybach morskich i zimnowodnych, np. w łososiu pacyficznym, śledziu atlantyckim, pstrągu tęczowym i makreli atlantyckiej. Świetnym jego źródłem są algi – suszone lub sproszkowane. Ryby są także bogatym źródłem witaminy D, której niedobór ma aż 50-80% ludzi na świecie.

Napoje i zioła

Powszechnie znana z właściwości antyoksydacyjnych jest zielona herbata. Dużą ilość polifenoli zawiera poza tym kakao. Niezwykle pomocne przy zapobieganiu infekcjom okazuje się zaś oregano. „Oregano łączy w sobie właściwości przeciwbakteryjne, przeciwgrzybicze i rozkurczowe – pisze cytowana już dr Katarzyna Jankowska. – Oprócz tego jest w stanie wspomagać wydzielanie śluzu przez błony śluzowe górnych dróg oddechowych. Połączenie tych cech sprawia, że ziele lebiodki jest bardzo przydatnym środkiem wspomagającym przy infekcjach płuc i zatok, a także takich schorzeniach, jak nieżyt górnych dróg oddechowych czy kłopoty z odkrztuszaniem".

Najbardziej kontrowersyjnym prozdrowotnym napojem, oczywiście stosowanym w rozsądnych ilościach, jest czerwone wino. Powstaje jako produkt fermentacji winogron, co zapewnia mu niezwykle wysoką zawartość polifenoli, a więc i silne właściwości antyoksydacyjne. Polifenole z czerwonego wina, szczególnie resweratrol, działają razem z witaminą C. Stwierdzono, że czerwone wino ma działanie rozkurczowe, przeciwdziała procesom starzenia, działa przeciwzapalnie i przeciwwirusowo oraz obniża ciśnienie krwi.

Czerwone wino działa przeciwzapalnie i przeciwwirusowo, obniża też ciśnienie krwi.

W okresie szczególnej podatności na infekcje warto pamiętać o herbatkach ziołowych. Większość pobudza układ odpornościowy i reguluje pracę narządów wewnętrznych, tym samym wyposażając nas w przeciwwirusową broń. Dobroczynny efekt mają pokrzywa, nagietek, jeżówka czy imbir. Prawdziwą bronią podczas infekcji wirusowych okazuje się czarny bez. Jego owoce i kwiaty zawierają antocyjany, zwalczające gorączkę i lekki kaszel. Pijmy zioła na zdrowie! ■

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl c0b3b09a9c

Nie ma wody bez radia

W Argentynie sąsiedzka rozgłośnia uchroniła miasteczko od zanieczyszczenia wody ściekami z kopalni

Wojciech Ganczarek
Korespondencja z Argentyny

Jest środek zimy, siedzimy wszyscy w kurtkach i swetrach. Chłody Patagonii łagodzi gazowy grzejnik w kącie sali. Maiten, 30-latka z etni Mapuczów, mówi na temat krajowych mediów – podobnie jak władza treści informacyjne są w Argentynie silnie scentralizowane. Z telewizji można się dowiedzieć, że w Buenos Aires ktoś rozbił samochód, rozwiodła się gwiazda programu rozrywkowego, a w jednej ze stołecznych dzielnic zawalił się słup energetyczny. – Wiadomości niezwykłej wagi dla mieszkańców położonego 2 tys. km dalej Junín de los Andes – ironizuje.

– Tymczasem lokalne władze ogłaszają akcję elektryfikacji regionu. O tym jeszcze ktoś przebąknie. Ale już nikt nie zwróci uwagi, że chodzi o podłączenie prądu jedynie największym właścicielom ziemskim w okolicy – dodaje z mieszanką pasji i spokoju właściwą społecznikom, którzy znają temat. – A my zaprosiliśmy ministra do studia, zapytaliśmy o program wsparcia dla małych producentów. Wiercił się, kręcił, w końcu odbąknął, że nie istnieje. O tym trzeba informować, nie o Buenos Aires – podkreśla Maiten.

– A jak się finansujecie? – pytam.

– Przede wszystkim dzięki pierogom.

Krytyczne początki

Argentyńczycy dobrze pamiętają rok 2001. – Oj, tak! – potwierdzają chórem Maiten, Debora i Federico, dziennikarze radiowi.

Kryzys gospodarczy wywołany przez serię reform neoliberalnych lat 90. wspomina się tu jako czas jedzenia ryżu z makaronem lub ryżu po prostu.

– W tamtej dekadzie w Junín de los Andes prężnie rozwijało działalność Stowarzyszenie Mingaco – opowiada Maiten. – Miejscowi aktywiści szykowali obiady dla potrzebujących i organizowali zakupy u lokalnych producentów, z ominięciem pośredników.

W 2001 r. wspólnie z członkami innych organizacji lokalnych Mingaco założyło radio FM Che. Rozgłośnia miała informować mieszkańców o podejmowanych oddolnie działaniach antykryzysowych.

– Na początku było nas mnóstwo, 20, nawet 30 osób prowadziło programy – kręci głową Maiten. – Na antenie mówiło się o wszystkim! W ramówce mieliśmy 35 różnych audycji.

Do ludzi trafia to, co jest ważne dla ich codzienności.

Młodzież snuła marzenia o wolności, starsi bronili prawa Mapuczów do samostanowienia, a spektrum muzyczne rozciągało się – i tak jest do dziś – od współczesnego rapu po prześny folklor. Maiten: – Trzeba przyznać, że poziom dziennikarski był kiepski. Słuchali nas przede wszystkim znajomi ze szkoły, bo większość dziennikarzy nie skończyła jeszcze liceum. Nikt z dorosłych nie nastawiał w domu FM Che.

Przygotowywanie programów zajmuje jednak czas, za który nie ma wynagrodzenia. Dawni uczniowie liceum wkraczali w dorosłe życie, szli do pracy. Zniechęcenie brało górę. W najbardziej krytycznym dla radia momencie ekipa skurczyła się do dwójki prowadzących.

Bądźmy tam razem

Było wiosenne popołudnie 2015 r. W dolinie między niskimi pasmami przedgórza Andów, nie więcej niż 500 m od rzeki Chimehuín, ponad 3 tys. osób – około jednej piątej mieszkańców miasteczka – tłoczyło się na placyku między urzędem gminy a kościołem parafialnym. Na wietrze łopotały biało-błękitne flagi narodowe. Dziecięce rysunki zdobiły ogrodzenia, na transparentach upominano się o nieskażoną wodę. Z głośników zaparkowanych aut wybrzmiewała transmisja FM Che.

– To już dziś, bądźmy tam razem – emocjonuje się Maiten, powtarzając ogłoszenia nadawane pamiętnego dnia. – A jeśli pan, pani nie może zjawić się osobiście, obrady będziemy nadawać na żywo!

Zaczęło się od tego, że korporacja górnicza Southern Copper, obłożona w Peru wielomilionowymi karami za zanieczyszczanie środowiska, zainteresowała się wydobyciem miedzi, złota i molibdenu w okolicach miejscowości Las Coloradas, kilkadziesiąt kilometrów od Junín de los Andes. Szkodliwy wpływ kopalni odkrywkowych w Andach jest w Argentynie tematem znanym. Południową i zachodnią Argentynę charakteryzują wyjątkowo niskie opady, a dostępność wody pitnej łączy się ściśle z zasobnością (i składem chemicznym) strumieni spływających z gór. Największy rozgłos zyskał w swoim czasie przypadek kanadyjskiej kompanii Barrick Gold, która wydobywa złoto w prowincji San Juan i zatruwa rzeki w okolicach miejscowości Jáchal.

– Jedyny zysk z tego taki, że z powodu wysokiego stężenia rtęci i cyjanków w rzekach z całej okolicy zniknęły komary, więc w porze deszczowej zaoszczędzisz na repelentach – drwił miejscowy lekarz, z którym rozmawiałem przed rokiem. I dodawał, że oprócz śmierci insektów zanieczyszczenie wód metalami

eprasa.pl c0b3b09a9c

Najważniejszym źródłem dochodu radia są pierogi przygotowane przez dziennikarzy.

ciężkimi u wielu mieszkańców wywołuje białaczkę.

Debora dowiedziała się o zamiarach Southern Copper, gdy mieszkała w Paso Aguerre, wiosce na 500 dusz, na północ od rodzinnego Junín de los Andes. Zgodnie z planowaną lokalizacją kopalni działalność górnicza miałaby negatywny wpływ na jedyny strumień zaopatrujący miejscowość w wodę. Z jednej strony, należało się spodziewać zanieczyszczenia, z drugiej – osłabnięcia lub całkowitego wyschnięcia mizernej rzeczułki. Proces wypłukiwania złota z masy innych minerałów wymaga gigantycznych ilości wody i produktów chemicznych.

– Pomyślałam, że najlepszym sposobem, by nagłośnić sprawę, będzie radio – mówi Debora. Informowała wówczas mieszkańców Paso Aguerre przez wiejską radiostację: o kopalni, o konsekwencjach jej działalności i o lokalnym ruchu antygórniczym, który odbywał pierwsze zebrania w Las Coloradas. Po powrocie do Junín Debora trafiła do FM Che, jedynej rozgłośni w miasteczku, która zajmowała się tematem.

– Niektóre słuchaczki deklarowały wprost: przestałam was słuchać, bo mi uszy więdną od tych kopalni, zanieczyszczeń i ochrony środowiska – wspomina Maiten. – To prawda, nasze poranne programy były monotematyczne!

Ale skutek akcji informacyjnej okazał się wymierny, lokalni radni zatwierdzili rozporządzenie zakazujące funkcjonowania kopalni odkrywkowych na terenie gminy. Jednak krótko przed terminem podpisania dokumentu pracownicy urzędu poinformowali radio, że burmistrz zamierza zawetować projekt. FM Che zabrało sprzęt na plecy, zaprosiło słuchaczy na manifestację i nadawało poranną audycję sprzed siedziby władz. Ludzie się zbierali, rosło nerwowe oczekiwanie. Tymczasem dochodziła godz. 14, koniec pracy urzędu, a weta nie widać. Młodzi dziennikarze obawiali się kompromitacji.

Maiten: – Weto weszło o 14.30. Przerwaliśmy już audycję, ludzie poszli do domów, ale wieści rozeszły się szybko. Wtedy wszyscy zrozumieli, że FM Che nie kłamie.

Pod presją opinii publicznej – i z niemałym udziałem radia – zwołano nadzwyczajną sesję rady gminy. Jeśli zebrałaby się większość kwalifikowana, radni mogli oddalić weto. To tamtego dnia na ulice wyszła jedna piąta mieszkańców z pozoru sennej miejscowości. – I nie to, żeby ich specjalnie obchodziły kopalnie albo interesowały dalekosiężne skutki aktywizmu dla gospodarki kraju – tłumaczy Maiten. – Do ludzi trafia to, co jest ważne dla ich codzienności. I trzeba być stąd, trzeba żyć życiem słuchacza, wiedzieć, jak do niego trafić.

A dla mieszkańca Junín de los Andes najważniejsza jest woda – *juninense* wychował się nad rzeką Chimehuín. Wiosną łowi tam ryby, latem się kąpie, a jesienne wieczory spędza, pijąc *yerba mate* i przysłuchując się uderzeniom fal. A więc, sąsiedzie i sąsiadko: jeśli przy źródłach Chimehuín zainstalują kopalnię, zapomnij o kąpielach, wędkowaniu i słodkim lenistwie nad rzeką.

Gapiów i mieszkańców, którzy chcieli zabrać głos, było tylu, że sesję rady przeniesiono do większego budynku. Radio FM Che transmitowało obrady na żywo. – Nie mieliśmy profesjonalnych urządzeń, sygnał wysyłaliśmy za pośrednictwem zwykłej rozmowy przez telefon, i to najtańszy – mówi Maiten.

Wszystko, co robimy, trzeba zamienić w informację – przekonuje Maiten.

W miesiącach poprzedzających nadzwyczajną sesję rady gminy szkoły intensywnie omawiały temat szkodliwości górnictwa. Uczniowie chcieli więc brać udział w wydarzeniu, które miało zmienić losy miasteczka. Sala obrad zapełniła się dziećmi. Sympatycy FM Che organizowali gry i zabawy, by najmłodsi się nie nudzili. Dzieciaki improwizowały na antenie antygórniczy rap. Starsi skandowali: „To my, mieszkańcy, stanowimy władzę. To są nasze obrady!”. Radni nie mieli wyjścia, rozporządzenie zakazujące działalności kopalni odkrywkowych przeszło jednogłośnie.

eprasa.pl c0b3b09a9c

– Ludzie podchodzili, podawali nam dłoń, dziękowali – wzrusza się Maiten. – Mówili: wy jako jedyni powiedzieliście prawdę.

Bliskość

Dla FM Che sprawa kopalni odkrywkowych okazała się przełomowa – znaczna część mieszkańców na stałe przestawiła radioodbiorniki na nową częstotliwość i słucha dziś treści feministycznych, wolnościowych i antysystemowych. Według Maiten to dzięki rozgłośni mieszkańcy znów zwracają się do siebie *peñi*, czyli bracie w języku Mapuczów. A przede wszystkim zaczęli rozmawiać o kwestiach, na które do tej pory spuszczano zasłonę milczenia.

Debora: – Gramy z sąsiadkami w siatkówkę i nagle jedna mówi oburzona: a wiecie, że w Junín de los Andes jest radio, które głosi przesłania antypaństwowe? A ja na to: wiem, pracuję dla tego radia!

Niemal każdy ma brata, ojca czy kuzyna, który pełni służbę w policji lub jednostce wojskowej na obrzeżach miasteczka. Głos sprzeciwu wobec państwowego aparatu represji budzi największe niezadowolenie. Maiten: – Dlatego tłumaczymy, że nie występujemy przeciwko czyimś mężom, synom ani sąsiadom. Występujemy przeciw instytucji.

W sierpniu 2017 r. po jednej z manifestacji w obronie ziem Mapuczów „zniknął" aktywista Santiago Maldonado. Obecnie głośno komentowany jest przypadek Facunda Castro. 23-latek został zatrzymany przez policję w kwietniu br. za złamanie kwarantanny i słuch o nim zaginął. Argentyńscy funkcjonariusze mają wprawę w pozbywaniu się niewygodnych ludzi – w czasach prawicowej dyktatury wojskowej w latach 70. i 80. „zniknięto" 30 tys. obywateli.

Drugim głośnym tematem na antenie wspólnotowej stacji jest przemoc wobec kobiet i spór wokół aborcji. – Nie ma wątpliwości, że na poziomie lokalnym to FM Che rozpoczęło dyskusję o przerywaniu ciąży – zapewnia Maiten. – W jaki sposób? Bardzo prosto: poprzez wywiady z sąsiadkami, kobietami w wieku 60-70 lat, które w młodości zdecydowały się na przerwanie ciąży.

W 2016 r. w Junín de los Andes młody policjant popełnił samobójstwo w taki sposób, by strzał z pistoletu odebrał życie także jego byłej partnerce Rosalii. Media snuły romantyczne wersje o nieszczęśliwej miłości. „Jedna kula przeszywa dwa ciała", głosiły nagłówki gazet.

Debora dołączyła do FM Che podczas fali protestów przeciw kopalniom odkrywkowym.

– Bzdura! – Maiten nie ma wątpliwości. – To zwykłe kobietobójstwo i tylko my powiedzieliśmy o tym głośno. Nie były to nasze osobiste opinie; poprosiliśmy ekspertki w tej dziedzinie, by wyjaśniły słuchaczom, dlaczego to nie bajka o Romeo i Julii, tylko morderstwo. Wiele słuchaczek mogło sobie uświadomić, że same żyją w relacjach, w których partner nadużywa siły.

Niezadowolonych nie brakuje i na facebookowych grupach kipi od kąśliwych komentarzy o młodych dziennikarzach. Mniej jest krytycznych wiadomości wysyłanych bezpośrednio do radia. A najmniej tych oponentów, którzy odważą się usiąść przed mikrofonem do otwartej dyskusji.

– Wtedy nie wystarczy pozbawiona argumentów pusta krytyka, którą mógłbyś rzucić w internecie pod adresem znanego dziennikarza, którego i tak nigdy nie spotkasz. My jesteśmy blisko – mówi Maiten. I dodaje: – Słuchacze mogą nas krytykować, mogą nas nie lubić, ale wiedzą, że jeśli ich pobije policja, jeśli im spłonie dom, wówczas Debora, Maiten i Federico, czyli żadni tam wielcy dziennikarze, tylko zwykli sąsiedzi, będą na miejscu, by im pomóc.

Pierogi

Jest późne popołudnie i na antenie pojawiają się nagrania przygotowane przez instytucje i organizacje społeczne. Ciepły głos psycholożki doradza, jak spędzać z dziećmi czas podczas kwarantanny. Grupy feministyczne i związek lekarzy informują o prawach związanych z legalną aborcją, a uczniowie miejscowego technikum ochrony środowiska opowiadają o niepokojących zmianach w ekosystemie Patagonii. Następnie wchodzi blok informacyjny przygotowany przez krajową i kontynentalną sieć rozgłośni wspólnotowych.

– Sieć kiełkowała w Ameryce Łacińskiej od lat 50. – tłumaczy Maiten. – Zaczynała działalność od nauki czytania i pisania. Wielu ludzi ze wsi nie miało wówczas dostępu do edukacji. Oligarchia ziemska wykorzystywała tę słabość, by oszukiwać chłopów – dawała do podpisania dokumenty, których tamci nie potrafili przeczytać. Tak pozbawiano ich ojcowizny.

Teraz organizacje ALER (na poziomie Ameryki Łacińskiej) i FARCO (w Argentynie) przygotowują serwis informacyjny na bazie wiadomości dostarczanych przez regionalnych członków, takich jak FM Che. Słuchamy więc o prześladowaniach rolników w Hondurasie, więźniach politycznych w Chile czy utworzeniu internetowej giełdy małych producentów warzyw w argentyńskiej La Rioja. Rozgłośnie dzielą się treściami i łączą wysiłki.

– Wszystko, co robimy, trzeba zamienić w informację – przekonuje Maiten. – Że dwie sąsiadki zebrały się, by nagotować zupy niedojadającym dzieciakom z dzielnicy – to jest wiadomość, o tym trzeba mówić! Po to działają radia wspólnotowe: by wspólnota miała prawo głosu.

Na początku 20, nawet 30 osób prowadziło programy. Na antenie mówiło się o wszystkim! W ramówce mieliśmy 35 audycji.

FOT. WOJCIECH GANCZAREK

eprasa.pl c0b3b09a9c

„FM Che: wspólnotowe radio, nadajemy wszyscy razem”, wybrzmiewa dżingiel wykrzyczany przez grupkę dzieci.

Federico marzył o prowadzeniu audycji o heavy metalu. Komercyjne rozgłośnie z Junín dawały mu taką możliwość, ale żądały, by chłopak opłacił miejsce na antenie. – A tu nie dość, że nie chcieli pieniędzy, to jeszcze nauczyli mnie obsługi wszystkich radiowych urządzeń – emocjonuje się Federico. – Kto da ci takie możliwości? Nikt!

Dziś Fede, jak o nim mówią, jest jednym z najaktywniejszych dziennikarzy. Debora chwali, że od pierwszych tygodni w FM Che gorliwie zaangażował się w lepienie pierogów.

Znaczna część mieszkańców słucha dziś treści feministycznych, wolnościowych i antysystemowych.

Radio nadaje z serca dzielnicy Lanín, której uroda nie ma wiele wspólnego z elegancją ośnieżonego stożka wulkanicznego o tej samej nazwie. Wiatr roznosi kurz po gruntowych uliczkach z niskimi domami okopconymi dymem. Siedziba rozgłośni również nie ma wiele wspólnego ze splendorem mediów. To parterowy budynek po dawnej salce katechetycznej. Ale nawet tak skromne warunki pociągają koszty: wynajem przestrzeni czy opłacenie wysokich rachunków za prąd, generowanych przez prądożerny nadajnik. Opłacenie wyjazdów w teren, by nagrać reportaż na temat walki o odzyskanie ziemi przez Mapuczów, to dodatkowe wyzwanie, nie zawsze kończące się sukcesem. Budżet FM Che opiera się m.in. na symbolicznych składkach przyjaciół radia – osób prywatnych i organizacji społecznych – i mizernych wpływach z krótkiego bloku reklamowego. Najważniejszym źródłem dochodu są bez wątpienia *sorrentinos*, pierogi przygotowane przez samych dziennikarzy i sprzedawane raz w miesiącu.

– To może dość dziwny sposób na utrzymanie radia – przyznaje Maiten – ale przez 20 lat funkcjonowania nie znaleźliśmy niczego, co dałoby nam pewniejszy zysk.

– Bo to nie są byle pierogi – zachwala Federico. – Mają już renomę!

Podobno rozchodzą się jak świeże bułeczki. Nie bez znaczenia jednak są także subsydia rządowe, bo władze Argentyny wspierają działalność oddolnych inicjatyw medialnych.

Południowa część miasteczka to zamożniejsze dzielnice z luksusowymi willami. Pozostali mieszkańcy cisną się na mniejszych metrażach. Nad rzeką – fawele. W Patagonii, regionie o gęstości zaludnienia niewiele wyższej niż jeden mieszkaniec na kilometr kwadratowy, nie brakuje przestrzeni. Do Junín de los Andes przyjeżdżam drogą z Zapali. Na 200 km trasy nie widzę absolutnie nic: miast, wiosek ani osiedli. A teraz dowiaduję się, że ma miejsca na domy czy choćby na antenę radiową. – Niedawno FM Che zdołało zakupić 30-metrowy maszt – mówi Maiten. – Moglibyśmy docierać do wszystkich wiosek w gminie. Nawet dalej.

Tyle że masztu nie ma gdzie postawić, żaden z wielkich właścicieli ziemskich nie zgodziłby się, by z jego terenów – latyfundiów rozciągających się na dziesiątki, a nawet setki tysięcy hektarów – nadawało radio głoszące idee sprawiedliwości i równości w dostępie do patagońskich ziem. Czy entuzjazm dziennikarzy FM Che wystarczy, by zachwiać południowoargentyńskim feudalizmem?

– Cóż ci mogę powiedzieć… Jeśli wolisz na słodko, z serem ricotta i orzechami, na pewno ci posmakują – mówi Debora. – Ale moje ulubione to te z kurczakiem i warzywami, są świetne! – zachwala i dodaje z uśmiechem. – Nie tracę czasu, zawsze jest dobry moment, by sprzedać porcję pierogów!

„Owszem, jesteśmy socjalistami, feministami, obrońcami przyrody i praw ludności rdzennej: zajmujemy się radiem z miłości do społeczeństwa, nie z miłości do radia”.

Wojciech Ganczarek

Wyślij SMS o treści HURON

7412 koszt SMS 4,92 zł z VAT
7910 koszt SMS 11,07 zł z VAT
91950 koszt SMS 23,37 zł z VAT
i kup tapetę

Huron miał dom. Miał pracę. Miał też dach nad głową w pięknej, nowej stajni. Miał też swój własny padok, na który czasem wychodził. Niejeden powie, że miał dobre życie, a Hurona o zdanie nikt pytał nie będzie. Zresztą on sam, jak to koń — nie mówi. Może to i lepiej, bo mogłoby się okazać, że dla niego te piękne, kute pręty boksu to nic innego jak pręty klatki. Bo konie najpewniej zamiast drogich stajni wolałyby swobodę i towarzystwo innych koni. I żeby nikt od nich nic nie chciał. Tylko tyle... albo aż tyle...

Konie, które mieszkają w stajniach, komórkach i oborach przyszły na świat po to, by zaspokoić zachcianki ludzi. Z Huronem nie jest inaczej. To parobek, który latami zarabiał na swojego właściciela. Niewolnik, który miał robić, co mu kazano, bo za to dostawał jeść. Dziś, gdy końska siła straciła na wartości, a turystów korzystających z końskich grzbietów coraz mniej – o Hurona upomniała się rzeźnia. To ostatnia szansa, by na nim zarobić.

Dziś, uwiązany w oborze handlarza, nie może wiele zrobić. Człowiek jedną decyzją odebrał mu prawo do życia. Duży i ciężki, więc drogi. Jeszcze niestary. Idealny, by go zabić. I choć w tym Huronowym życiu nie było za wiele powodów do radości, to on chce żyć. Tyle że on sam nie może nic, bo choć zarabiał latami, nie ma ani grosza.

Życie wielkiego Hurona warte jest tyle, ile waży. Jeśli uda nam się uzbierać 13 800 zł będziemy mogli go wykupić i pokryć koszt transportu. Wtedy Huron będzie żył. Mamy czas na spłatę tylko do 18 grudnia.

Jeśli nie uda nam się wykupić Hurona, pójdzie on po trapie rzeźnickiej ciężarówki prosto do ubojni.

Jeśli chcesz i możesz pomóc, prosimy dokonaj darowizny z tytułem HURON na konto PKO BP 15 1020 5226 0000 6002 0220 0350.

Fundacja Centaurus, ul. Wałbrzyska 6-8, 52-314 Wrocław, tel. 518 569 487, tel. 518 569 488

Akcja prowadzona w ramach Kampanii Kochaj Mądrze Regulamin: http://centaurus.org.pl/rkkm

eprasa.pl c0b3b09a9c

Oliwki

z Zachodniego Brzegu

Zachodni Brzeg to część Palestyny administrowana przez Izrael i obejmująca obszar historycznych izraelskich krain Judei i Samarii na zachód od doliny Jordanu. Od lat stanowi zarzewie konfliktu między tymi państwami, dzielącego ludność i utrudniającego jej funkcjonowanie. Każdego ranka Palestyńczycy muszą przedostawać się na drugą stronę muru, na okupowane tereny, by móc zebrać plony ze swoich plantacji oliwek. Nie jest to łatwe. Są zdani na izraelskich żołnierzy.

FOT. HAZEM BADER/AFP/EAST NEWS

eprasa.pl c0b3b0

Azjatyckie biedronki atakują

Od 2006 r. przysparzają nam wielu problemów. Nietrudno wskazać winnego. To człowiek

Paweł Drąg

Pierwsze wrażenie robi całkiem niezłe. Modny zimą pomarańcz zdobią fantazyjne kropki różnej wielkości. Zdobienia mogą się kojarzyć z ekspresyjnymi maźnięciami pędzla. Nie sposób znaleźć dwóch identycznych okazów. Czasami występuje w odcieniach czerni, czerwieni i żółtego. Nawet wspomniane kropki to indywidualna historia. Niektóre osobniki nie mają ich wcale, ale zdarzają się i nosiciele 23 kleksów na grzbiecie. Ujmujący wygląd jest jednak złudny. To plaga, która od pewnego czasu terroryzuje Polskę.

Harmonia axyridis to gatunek chrząszcza z rodziny biedronkowatych pochodzący z Azji Wschodniej. Z harmonią ma niewiele wspólnego. Naukowcy ochrzcili go mianem *ninja* i nie jest to bezpodstawne skojarzenie. Niekiedy nazywany jest także azjatyckim lub arlekinowym. To owad wyjątkowo ekspansywny i inwazyjny, w ciągu kilku lat stał się zagrożeniem zarówno dla rodzimych gatunków bożych krówek, jak i dla zdrowia człowieka oraz jego działalności gospodarczej.

Arlekiny sprowadzono w XIX w. do Ameryki Północnej w celu zwalczania mszyc na polach uprawnych, w sadach, ogrodach i w uprawach szklarniowych. Miały być alternatywą dla środków owadobójczych. Sytuacja wymknęła się jednak spod kontroli, gdyż wyjątkowo łakomy gatunek niemal doprowadził do wymarcia tamtejszej biedronki dwukropki. Raz jeszcze okazało się, że człowiek nie powinien się wtrącać do spraw natury.

Problem jest wielowarstwowy. Reprodukcja arlekinów trwa dłużej niż u innych gatunków biedronek. Samica w ciągu całego życia może znieść od 1,6 tys. do 4 tys. jaj. Jednego dnia składa ich ok. 25. W okresie trwającego około dziesięciu dni rozwoju larwa zjada od 100 do 370 mszyc, a dorosły okaz od 15 do 65 mszyc dziennie. Gdy jednak brakuje pokarmu, *ninja* pochłania owady, w tym jaja i larwy innych biedronek. Mało które stworzenia są w stanie przeciwstawić się tej biedronce, gdyż nie doczekała się jeszcze naturalnych wrogów. To powód do niepokoju, ponieważ wyróżnia ją duża agresywność w odniesieniu do zwierząt zajmujących podobną niszę ekologiczną. A to z kolei oznacza poważne

Harmonia axyridis to gatunek chrząszcza pochodzący z Azji Wschodniej. Naukowcy ochrzcili go mianem ninja.

FOT. MYRIAMS-FOTOS/PIXABAY

eprasa.pl c0b3b09a9c

zagrożenie dla polskich biedronek. *Ninja* wcześniej od nich rozpoczynają wiosenną wegetację, skuteczniej się rozmnażają, są bardziej żarłoczne i drapieżne, do tego późną jesienią szybciej znajdują legowiska, zajmując je przed dwukropkami i siedmiokropkami. Azjaci są też więksi od tych pierwszych. Długość ich korpusów wynosi 5-8 mm, podczas gdy dwukropki osiągają 3,5-5,5 mm. Siedmiokropka jest podobnej wielkości co przybysz, ale kilka szczegółów pozwala je odróżnić. Przede wszystkim rodzima biedronka siedmiokropka ma, jak nazwa wskazuje, siedem kropek, po trzy na każdym skrzydle i jedną pośrodku. Arlekin, o czym wspominaliśmy, ma do 23 kropek. Siedmiokropka jest w kolorze czerwonym, azjatycka może być żółta, pomarańczowa, czerwona lub czarna. Nasza odmiana na przedpleczu jest czarna i ma dwie białe kropki, arlekin w tym miejscu ma czarny wzór w kształcie litery M, aczkolwiek często ten znak jest podzielony na kilka mniejszych plamek. Ciało osadnika ze wschodu jest poza tym nieco bardziej wypukłe.

Szybki wzrost populacji azjatyckich biedronek jest również związany z faktem, że nie są tak podatne na ataki europejskich owadów pasożytniczych jak nasze odmiany. Zagrażają im głównie muchówki i błonkówki. Osobniki żyją zwykle od 30 do 90 dni, co warunkuje zwłaszcza temperatura powietrza. Notuje się jednak takie z ponadtrzyletnim życiorysem.

Harmonia axyridis nie ogranicza się do pożerania innych owadów. Konsumuje pyłek kwiatowy i nektar oraz nadgryza dojrzałe owoce. Szczególnie upodobała sobie winogrona, co prowadzi do wielu szkód w przetwórstwie spożywczym, w tym w produkcji win. *Ninja* przegryza bowiem skórkę i wchodzi do owocu. Stwierdzono, że zaledwie kilka osobników zanieczyszcza winogrona i tym samym zmienia smak wina, a to wiąże się ze stratami finansowymi. Wszystko dlatego, że do trunku dostają się obecne w biedronkach alkaloidy o bardzo gorzkim smaku i metoksypirazyny o silnym, nieprzyjemnym zapachu.

W Europie agresywne biedronki po raz pierwszy zaobserwowano w 1964 r. na Ukrainie. Cztery lata później osiedliły się na Białorusi. Wkrótce lawinowo zaczęły występować w innych krajach kontynentu, dotarły również do nas. W 2006 r. zauważono je w Poznaniu. Początkowo w Polsce nie należały jednak do zbyt ekspansywnych, w naszym środowisku dawały sobie radę średnio. Z biegiem lat gatunek wyewoluował na tyle, że przystosował się do panujących w kraju warunków atmosferycznych, ale do dziś jest ich najmniej w północno-wschodniej części Polski ze względu na surowszy, kontynentalny klimat. *Ninja* tak bardzo nie przepadają za okresem jesienno-zimowym, że w tym czasie chowają się pod ziemią, w korze drzew i dziuplach. Na nieszczęście dla człowieka upodobały sobie również mieszkania, dlatego najczęściej można je znaleźć w szczelinach elewacji, a także we framugach okiennych czy futrynach. Otwarte okna traktują jako zaproszenie do wtargnięcia. Instynkt przetrwania kieruje je w stronę ciepła i miejsca odpowiedniego do przeczekania mrozu. Przemieszczają się w dużych grupach, więc ich skupiska składają się nawet z tysięcy osobników. Przy okazji tego gromadzenia się biedronki są bardziej pobudzone, z tego względu, siadając na nas, mogą ukąsić. Wprawdzie wszystkie gatunki biedronek wydzielają substancje toksyczne w celach obronnych, lecz azjatycki intruz tym się odróżnia od europejskich odmian, że gryzie. *Ninja* stosuje mechanizm obronny polegający na wydzielaniu pomarańczowej kropelki cieczy, czyli hemolimfy, która zawiera alergeny Har a 1 i Har a 2. U niektórych osób mogą one wywołać pokrzywkę na skórze albo nasilić objawy astmy. Należy więc unikać dotykania tych owadów, gdyż ich płyn obronny może pozostać na rękach. Stąd już prosta droga, by dostał się do oczu i spowodował zapalenie spojówek. Przy kontakcie z ubraniem skutkuje też trudnymi do usunięcia plamami.

W skrajnych przypadkach *ninja* mogą być niebezpieczne dla zwierząt. Arlekiny połknięte przez psy i koty wydzielają związki obronne, mogące powodować podrażnienie i owrzodzenie jamy ustnej czy przewodu pokarmowego. Znane są sytuacje, gdy przyklejone w większej liczbie do podniebienia psa prowadziły do jego ospałości i osłabienia. Symptomem, który musi wzmóc czujność właściciela zwierzęcia, jest także nadmierne ślinienie się lub widoczna piana na pysku.

Trudno z arlekinami walczyć, więc wdrożenie kilku działań zapobiegawczych może być koniecznością. Dobrze mieć należycie uszczelnione okna i drzwi, a przy otwartych używać moskitier. Biedronki nie lubią woni chryzantem, mentolu i kwaśnych owoców, np. cytryn. W miejscach zacienionych, czyli na strychach i w piwnicach, skuteczną metodą na wyłapywanie arlekinów jest stosowanie wszelkiego rodzaju lamp owadobójczych.

Wraz ze zmianą klimatu na cieplejszy przedstawiciele fauny i flory, którzy dotychczas nie występowali w Europie, teraz zadamawiają się coraz częściej. Wśród gatunków inwazyjnych na kontynencie mamy już afrykańskiego kleszcza, komara tygrysiego, a także ćmę bukszpanową. A biedronki azjatyckiej jest tak dużo, że usunięcie jej z naszego środowiska stało się praktycznie niemożliwe. Wprawdzie dałoby się ją wytruć środkami na owady, ale ofiarą tych działań padłyby i nasze biedronki. To wykluczone, gdyż poważnie zachwiałoby naturalnym porządkiem. Z kolei brak reakcji powoduje, że w kolejnych latach arlekinów będzie coraz więcej. Jedyna nadzieja w przyrodzie, która być może sama poradzi sobie z kłopotem. Kibicujmy choćby naszym pająkom! ■

Biedronki azjatyckiej jest tak dużo, że usunięcie jej z naszego środowiska stało się praktycznie niemożliwe.

Osobniki żyją zwykle od 30 do 90 dni. Notuje się jednak takie z ponadtrzyletnim życiorysem.

eprasa.pl c0b3b09a9c

Ile jest warte życie niedźwiadka

Trzy uderzenia kamieniem w głowę

Bartomiej Kuraś

Zdaniem pracowników Tatrzańskiego Parku Narodowego to ludzie bardziej zagrażają zwierzętom w górach niż zwierzęta ludziom. Jolanta i Michał od ponad trzech lat byli małżeństwem. Michał, lat 30. Zawód wyuczony: piekarz. Wykonywany: stolarz w fabryce mebli. O sześć lat młodsza Jolanta skończyła ogólniak i była sekretarką w zakładzie meblarskim. W tej samej firmie pracował ich kolega Daniel, tapicer, żonaty z Beatą. Daniel i Beata mieli odwiedzić Tatry pierwszy raz w życiu. Cała czwórka do Zakopanego przyjechała w sobotę 20 października 2007 r. z Lubawy i jej okolic w województwie warmińsko-mazurskim.

W niedzielę wstali za późno, żeby zdążyć się wspiąć wysoko. Spadł świeży śnieg, wyszli dopiero po godzinie 11 w Dolinę Kościeliską. Postanowili wracać żółtym szlakiem przez Iwaniacką Przełęcz i dalej Doliną Chochołowską. I właśnie schodząc z przełęczy, spotkali niedźwiadka. Szedł powoli z naprzeciwka.

Relacja Beaty: – Misiek rzucił się na Michała. On jakoś się schylił, a misiek przeleciał przez niego. Michał powiedział, że musimy go przytopić, bo nie damy rady się od niego uwolnić.

Relacja Daniela: – Byłem pierwszy raz w górach. Nie wiedziałem nawet, jak nazywa się szlak, którym szliśmy. Nie pamiętam, czy ja, czy moja żona zaczęła rzucać bułki, które mieliśmy ze sobą. Chwyciliśmy miśka, zsunęliśmy się do potoku. We trójkę, bez Beaty, zaczęliśmy trzymać łeb niedźwiedzia pod wodą. Jak niedźwiedź przestał się ruszać, to go puściliśmy. Michał wtedy wziął kamień i chyba trzy razy uderzył tego niedźwiedzia w głowę. Para, która szła za nimi, to Marta (21 lat) i Mirosław (24 lata) spod Tarnowa. Mimo nawoływań Michała i Jolanty nie pomogli topić niedźwiadka.

Relacja Mirosława: – Widziałem, jak we troje kolanami dociskali go do podłoża, a pysk trzymali mu w wodzie. Dziewczyna krzyczała, żeby nie puszczać go przez 15 minut. Po chwili niedźwiadek przestał się ruszać. Nie chciałem się w to angażować. Zabroniłem też Marcie. Sumienie mi nie pozwalało, aby trzymać niedźwiadka i go topić.

Turyści twierdzili, że to niedźwiedź ich zaatakował, ale obrażenia nie wskazywały, by bronili się przed groźnym napastnikiem.

Później mówili prokuratorowi, że Michał pierwszy zauważył zwierzę. Krzyknął do pozostałych, czy widzieli kiedyś niedźwiedzia. Bo jeśli nie, to mają okazję.

Nie uciekali, bo – jak twierdzili – zwierzę przypuściło na nich atak i nie było już czasu na odwrót.

Relacja Michała: – Zauważyliśmy, że na szlaku znajduje się niedźwiedź ważący według mnie ok. 100 kg. Za nami szła para nieznajomych osób. Było nas wtedy łącznie sześcioro. Trzy kobiety i trzech mężczyzn. Stałem pierwszy na drodze tego misia. Kiedy podszedł do mnie, zaczął warczeć i stawać na dwóch łapach.

Relacja Jolanty: – Postanowiliśmy rzucić mu jedzenie, sądząc, że zje i odejdzie od nas.

Relacja Michała: – Kiedy już było po wszystkim, krzyczałem, byśmy uciekali, gdyż w pobliżu może być jeszcze dorosły niedźwiedź. Daniel w trakcie ucieczki zrobił zdjęcie nieżyjącemu już niedźwiadkowi.

Z prokuratorskiego śledztwa wynika, że zaraz po utopieniu zwierzęcia turyści byli dumni, że dali radę dzikiemu drapieżnikowi. W notatce służbowej zakopiański policjant napisał: „W rozmowie telefonicznej opowiadali o zajściu i oczekiwali honorarium za wywiad i zdjęcia, jakie posiadają. Ponadto jeden z rozmówców powiedział, że jest lepszy od Pudzianowskiego, ponieważ sam załatwił niedźwiedzia".

W dyżurce Tatrzańskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego zanotowano: „O godzinie 20.40 zadzwoniła kobieta, która brała udział w zabiciu niedźwiedzia, z pytaniem, czy ratownicy ostrzegli turystów o tym, że może się tam znajdować jeszcze matka niedźwiadka. Turystka w trakcie rozmowy wyrażała wielką satysfakcję z udziału w zabiciu niedźwiedzia".

Podobne wrażenie odniósł Sylweriusz Kosiński, wicedyrektor zakopiańskiego szpitala, kiedy Jola i Michał przyjechali wprost z góry na opatrzenie ran.

– Twierdzili, że to niedźwiedź ich zaatakował, ale obrażenia wcale nie wskazywały, by bronili się przed groźnym napastnikiem. Na ciele nie nosili żadnych wyraźnych śladów zębów czy pazurów. Kobieta miała starty opuszek palca, a mężczyzna obtarcia na przedramionach i udach. To niezbyt groźne obrażenia. Zachowanie turystów nie kwalifikowało się jako obrona konieczna przed groźnym drapieżnikiem. Mały niedźwiadek nie mógł im wyrządzić wielkiej krzywdy – opowiadał mi kilka dni po zdarzeniu doktor Kosiński.

Taką opinię wydał też biegły sądowy powołany przez prokuraturę: „Atak niedźwiedzia spowodowałby rozleglejsze zranienia". Sami turyści byli zdziwieni reakcjami ludzi w Zakopanem, którym opowiedzieli o spotkaniu z niedźwiedziem.

Relacja Joli: – W rozmowie z TOPR-em odnieśliśmy wrażenie, że jesteśmy obwiniani o śmierć misia. Powiedziano nam, że to my byliśmy w domu niedźwiedzia, a nie on w naszym.

W to, co wydarzyło się w październiku 2007 r. poniżej Iwaniackiej Przełęczy – pomiędzy Doliną Kościeliską i Doliną Chochołowską – trudno było uwierzyć leśnikom Tatrzańskiego Parku Narodowego. Żeby młody niedźwiadek zaatakował turystów? Nigdy nie słyszeli o takim przypadku. Dlatego wystąpili przed sądem w roli oskarżycieli posiłkowych.

Kilka tygodni przed tym zdarzeniem zaobserwowali w rejonie

eprasa.pl c0b3b09a9c

młodego niedźwiedzia, który odłączył się od matki, ale nie mieli żadnych informacji, żeby się agresywnie zachowywał czy choćby zbliżał do ludzi.

– Jeszcze nigdy w historii TPN nie zdarzyło się, by turyści zabili niedźwiadka – mówił Zbigniew Krzan, ówczesny wicedyrektor parku. Leśnicy zbadali zwłoki niedźwiadka i miejsce jego śmierci. Ich ustalenia zaprzeczyły wersji podanej przez turystów. Zwierzę ważyło 46 kg, a nie 100. Na Iwaniackiej Przełęczy walały się resztki bułek rozrzucone wzdłuż szlaku na dużej przestrzeni, a nie tylko w jednym miejscu, co oznacza, że niedźwiadek mógł zostać zwabiony jedzeniem przez wycieczkowiczów. Miał niespełna dwa lata, dopiero co odłączył się od matki. Uczył się samodzielności.

– Taki niedźwiadek nie stanowi zagrożenia dla dorosłej osoby. Z reguły wystarczy głośniej się zachować i zwierzę odchodzi. Jeśli ten mały niedźwiadek był karmiony przez przechodzące szlakiem osoby, mógł się do nich zbliżyć i być natarczywy. Ale nie był zagrożeniem dla życia z uwagi na swoje niewielkie rozmiary i wiek. Można było odstraszyć go kijem – stwierdził Jarosław Rabiarz, ówczesny komendant straży TPN.

Na niedźwiedziach w Tatrach nikt się nie zna tak jak wicedyrektor TPN Filip Zięba, który od kilkunastu lat prowadzi w parku prace nad planem ochrony tych drapieżników. Zięba nie lubi, gdy o niedźwiedziu mówi się „miś":

– Bo wtedy ludzie myślą, że takiego sympatycznego misia można pogłaskać, poczęstować kanapką i zrobić sobie z nim zdjęcie. A to przecież jest dzikie zwierzę. Takim zachowaniem wyrządza mu się wielką krzywdę – niedźwiedź zatraca cechy dzikości i zaczyna szukać pożywienia u ludzi.

TPN prowadzi akcję edukacyjną właśnie pod hasłem: „Niedźwiedź to nie miś". Specjalne broszury mają przypominać wycieczkowiczom, że te zwierzęta to nie żywe maskotki. Po polskiej stronie Tatr żyje kilkanaście niedźwiedzi brunatnych. Największą szansę na spotkanie z nimi turyści mają w rejonie Morskiego Oka, a także w Dolinie Strążyskiej i Kuźnicach. Niedźwiedzie mają też gawry w Tatrach Zachodnich, w których znajduje się Dolina Chochołowska, ale zwykle stronią od towarzystwa człowieka.

•

Turystom z Lubawy prokuratura zarzuciła „spowodowanie zniszczenia w świecie zwierzęcym w znacznych rozmiarach".

– Biegły przyjął, że populacja niedźwiedzi w całych Tatrach, polskich i słowackich, waha się od 50 do 60 osobników. Zabity niedźwiadek stanowił więc ok. 2% tej populacji. Ważnym wskazaniem jest to, że był już samodzielny i dobrze czuł się w tatrzańskim środowisku – tłumaczył Zbigniew Lis, ówczesny prokurator rejonowy z Zakopanego.

Oskarżeni bronili się przed sądem, twierdząc, że zabili niedźwiadka w obronie własnej. – Niedźwiedź pierwszy się na nas rzucił, był bardzo agresywny – mówił Daniel. Uważali, że padli ofiarą nagonki.

Daniel: – Telewizja zrobiła z nas zabójców.

Jola: – Wszyscy interesują się losem misia, nikt tym, co się z nami dzieje.

Cała trójka wysłała list protestacyjny do policji, prokuratury i Zbigniewa Ćwiąkalskiego, który był wtedy ministrem sprawiedliwości: „Mamy wrażenie, że w tej sprawie człowiek nie jest w ogóle brany pod uwagę. Dochodzimy do wniosku, że życie ludzkie i godność człowieka nie są ważne. Słyszymy ciągle, że powstała wielka szkoda w świecie zwierzęcym, ale nikt nigdy nie pomyślał o naszej szkodzie. Nie zgadzamy się z opinią pracowników Tatrzańskiego Parku Narodowego, którzy twierdzą, że niedźwiedź ten był bardzo mały, nie stworzył bezpośredniego zagrożenia naszego życia i można go było odstraszyć kijem".

W rodzinnych stronach turystów nikt głośno złego słowa o nich nie powiedział. Szefowie zakładów meblarskich, w których są zatrudnieni, niechętnie rozmawiali na temat swoich pracowników. Nie chcieli, żeby nazwa ich firmy była wymieniana w kontekście zabicia niedźwiadka:

– To mogłoby zaszkodzić naszym produktom.

– Matce Bożej powinni podziękować, że dała im siłę niedźwiedzia zwyciężyć. A gadaniem jakichś zielonych ekologów nie ma się co przejmować. Jakże to, zwierzę ma być ważniejsze niż człowiek? Przecież nigdy tak nie było! – oburzyła się sprzedawczyni ze spożywczego w Lubawie, układając skrzynki z piwem. – Nie żeby przyrody nie trzeba było szanować. Przecież piwo z żubrem u nas bardzo dobrze schodzi, bo ludzie lubią zwierzęta – dodała.

•

W czerwcu 2008 r. zakopiański sąd uznał, że troje turystów z Lubawy i okolic jest winnych zabicia niedźwiadka w Tatrach. Spotkałem ich wtedy na korytarzu sądowym, widziałem w sali rozpraw. Byli smutni, ale też rozżaleni.

Sędzia Marek Marchalewicz stwierdził, że największą winę ponosi

Ustalenia leśników zaprzeczyły wersji turystów. Zwierzę ważyło 46 kg, a nie 100.

Turyści w Dolinie Chochołowskiej zabili rocznego niedźwiadka i utopili go w potoku, październik 2007 r.

FOT. ADRIAN GŁADECKI/REPORTER

eprasa.pl c0b3b09a9c

Michał, który namawiał pozostałą dwójkę do utopienia zwierzęcia. Dlatego ukarał go najsurowiej – karą ośmiu miesięcy ograniczenia wolności, które polegało na oddawaniu przez skazanego przez ten czas 15% swojej pensji. Michał musiał też wpłacić nawiązkę w wysokości 800 zł na rzecz Tatrzańskiego Parku Narodowego. Jolanta i Daniel także otrzymali karę ograniczenia wolności, ale na okres czterech miesięcy i przez ten czas oddawali po 15% swoich zarobków, wpłacili również nawiązki na rzecz TPN po 500 zł.

Wynika z tego, że zabicie niedźwiadka kosztowało Michała ok. 3 tys. zł, a pozostałą dwójkę – mniej niż po 2 tys. Prokurator żądał surowszej kary dla oskarżonych: od sześciu do ośmiu miesięcy kary więzienia w zawieszeniu na trzy lata, od 1500 do 1600 zł grzywny i po 500 zł na rzecz TPN. Obrona wnioskowała o umorzenie sprawy.

Dyrekcja Tatrzańskiego Parku Narodowego – jako oskarżyciel posiłkowy – sama wnioskowała, by nie skazywać turystów na karę więzienia, nawet w zawieszeniu, ale na ograniczenie wolności w postaci prac społecznych na rzecz TPN.

Taki niedźwiadek nie stanowi zagrożenia dla dorosłej osoby. Z reguły wystarczy głośniej się zachować i zwierzę odchodzi.

– Najważniejsze, że zostali w ogóle skazani i uznani za winnych zabicia niedźwiadka. To czytelny sygnał dla wszystkich wybierających się w Tatry, że to człowiek jest w nich gościem, a zwierzęta gospodarzem – komentował wyrok po wyjściu z sali rozpraw Paweł Skawiński, ówczesny dyrektor TPN.

Sędzia uznał, że wnioskowane przez TPN prace społeczne w Tatrach byłyby dla skazanych zbyt uciążliwe – mieszkają bowiem na drugim końcu Polski.

– Oskarżeni mogli się czuć zagrożeni zachowaniem dzikiego niedźwiadka. Działali w stanie wyższej konieczności, obawiając się o swoje zdrowie i życie, ale przekroczyli granice koniecznego działania w swojej obronie – argumentował w uzasadnieniu wyroku Marek Marchalewicz.

•

Niedźwiadek zabity przez turystów stanął wypchany jako eksponat na wystawie w zakopiańskim Centrum Edukacji Przyrodniczej Tatrzańskiego Parku Narodowego. Ku przestrodze – żeby już nigdy zwierzę nie zostało zabite w taki sposób.

– To ofiara ludzkiej bezmyślności i okrucieństwa. Wolelibyśmy nigdy nie pokazywać takiego okazu. Skoro został zabity, postanowiliśmy uczynić z niego przestrogę dla osób wędrujących po górach – tłumaczy Paweł Szczepanek z Tatrzańskiego Parku Narodowego, który przygotowywał wystawę. Obok wypchanego niedźwiadka umieszczono tablicę informującą o jego tragicznej historii.

Fragmenty książki Bartłomieja Kurasia. *Niech to szlak. Kronika śmierci w górach*, Agora, Warszawa 2020

eprasa.pl c0b3b09a9c

Co Polsce służy, a co ją ośmiesza

Niósł ślepy kulawego. Kilka dni temu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych wiceminister Szymon Szynkowski vel Sęk i członek zarządu TVP Mateusz Matyszkowicz (jest taki) podpisali porozumienie „w sprawie wspólnych działań wzmacniających pozytywny wizerunek Polski i Polaków zagranicą" – pisownia oryginalna.

O, Jacek Kurski… I on, i instytucja, którą kieruje, wyjątkowo pasują do tego, by „wzmacniać pozytywny obraz Polski".

Zresztą przeczytajmy dalszą część komunikatu (nadal pisownia oryginalna): „Porozumienie o współpracy ma przyczynić się do lepszego wykorzystania potencjału obu instytucji i wspierać budowę marki naszego kraju zagranicą, zwłaszcza w trakcie pandemii COVID-19, która ma istotny wpływ na aktywności placówek zagranicznych MSZ.

Deklarowana w dokumencie współpraca obejmować będzie m.in. promocję polskiej prezydencji w Grupie Wyszehradzkiej, promocję członkostwa Polski w Radzie Praw Człowieka ONZ w latach 2020-2022, promocję aktywności Polski na forum ONZ w kontekście obchodów Roku Pokoju i Zaufania (2021 r)., promocję polskiej tradycji konstytucyjnej w związku z 230-leciem uchwalenia Konstytucji 3 Maja oraz 100-leciem uchwalenia Konstytucji marcowej".

W komunikacie nie podano, ile MSZ będzie za takie usługi płaciło TVP, a szkoda, bo wygląda to raczej na kolejny sposób na wpychanie firmie Jacka Kurskiego pieniędzy niż na jakąś przemyślaną inicjatywę.

Bo jak oni to sobie wyobrażają, że będą promować za granicą, za pomocą TVP, Konstytucję 3 maja? I w ogóle trudno ogarnąć te wszystkie obietnice i wyliczanki, z których chyba tylko jedna jest konkretna i ważna – że z powodu pandemii aktywność polskich placówek (i tak niewielka) zmalała niemal do zera. Siedzą dyplomaci po domach, rzadko wychodzą na ulice, nie chodzą na przyjęcia, nie zagadują, nie lobbują – i może to dobrze.

À propos budowy marki pod nazwą Polska za granicą. Gdy jeszcze covidu nie było, w MSZ wymyślono podobnego typu działania, realizować je miały Departament Polityki Kulturalnej i Instytuty Polskie. Wtedy też, w założeniach, chodziło o promowanie Polski. A polegało to na tym, że w placówkach wycięto z zaproszeń nieprawomyślnych twórców, m.in. Olgę Tokarczuk, a zapraszano „swoich". Na przykład dziennikarzy. Cała lista „gości mile widzianych" została wysłana do Instytutów Polskich.

A teraz, jakby na złość i Jackowi Kurskiemu, i innym pisowskim specom od „wzmacniania pozytywnego obrazu Polski" nową prezydentką Europejskiej Akademii Filmowej została Agnieszka Holland. Stowarzyszenie założyli Ingmar Bergman i 40 innych twórców. A znane jest m.in. z przyznawania Felixów.

OK. Tym razem wicepremier Gliński nie dywagował, czy filmy Holland ogląda do końca, i jej pogratulował. Takie nieszczęście ma bowiem obecna ekipa rządząca, że to ci, których uważa za przeciwników i których chętnie ściągnęłaby w dół, są w świecie szanowani i oklaskiwani. A „twórcy", których chciałaby promować, i „dzieła" takie jak film „Smoleńsk", w najlepszym razie są pomijani.

I nawet 50 umów z TVP tego nie zmieni. Bo Zenkiem Martyniukiem podbijać można Greenpoint, ale inne rejony świata – już trudniej.

Attaché

Specjalna tratwa posłużyła do ratowania żyraf z wyspy Longicharo, którym groziło utonięcie po podniesieniu się wód jeziora Baringo w Kenii.

FOT. AMI VITALE/REUTERS/FORUM

eprasa.pl c0b3b09a9c

JOLKA

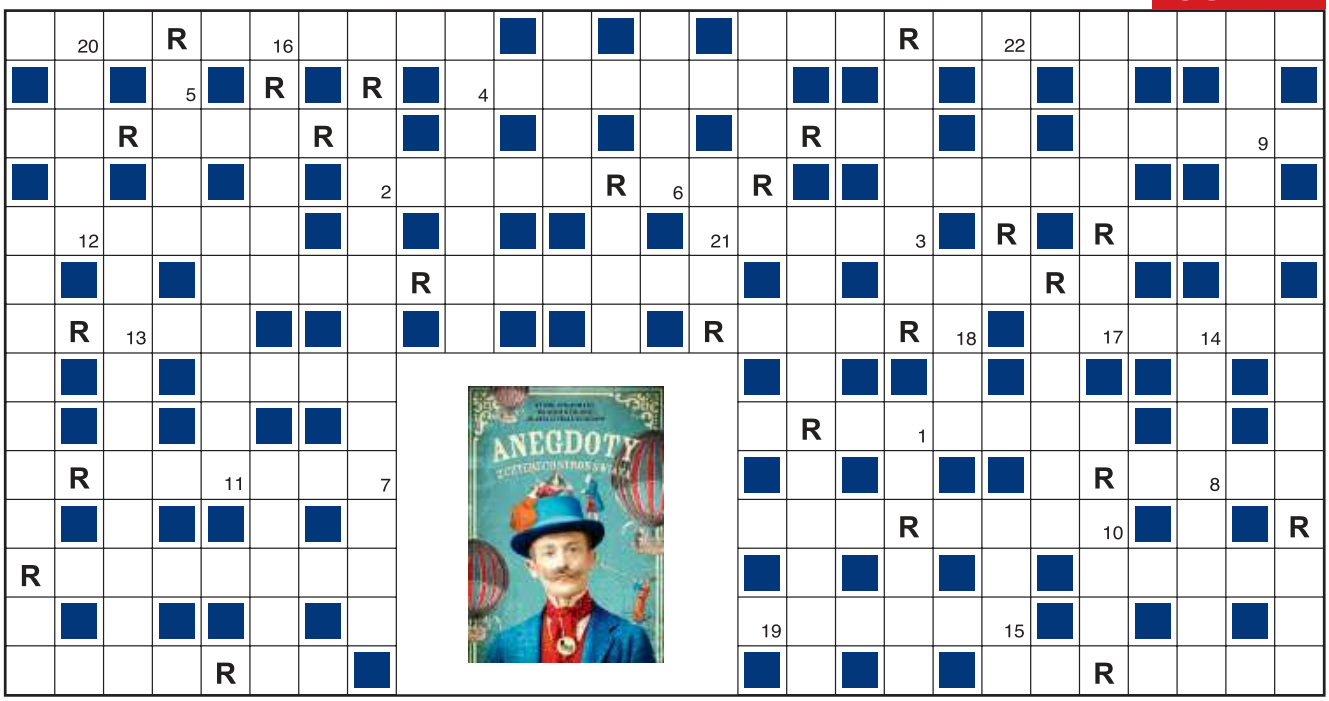

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery R ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 22 utworzą końcowe hasło.

- okazywanie podziwu, czci
- szalik ze słowa klisza
- …Narodów – św. Paweł
- krzew o ciemnych, błyszczących owocach na przetwory
- wyróżniały Presleya
- samochód z gruszką, na budowie niezbędny
- dwugłowy mięsień ramienia
- bielik i bohater „Człowieka z marmuru”
- choć nam się marszczy, idziemy przez życie w podskokach
- mały sklep z ekskluzywną odzieżą
- hiszpańskie nie służyły do noszenia
- wolny – nieznany pracoholikowi
- trufla lub pralinka
- czynione przez prawego
- nieprzymusowość, na ochotnika
- zbiorczo o małych dzieciach, o dużej liczbie małych zwierząt
- bania na grządce
- sprzedaje towary za granicę
- poetyckie określenie powietrza
- umieści inicjały na obrączce
- opisywane przez Scotta m.in. w „Klejnocie Korony”
- tam po referendum zliberalizowano prawo aborcyjne
- wiązana na nią sznurówka
- wypadek na trasie wyścigu kolarskiego
- odbitka dokumentu
- postępowanie właściwe spryciarzowi
- tolerancyjny wobec cudzych poglądów i zachowań
- parkowe drzewo o dużych, białych lub różowych kwiatach
- …ciszy dla uczczenia pamięci
- Karol w historii albo ryba w morzu
- jedzie wyciągiem na szczyt
- lokum dla holenderek
- dawniej o proboszczu
- mieć na nim – pod ręką, na zawołanie
- prognozy, przypuszczenia
- kartonowe po butach
- …prawny w przedsiębiorstwie
- krawędź, brzeg czegoś
- dawny urzędnik dokonujący kontroli
- suszone winogrona
- poetycko potok, strumień
- lada chwila się zawali
- pod kimś – zajęcie intryganta
- od ryjówki po płetwala błękitnego
- ugodziła Achillesa w piętę
- iść jak na nie – niechętnie
- minerał z Gór Izerskich
- poprzedzają morele
- porcja kurczaka do obgryzienia
- nie jest nim ktoś dobrze zbudowany, silny
- zajrzenie do czegoś, zbadanie, skontrolowanie
- wyciągane żurawiem ze studni

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-991”. Do rozlosowania książki „Anegdoty z czterech stron świata” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 20 grudnia 2020 r.

Rozwiązanie „JOLKI-988” z nr. 48: *Marzenia to konieczność.*
Nagrody otrzymują: Anna Budna z Olsztyna, Wojciech Kłosowski z Warszawy, Magdalena Pyra z Lublina.

eprasa.pl c0b3b09a9c

PENETRACJE

PROF. JERZY J. WIATR, SOCJOLOG

Mamy paradoksalną sytuację, w której równolegle występują procesy laicyzacji i radykalizacja katolickiego fundamentalizmu. Te dwa procesy wzajemnie się wzmacniają. Radykalizacja fundamentalizmu jest reakcją na laicyzację – tyle że reakcją przynoszącą skutki odwrotne do zamierzonych. Laicyzacji nie da się zatrzymać, a tym bardziej cofnąć. Nie jest ona wynikiem zorganizowanych działań, lecz skutkiem procesów zmiany społecznej, które czynią wczorajszy typ katolicyzmu coraz bardziej anachronicznym.

PIOTR GAJDZIŃSKI, PUBLICYSTA

Jarosław Kaczyński wzniecił pożar, ale do jego gaszenia zgłaszać się będą kolejni strażacy. Nie jest tak, że marszałkowska buława spoczywa tylko w plecaku Morawieckiego czy Ziobry. Podobnie myślą o sobie Joachim Brudziński i Beata Szydło, która chciałaby stanąć na czele partii choćby tylko po to, aby zemścić się na swoim następcy w gabinecie premiera. Posłowie PiS mówią, że wielkie ambicje obudziły się ostatnio także w Mariuszu Błaszczaku, co jest częstą przypadłością ludzi zbyt długo przebywających wśród trzaskających obcasami generałów. Jest Andrzej Duda, który jeśli nawet nie przymierza się do objęcia funkcji prezesa PiS, to chciałby mieć w tej rozgrywce coś do powiedzenia.

DR ADAM TAŃSKI, BYŁY MINISTER ROLNICTWA I PREZES AWRSP

Zachęcam do tego, aby dokładnie przyjrzeć się ustawom, które utrudniają obrót ziemią, i wycofać się z szeregu ograniczeń, które nie wiadomo czemu mają służyć. Warto pomyśleć także nad reformą systemu ubezpieczeń społecznych i dopłat bezpośrednich, które dziś zamiast stymulować produkcję rolną, mają jedynie charakter socjalny. Koniecznie trzeba przemyśleć politykę regionalną, bo nie może być taka sama dla gospodarstw z województwa podlaskiego i Kujaw.

PROF. WŁODZIMIERZ GUT, WIRUSOLOG

Istnieje pewna sfera absolutów w naszym myśleniu, która jest bliższa odczuciom religijnym, a nie odczuciom racjonalnym. Z tą sferą się nie dyskutuje. Wie pani, co się odpowiada na zdanie: „Pan mnie nie będzie uczył!"? Nie będę. To nic nie da. Jedyną szansą w wypadku podejścia religijnego do pandemii jest nawrócenie przez kontakt bezpośredni.

Żyje się tylko raz – Stańczyk protestuje w ramach Ogólnopolskiego Strajku Kobiet przy pomniku Adama Mickiewicza na Rynku Głównym w Krakowie.

FOT. ARTUR BARBAROWSKI/EAST NEWS

Aby język giętki…

STANISŁAW TYM O ANDRZEJU DUDZIE
Porównując powstanie Radia Maryja do Cudu nad Wisłą, zhańbił siebie, urząd i historię.

KRYSTYNA ZACHWATOWICZ-WAJDA O KARD. STANISŁAWIE DZIWISZU
On jest osobiście odpowiedzialny za pochowanie Kaczyńskiego na Wawelu.

ILONA ŁEPKOWSKA O OPOZYCJI
To tylko takie… poszczekiwanie, a nie poważna, konstruktywna opozycja.

OLGA TOKARCZUK O KULTURZE INTERPRETACJI
Uświadomienie sobie wielopiętrowości sensów chroni nas przed chorobą literalizmu, dogmatyzmu i fanatyzmu.

IGOR TULEYA O ZBIGNIEWIE ZIOBRZE
Z braku szacunku do niego nie ma dla mnie żadnego znaczenia, co mówi na mój temat.

BEATA TYSZKIEWICZ O KRYSTYNIE JANDZIE
Jest prawdziwą aktorką. Wszechstronna, pełna planów, ambicji, bardzo pracowita.

GRAŻYNA BISKUPSKA O PRZESTĘPCACH
Zatrzymałam kilkuset. Mieszkam w tej samej dzielnicy od wielu lat, niektórych spotykałam w osiedlowym sklepie. Uśmiechali się i mówili „dzień dobry".

ARKADIUSZ JAKUBIK O MŁODYCH LATACH
Piło się tanie wino, wracało nad ranem, śpiewając piosenki i podbierając sąsiadom mleko w szklanych butelkach.

ADAM FERENCY O JĘZYKU
Używa się wzniosłych słów, żeby zaszpachlować najbardziej pospolite kłamstwa.

ANNA DERESZOWSKA O TERAPII
Nie można podnosić sobie poprzeczki w nieskończoność. Terapia nauczyła mnie mówić: stop!

EWA WACHOWICZ O KOGUTACH
Jak kogut kury broni, jest bardzo zadziorny, potrafi skoczyć na głowę.

eprasa.pl c0b3b09a9c

Szmery bajery

Studenci i studentki Politechniki Wrocławskiej i Uniwersytetu Medycznego we Wrocławiu stworzyli stetoskop na miarę XXI w. Zastosowane w nim cyfrowe przetwarzanie dźwięku umożliwia redukcję szumu otoczenia oraz regulację głośności, a w konsekwencji bardziej precyzyjne osłuchiwanie pacjentów. Dzięki współpracującej ze stetoskopem aplikacji mobilnej można m.in. bezprzewodowo przesyłać dźwięk prosto do słuchawek, a także udostępniać go innym specjalistom w celu konsultacji. Trwają prace nad wykorzystaniem sztucznej inteligencji do porównywania nagrań z wzorcowymi, co pozwoli wyłapywać np. subtelne szmery wskazujące na wady zastawek serca.

Małżeństwo po włosku

Mieszkaniec Como w Lombardii po kłótni z żoną trzasnął drzwiami i poszedł… do oddalonego o 450 km Fano. 48-latek wybrał tę nadmorską miejscowość, gdyż kilka lat wcześniej spędzał tam wakacje. Spontaniczny wędrowiec maszerował średnio 65 km dziennie, a żywił się tym, co podarowali mu napotkani ludzie. Na miejscu został zatrzymany i ukarany mandatem za złamanie godziny policyjnej, wprowadzonej na czas epidemii. Na wieść o odnalezieniu zaginionego jego małżonka wsiadła w auto i ruszyła po niego nad Adriatyk. Nie od dziś przecież wiadomo, że „rodzina nie cieszy, nie cieszy, gdy jest, lecz kiedy jej ni ma…”.

Żeby mu zagrali, podskoczyłby jeszcze?

W stolicy Trynidadu i Tobago, Port-of-Spain, odbyła się uroczystość pogrzebowa, na którą nie wpuszczono nieboszczyka. Doczesne szczątki 29-letniego Che Lewisa, didżeja, który wraz z ojcem Adlayem został zastrzelony we własnym domu, dotarły do kościoła zabalsamowane w pozycji siedzącej, w otwartym karawanie odtwarzającym muzykę z głośników. Co więcej, zmarły był przyodziany w białe spodnie, różową marynarkę i okulary przeciwsłoneczne. Przedstawiciele parafii oświadczyli, że do budynku nie mogą być wnoszone zwłoki nieznajdujące się w trumnie, dlatego młodszego denata pozostawiono na krześle przy wejściu. Balsamacja musiała być udana, gdyż niektórzy zmierzający na ostatnie pożegnanie krytykowali brak maseczki na twarzy siedzącego młodzieńca.

Trening czyni mistrza. Wielka Brytania – zimorodek do perfekcji opanował łapanie ryb. Kuwejt, Al-Dżahra – papugi intensywnie ćwiczą z opiekunami.

Czy się leży, czy się leży…

Doniosły wynalazek powstał w Las Vegas. Firma Jubilee Furniture zaprojektowała łóżko, z którego można praktycznie nie wstawać. Mebel został zintegrowany m.in. z fotelem do masażu, dwoma pluszowymi siedzeniami i stolikiem na przekąski, ruchomym podestem na biurko, półką, stacją ładującą i obszernym schowkiem. Hariana Tech Smart Ultimate Bed jest dostępne w kilku wariantach kolorystycznych, za jedyne 2799 dol., ale chyba wstrzymamy się z zakupem i poczekamy na wersję z lodówką , barkiem i toaletą.

COVID w promocji

Koszalińska firma Meden-Inmed „w trosce o zdrowie oraz bezpieczeństwo Klientów” zdecydowała się obniżyć ceny na wybrany asortyment z zakładki COVID-19. Do 20 grudnia mamy możliwość taniej wyposażyć się w „produkty

MEMY BEZ ŚCIEMY

eprasa.pl c0b3b09a9c

pomocne w walce z pandemią". Bezdotykowy dozownik płynu do dezynfekcji rąk ze stojakiem przeceniono z 799 na 699 zł brutto. Godna uwagi jest też promocja na jednoetapowy test immunochromatograficzny – opakowanie zawierające 25 sztuk tego cennego dobra, które jeszcze niedawno kosztowało 1099 zł brutto, może być nasze za 949 zł brutto. Dodajmy, że za ten ostatni zakup otrzymamy 155 punktów lojalnościowych, które mogą być zamienione na bon o wartości 31 zł. Oferta, że żyć, nie umierać!

Hologram w dom, gość w dom

Martwisz się, że ze względu na antyepidemiczne przepisy będziesz musiał(a) spędzić święta bez ulubionego towarzysza hulanek? Spokojnie! Zacytujmy ofertę z popularnego serwisu ogłoszeniowego: „Smutno Ci na myśl o wigilii w gronie 5 osób? Ale przede wszystkim nie wyobrażasz sobie wigilii bez... ulubionego szwagra? Kup Hologram 3D i zastąp szwagra jego hologramem! To urządzenie pozwala na wyświetlenie wybranej animacji w technologii 3D w rozdzielczości 640x640. Wymiary projektora: 50x15x13 cm. Liczba diod LED: 350. Zasilacz i karta micro SD 16 GB w zestawie!". Cena: 1700 zł, wigilia ze szwagrem: bezcenna!

FOT. A-MEM, FB.CM/GORSZYSORTPOLAKOW, FACEBOOK, JOHN PRINGLE/CATERS NEWS/FORUM, GHAZY QAFFAF/XINHUA NEWS/EAST NEWS

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego: Robert Walenciak
e-mail: r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków), Anna Brzeska, Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra), Paweł Drąg, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń), Adam Godlewski, Beata Igielska, Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork), Maja Marklowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Wojciech Osiński (Berlin), Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan, Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Roman Kurkiewicz, Bronisław Łagowski, Edward Mikołajczyk, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Karina Krystosiak, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych
Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl
Sekretariat fundacji i redakcji:
Izabela Strupiechowska
Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120
WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, IBAN: PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

eprasa.pl c0b3b09a9c

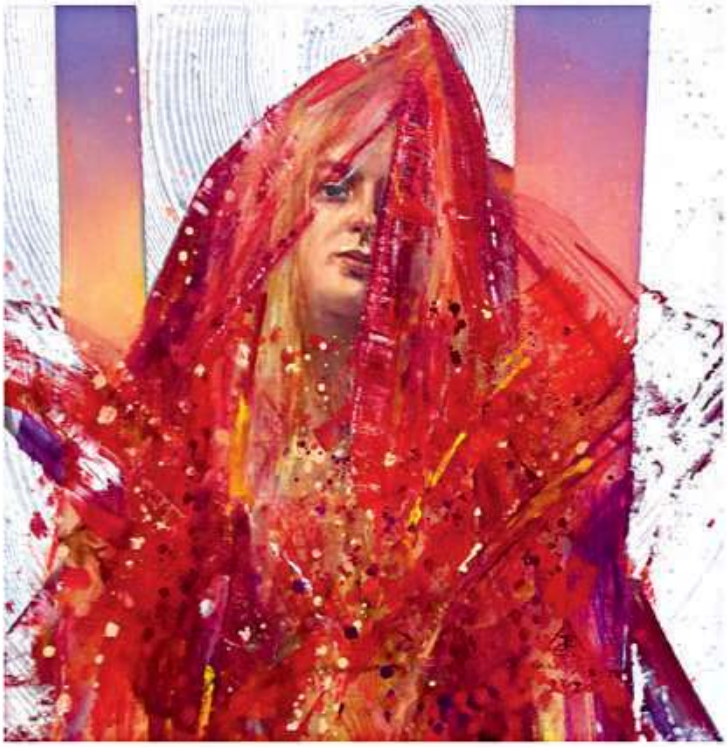

Rozgwiazda

Anioł opatrzności

Roman Fleszar
Osobliwości

Roman Fleszar uprawia malarstwo sztalugowe, rysunek, pastel, zajmuje się też realizacjami sakralnymi. Na wystawie „Osobliwości" prezentuje najnowsze obrazy z serii „Interferencje". Jego prace znajdują się w kolekcjach muzeów i galerii w Polsce i za granicą, jest laureatem wielu nagród i wyróżnień. Obecnie jest wykładowcą w Instytucie Sztuki w Tarnowie. Jak pisze prof. Stanisław Baj, jego twórczość stawia ważne pytania, m.in. o „tajemnicę istnienia świata i człowieka oraz sposoby porozumiewania się w nim". „Te pytania wyrastają w trakcie codziennej roboty malarskiej, która jest drogą zwykle trudną i w której (…) rezultaty bywają zaskakujące. Obraz może ciągle zaskakiwać samego twórcę, oczywiście jeżeli ten ma duszę marzyciela".

Galeria Sztuki Wirydarz – Piotr Zieliński
Lublin, ul. Grodzka 19
do 8 lutego

Koronka

Fala

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl c0b3b09a9c

Fundacja „Emeryt" ul. Ogrodowa 8 00-896 Warszawa KRS 0000161452
www.fundacja-emeryt.org e-mail: seniorzy@fundacja-emeryt.org

FUNDACJA EMERYT

Czas na ekologię!!!

OTWARTY PROJEKT SPOŁECZNY, PONADCZASOWY – EDUKACJA + DZIAŁANIE

ZADANIE PIERWSZE:

EKOLOGICZNA CHOINKA 2020/2021

Nie kupuj choinki ciętej lub wyrwanej z ziemi i umieszczonej w pojemniku, sprzedawanej jako „żywa" choć jej korzenie zostały zniszczone.

Pomyśl o tym, że po Świętach drzewko, które sprawia Tobie i Twoim bliskim tyle radości może jeszcze rosnąć przez wiele lat. Wystarczy, że kupisz choinkę, która od początku rosła w doniczce. Taką choinkę można, gdy zima się skończy, posadzić w ogrodzie, parku, lesie miejskim, itp. Możemy Ci pomóc zadbać o jej przyszłość, jeśli nam to zgłosisz. Postaramy się by została posadzona w parku lub lesie. Dzięki temu zwiększy się ilość drzew w naszym otoczeniu, a one stanowią najlepszy filtr na smog oraz inne zanieczyszczenia w powietrzu. To niewielka zmiana w „tradycji", a może tyle zmienić na lepsze dla nas i przyszłych pokoleń i być działaniem ekologicznym.

POSADŹ DRZEWKO PO ŚWIĘTACH

ZADEKLARUJ CHĘĆ PARTNERSTWA

eprasa.pl c0b3b09a9c

interia

PORTAL, KTÓRY TOWARZYSZY MI **KAŻDEGO DNIA**

eprasa.pl c0b3b09a9c